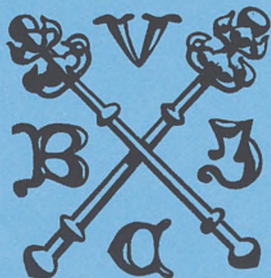
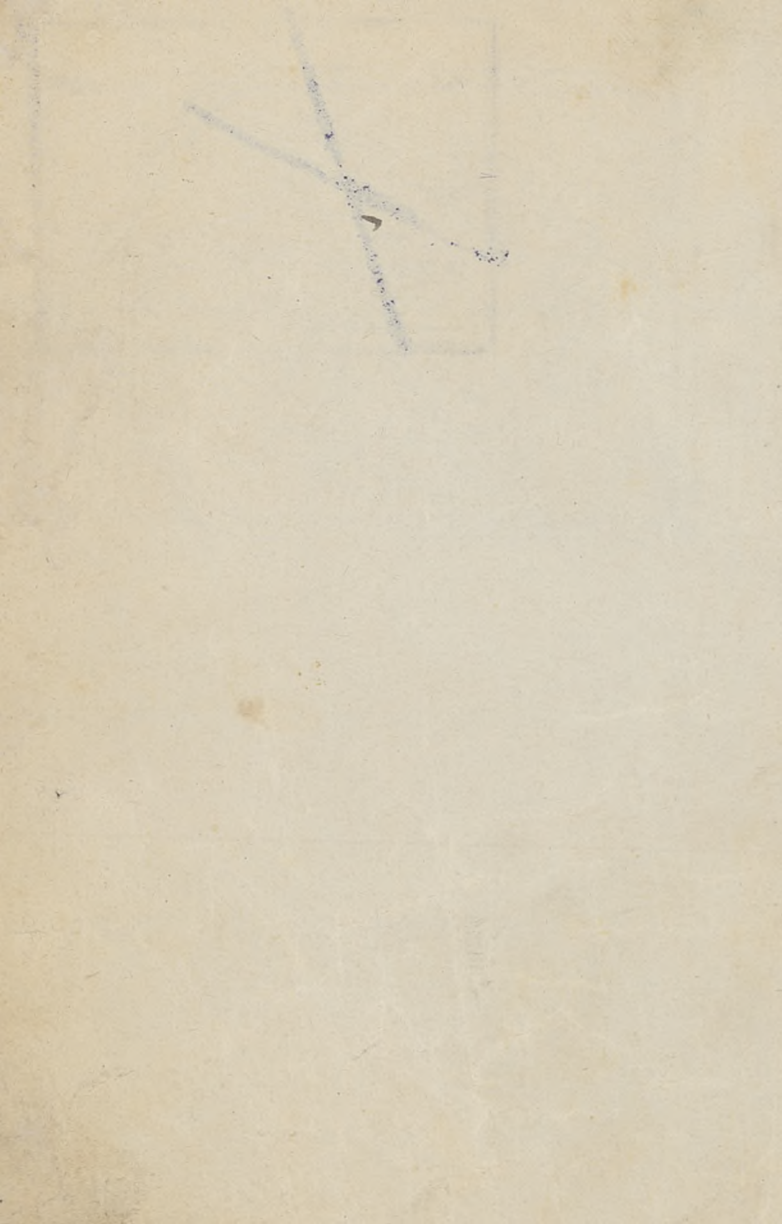






WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

DWOJE LUDZI

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

DWOJE LUDZI





WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

DWOJE LUDZI

POWIEŚĆ

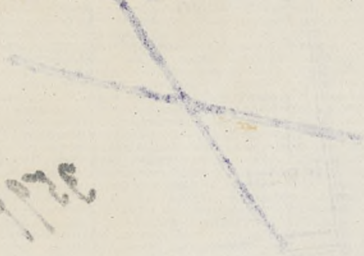


NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA“, Warszawa, Sienna 15
1928

PANI
RENIE ŚWIĘTOCHOWSKIEJ



I.

Dołguckiego ogarniał coraz większy niepokój. U wjazdu na most policjant zatrzymał ruch kołowy, i stracili kilka minut. Na moście musieli jechać dość wolno i, kiedy wreszcie znaleźli się na Pradze, do odejścia pociągu pozostawało już tylko siedem minut. Na ostatnią chwilę można było zdążyć, ale już bez najmniejszego zahaczenia. Dołgucki darować sobie nie mógł swej słabości. Zaszedł go w domu dawny kolega szkolny, urzędnik bez posady, z prośbą o protekcję. Trafił na ten moment właśnie, kiedy Dołgocki, gotów już zupełnie do wyjazdu, spacerował z papierosem w ustach po pokoju, nie chcąc za wcześnie wyjeżdżać na kolej. Kolega nazywał się Miller, w szkołach był bardzo sympatyczny i obrotny, i Dołguckiego zdziwiło to nawet, że człowiek tego rodzaju mógł się znaleźć w nędzy. Bo Miller nie potrzebował się zwierzać. Nędza biła z całego jego wyglądu i nieszczerej, widocznie go krępującej, uniżoności zachowania. Pora, godzina dziesiąta wieczorem, nie była odpowiednia na wizyty z prośbą o protekcję, ale Miller tłumaczył się tem, że przypadkowo przed chwilą właśnie dowiedziawszy się

o adresie Dołguckiego, ze względu na dawne koleżeństwo pozwolił sobie przyjść do niego odrazu.

— Bo jestem w sytuacji krytycznej... krytycznej... — powtarzał, patrząc w ziemię i zacierając nerwowo czerwone, opierzchłe od mrozu i zniszczone dłonie.

Mankiety od koszuly miał wystrzępione i brudne, i widać z pod nich było ręce, pokryte gęstym, długim włosem. Dołgucki przypomniał sobie, że Miller już w szkołach był tak owłosiony i nawet do pewnego stopnia tem się szczycił, dowodząc, że kto jest kosmaty, ten będzie bogaty. Przez mózg Dołguckiego przewinął się obraz gimnazjalnego podwórza w jakiś słoneczny, letni dzień przed egzaminami — obaj z Millerem przez całą noc się uczyli, wybijając się ze snu czarną kawą, i to wspomnienie nastroiło jego sympatję do Millera na gorętszy ton. Zupełnie szczerze obiecał Millerowi zająć się jego sprawami po powrocie. Wyjeżdżał na trzy dni na wieś do narzeczonej.

— Więc przyjdź za trzy dni.

I uścisnął Millera silnie za rękę. W intencji Dołguckiego było to już pożegnanie, ale Miller zrozumiał uścisk inaczej. Jako gwarancję obietnicy. Spojrzał na Dołguckiego wzrokiem, w którym malowała się prawie psia wdzięczność, tak, że aż Dołgucki uczuł się skrępowany tą pokorą kolegi, i na mgnienie oka jego sympatja do Millera przemieniła się w odrazę. Ale zapanował nad sobą i niecierpliwie tylko wyczekiwał, żeby denerwujący go już gość nareszcie odszedł. Każdego innego znajomego przeprosiłby wprost, w stosunku do Millera

jednak wpadł już w przesadną drażliwość i obawiał się, aby nędzarz nie dopatrzył się w tem lekceważenia. Zresztą miał czas. Słabostką Dołguckiego był ścisły, amerykański według jego określenia rozkład czasu. Poczytywałby sobie za śmieszność śpieszyć się i gorączkować.

I ta rozmowa z kolegą mogła pokrzyżować wszystkie jego plany. Jechał na imieniny narzeczonej, więc spóźnienie się byłoby dla niego bardzo przykre. Za mostem pochylił się nad szoferem i krzyknął rozkazująco-błagalnym tonem.

— Mój panie, jak najprędzej! Mamy kilka minut czasu!

W tej samej chwili samochód, który jeszcze jechał dość wolno, drgnął, i Dołgucki usłyszał, jak jedno z przednich kół trze się po bruku. — Tego tylko brakowało! — Już wiedział, że się spóźni. Nadomiar złego nigdzie naokoło nie było ani jednego taxisa, ani jednej dorożki. Ulicę, pokrytą błotem, zmieszanem ze śniegiem, wypełniała gęsta mgła, w której biegnące górą lampy elektryczne zdawały się być jakieś zmniejszone i skurczone. Szofer, pomajstrowawszy coś przy kole, ruszył, ale zapowiedział, że będą się mogli posuwać tylko bardzo powoli.

— Stało się — pomyślał Dołgucki. Najważniejsze było znalezienie wyjścia z sytuacji, i nad tem w tej chwili pracował jego mózg. Trzeba się było zgodzić z faktem, że się do Górek spóźni. Chodziło tylko o to, żeby to spóźnienie możliwie ograniczyć. Było tylko jedno rozwiązanie — jechać towarowym pociągiem.

(Następny osobowy odchodził dopiero nazajutrz rano.) Jako inżynier kolejowy, Dołgucki miał do tego prawo, ale czy się się jaka towarówka znajdzie? Cała złość Dołguckiego skierowała się teraz przeciwko Millerowi.

— Djabli mi go nasłali! Sam pechowiec i dookoła siebie pecha roztacza.

O niesłuszności tego oskarżenia Dołgucki zaraz zresztą mógł się przekonać, ponieważ tak się złożyło, że był pociąg towarowy i odchodził za pół godziny, co dowodziło raczej szczęścia, niż pecha. Dołgucki wylegitymował się ze swoich kwalifikacyj prowadzącemu pociąg, starszemu konduktorowi, i ten odrazu urządził mu spanie w konduktorskim przedziale.

— Będzie panu inżynierowi lepiej, niż w sypialnym wagonie — żartował wesoło.

Dołgucki wyciągnął się na posłaniu i leżał z otwartemi oczami, paląc papierosa za papierosem. W najlepszym razie spóźniał się już o sześć godzin, w dodatku miał jeszcze przed sobą trudną kwestję dostania się z maleńkiej stacyjki kolejowej, stojącej w prawie pustem polu, do majątku narzeczonej. Odległość wynosiła przeszło dziesięć kilometrów. Może jeszcze trzeba będzie wędrować piechotą.

— Eh — machnął odrazu ręką. — Już tylko nie histeryzować. Przecież jakieś konie znajdę. — O półtora kilometra od stacji było miasteczko.

W każdym razie jednak, czyby znalazł konie, czyby doszedł piechotą, nie zmniejszało to przykrości spóźnienia. Tem bardziej, że telegrafował, oczekiwano go

i specjalnie w nocy wysłano po niego powóz. Pan Korczewski, ojciec jego narzeczonej, poprostu przechorowywał każde wysłanie koni po gości. Nie było to skąpstwo, bo nie był skąpym człowiekiem, tylko manja. No, a już wysyłanie koni bezcelowe na pewno równoważyło się w jego umyśle z pojęciem jakiegoś niesłychanego nadużycia. Dołgucki wiedział, że go przyszły teść powita kwaśno i, leżąc, myślał o tem, jakiemby prawdopodobnem kłamstwem upozorować swoje spóźnienie. Nie mógł przecież powiedzieć narzeczonej, że się zagadał z kolegą Millerem.

I stwierdzenie tej niemożliwości poplątało mu myśli nagłym zgrzytem. Bo przecież właściwie powinienby był móc to powiedzieć. Uświadomił się pewne rozdźwięki, jakie panowały między nim, a narzeczoną. Niby to poza miłością bardzo się rozumieli, a jednak raz po raz występowała między nimi w odruchach, cieniach myśli jakaś zupełna obcość. Ale panna Mila wierzyła w to ich wzajemne całkowite zrozumienie się szczerze. Dołgucki doznawał wrażenia, że obcość wyczuwał tylko on. I wystarczało mu uświadomienia sobie tego, aby po zgrzycie półrozczarowania ogarnęło go roztkliwienie do narzeczonej. Tłumaczył sobie, że za wiele wymagał i odrazu starał się ujmować to szerzej. — Przecież — rozumował — jeśli dwoje ludzi w życiu zgadza się duchowo jak najlepiej, to w każdym pozostaje jednak pewien, choćby jak najdrobniejszy, procent uczuć niedostępnych i niemożliwych do pojęcia dla drugiego.

— Panie inżynierze,

Dołgucki, przytomniejąc z półsnu, który go zaczął ogarniać, spojrzał na pochylonego nad nim konduktora.

— A co?

— Zatrzymali nas.

— Dlaczego?

— Sami jeszcze nie wiedzą, co się tam na linji stało, ale podobno będziemy tu stali do rana.

Dołgucki zerwał się na równe nogi. — To już naprawdę pech — przemknęło mu przez głowę, i znów ocknęła się w nim głucha niechęć do Millera.

— Ale cóż u djabła może być?

— Czy ja wiem. Stoimy, to stoimy. Niema rady, niech pan inżynier śpi.

Dołgucki potrząsnął przecząco głową i, włożywszy palto, wyskoczył z wagonu. Walizkę zostawił, ale pudło, w którem wiózł dla narzeczonej zamówioną suknię z Warszawy, zabrał ze sobą. Pociąg stał na bocznej linji o kilkaset kroków od budynków stacyjnych. Dołgucki ruszył ku stacji, żeby zasięgnąć jakichś bliższych informacyj. Chwyciło go odrazu wrażenie silnego mrozu. — A w Warszawie zanosiło się na odwilż — pomyślał machinalnie. W powietrzu wirowały drobniutkie płatki śniegu, kłujące jak szpilki. Na stacji panowała głucha cisza. Świeciło się tylko w kancelarji zawiadowcy.

Kiedy Dołgucki wszedł do kancelarji, twarz siedzącego za stołem urzędnika wydała mu się odrazu skądś znajomą. Był to wysoki, barczysty mężczyzna z gęstą, siwawą czupryną i obwisłemi, umalowanemi na

czarno wąsami. Podniósłszy wzrok od papierów, rozłożonych na stole, spojrzał na Dołguckiego z wyrazem zdziwienia i jakby biurokratycznego zgorszenia, że ktoś w nieodpowiedniej porze i niespodziewanie wdziera się do kancelarji. Ale odrazu wyraz twarzy mu się zmienił, miejsce nieżyczliwych uczuć zajął przyjazny uśmiech.

— Pan inżynier Dołgucki — odezwał się, wstając i wyciągając na powitanie rękę.

Dołgucki przywitał się z nim, ale wciąż jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, skąd się znali. Pomocnik zawiadowcy musiał to odgadnąć z wyrazu jego twarzy, bo odrazu dodał.

— Pan mnie nie poznaje. Wiertkiewicz.

Nazwisko to także nic nie powiedziało Dołguckiemu, ale w tym samym momencie ton głosu Wiertkiewicza zbudził w nim obraz zatłoczonej, śmierdzącej „tiepłuszki", i przypomniał sobie. Spotykał jednego z towarzyszy powrotu z Rosji do Polski.

— Odrazu pana poznałem! — wykrzyknął z akcentem serdeczności większej, niż sam się był mógł spodziewać. Podświadomie dążył do ujęcia sobie Wiertkiewicza, jakgdyby od niego zależało przyśpieszenie wyprawienia pociągu. Był to odruch człowieka, który się uczuł bezradny i we wszystkich chciał widzieć zbawców.

— Ot, co za spotkanie — roześmiał się Wiertkiewicz. — Co pan tu porabia?

Dołgucki opowiedział mu w kilku słowach swoją przygodę. Kiedy wspomniał, że pracuje w ministerjum w Warszawie, Wiertkiewicz uśmiechnął się zgryźliwie.

— Przy wielkim ołtarzu.

— A pan na linji? — odezwał się machinalnie Dołgucki, nie zastanawiając się nad nielogicznością pytania.

Wiertkiewicz wzruszył ramionami.

— Jestem aż pomocnikiem zawiadowcy — odparł, kładąc na „aż" ironiczny akcent. — Nie mogę powiedzieć, żeby mi się w kraju dobrze działo.

I nagle spojrzał na Dołguckiego podejrzliwie, jakgdyby pod wpływem obawy, czy nie powiedział czegoś nieprawomyślnego. Dołgucki odrazu odgadł jego myśl: „takim, jak ty, którym się powiodło, nie wsmak idą narzekania". Odparł konwencjonalnie:

— Mam nadzieję, że to przecież przejściowe.

— Wszystko przejściowe — roześmiał się wesołym tonem Wiertkiewicz.

To nagłe przejście od jednego nastroju do drugiego Dołgucki wytłumaczył sobie silną wonią alkoholu, która biła od pomocnika zawiadowcy.

Okazało się, że towarowy pociąg zatrzymano dla przepuszczenia osobowego, który szedł za nim. Z powodu mrozów i wzmożonego przedświątecznego ruchu w rozkładach zapanował pewien nieład. Dołguckiemu przyszło na myśl, że ta siła wyższa mogła stanowić dla niego wymówkę, ale sam odrazu argument swój przekreślił, bo nie pojechał jednak tym pociągiem, na który przysłano konie.

— I ja tu cztery godziny mam sterczeć?

— Cóż robić — odparł Wiertkiewicz. I niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

— Ha, ha, ha, jak się ludzie zmieniają. Jakeśmy w Rosji po trzydzieści sześć godzin na stacjach stali, to było dobrze, a tu panu cztery godziny ciężko. — I, nie przerywając toku słów, zaczął wyciągać wspomnienia ze wspólnej podróży, jaką odbyli z sowieckiej Rosji do kraju. Dołgucki słuchał tego gadania z rosnącem zniecierpliwieniem. Zato Wiertkiewicz tak się wzruszał, że aż mu się oczy załzawiły.

— No, ja wracam do wagonu — przerwał mu nagle Dołgucki, czując, że cierpliwość jego już się zupełnie wyczerpała.

Wiertkiewicz szeroko otworzył oczy.

— Do wagonu? Poco?

— Konduktorzy mają spirytusową maszynkę. Poproszę, żeby mi herbaty ugotowali.

— Chodź pan do mnie — wykrzyknął Wiertkiewicz.

— Do pana?

— Ja tu mieszkam o kilka kroków od stacji. Mogę pana zaprosić, bo tak się złożyło, że żona nie śpi. Mieliśmy dziś kilka osób, bo to małe rodzinne święto, rocznica naszych zaręczyn. Znajdzie pan nietylko herbatę, ale i coś cieplejszego — dodał, mrużąc porozumiewawczo jedno oko. — Napijemy się na spotkanie. Chodźmy — wykrzyknął, składając papiery na biurku.

Dołguckiemu przyszło na myśl, że pewno żona już nie pozwala Wiertkiewiczowi pić, i że ten nagły wybuch gościnności był poprostu szukaniem okazji. Ale perspektywa kieliszka wódki była stokroć ponętniejsza od konduktorskiej herbaty w wagonie, więc

dla konwenansu tylko, bez wielkiego jednak przekonania w głosie, wystąpił z zastrzeżeniem.

— Może pańska żona się położyła...

— Nie. Czeka na mnie. Ja tylko na pół godziny wpadłem na stację. Mogę siedzieć w domu, niepotrzebny tu jestem.

Wyszli na duży, pusty plac, wzdłuż którego po jednej stronie ciągnęły się sztachety, odgradzające jakiś ogród, po drugiej — puste pole, a bok, równoległy do budynku stacyjnego, zamykał szereg nędznych domków, z pośród których wyskakiwała nieotynkowana dwupiętrowa kamienica ze sterczącemi, żelaznemi belkami na podtrzymanie nieistniejących balkonów. Kontury domów i ogrodu odrzynały się ciemno od śniegu, który pokrył ziemię i padał coraz gęściej.

— Napada przez noc — mruknął Wiertkiewicz, spoglądając na niebo. — Możemy mieć taką śnieżycę, że pociągi staną.

— Myśli pan? — zapytał Dołgucki, zaniepokojony już możliwością nowej przeszkody.

— Teraz klimat taki, jak ludzie. Niewiadomo, co zrobią, i wszystkiego się można spodziewać — odparł sentencjonalnie Wiertkiewicz.

Dwa parterowe okna w murowanej kamienicy były oświetlone, i na śnieg przed domem padały złotawe smugi światła. Było to mieszkanie Wiertkiewiczów. Dzięki dobrze zaopatrzonym oknom, mróz nie osiadł na szybach i, kiedy Dołgucki z Wiertkiewiczem zbliżyli się do kamienicy, inżynier zobaczył wnętrze mieszkania, dość duży pokój, szczelnie zastawiony naj-

rozmaitszemi meblami, pośrodku których bielił się stół z resztkami obfitej, jak odrazu na oko można było stwierdzić, kolacji. Pokój oświetlała wisząca, naftowa ampa z pomarańczowym abażurem.

— S t a s j e n k a, otwórz — odezwał się Wiertkiewicz z rosyjska, wymawiając imię żony. — Gościa prowadzę.

Klucz w zamku zgrzytnął, i Dołgucki ujrzał przed sobą młodą kobietę, właściwie kobiecinę z wyrazem zahukania i przemęczenia na twarzy. Wbrew zapowiedzion Wiertkiewicza, pani „Stasjenka" spała już widocznie, gdyż oczy miała zaspane i włosy w nieładzie. We wzroku jej była rezygnacja żony alkoholika, przywykłej do wszelkich ekstrawagancyj męża. Przynajmniej tak zrozumiał jej spojrzenie Dołgucki. Uderzyło go też odrazu, że pani Wiertkiewiczowa była acznie młodsza od męża, najmniej o dwadzieścia lat, określił na pierwszy rzut oka.

— Mój przyjaciel, inżynier Dołgucki — przedwiał hałaśliwie Dołguckiego Wiertkiewicz. — Rawracaliśmy z Rosji. Niejedno się przeżyło, prawDaj nam, S t a s j e n k a, wódki i coś przetrącić, nżynier spóźnił się na pociąg, jedzie towarowym iarzł strasznie.

Pani Wiertkiewiczowa zaczęła w milczeniu przeać talerze i przekładać jakieś zakąski i wędliny dnego na drugi. Kiedy Wiertkiewicz nalał dwa e kieliszki wódki, spojrzała na niego z wyrzutem o chwilowem wahaniu odezwała się nieśmiałym głoem.

— Ty masz jeszcze służbę dzisiaj. Może już nie pij lepiej.

Wiertkiewicz roześmiał się hałaśliwie.

— Ot, co to jest mieć rozkochaną żonę — zwrócił się do Dołguckiego, trącając się z nim równocześnie kieliszkiem. — Zdaje jej się, że wszystko człowiekowi zaszkodzi. Nie bój się, S t a s j e n k a, nic mi nie będzie, przecież prawie nic dziś nie piłem — ciągnął, zmieniając ton z rubasznego na niezwykle serdeczny. I odrazu sięgnął po butelkę, żeby na nowo napełnić kieliszki.

— Ja dziękuję — odezwał się Dołgucki. I mimowoli powiedział to ostro, prawie opryskliwie. W rzeczywistości miał ogromną ochotę na wódkę i odmówił tylko dlatego, że go Wiertkiewicz rozdrażnił. — To bydlę jest przecież zupełnie pijane — myślał, żałując, że przyjął zaproszenie. Ma się rozumieć odmowa jego nie wywarła najmniejszego wrażenia na Wiertkiewiczu. Napełnił oba kieliszki i tym razem nie czekał już na Dołguckiego, tylko swój wypił odrazu.

— Dlaczego pan nie pije? Skoro panu tak no... — odezwała się Wiertkiewiczowa nieśmiało.

Dołgucki wypił. I, spojrzawszy machinalnie w dostrzegł nagle, że na pudło z suknią dla narzeczo które ustawił na małym stoliku przy drzwiach, Wiert kiewicz rzucił swoją ciężką burkę. Zgroza go z na myśl, że do wszystkich nieszczęść tej feralnej d mogło się jeszcze dołączyć i pognieciecie sukni. Sz ko zerwał się z krzesła i, wyciągnąwszy z pod pa pudło, zaczął się rozglądać, gdzieby je bezpiecznie umieścić.

— Suknię pan wiezie? — uśmiechnęła się Wiertkiewiczowa, która wprawnem kobiecem okiem poznała odrazu zawartość pakunku.

— Tak — odparł z mimowolnym uśmiechem, który był jakby tylko odbiciem uśmiechu Wiertkiewiczowej.

— Pan pozwoli. Ja to tak położę, że nic się sukni nie stanie.

Odebrała pudło z rąk Dołguckiego i położyła je na szafie.

— Pan żonaty? — ciągnęła, nie przestając się uśmiechać.

— Dopiero narzeczony.

— Winszuję, winszuję — wybuchnął hałaśliwie Wiertkiewicz.

— Bydlę — pomyślał znów Dołgucki. — Ciężki los musi mieć z nim ta kobiecina.

I zabiedzona pani Stasieńka wzbudziła w nim nagle sympatję. Zaczął jej się przyglądać z zaciekawieniem. W miarę, jak patrzył, zmieniało mu się pierwsze powierzchowne wrażenie, w którem widział właśnie tylko jakąś zbiedzoną, zahukaną istotę. Wiertkiewiczowa nie była może ładna na pierwszy rzut oka, ale posiadała pewien wdzięk w twarzy, który pociągał i zwracał uwagę. Była to zgrabna, ciemna blondynka, średniego wzrostu, ze srebrzysto-szaremi oczami. Miała duże, mocno rozwinięte czoło, usta drobne, ładnie wykrojone i niewypowiedzianą słodycz w uśmiechu. Oczywiście, to zabiedzenie, które przedewszystkiem uderzyło Dołguckiego, leżało jak cień na jej urodzie.

Bardzo ładne, kształtne ręce, nosiły ślady zniszczenia od domowych robót. Na lewej dłoni miała czerwony, świeży ślad oparzenia. Jedyną jej biżuterję, oprócz obrączki ślubnej, stanowiła marna, złota broszeczka z pławionym rubinem. Dołgucki zauważył też, że wbrew modzie, nosiła długie włosy. I w chwili, gdy zwrócił na to uwagę, usłyszał nagle głos Wiertkiewicza, który jakgdyby czytał w jego myślach.

— Ja nie pozwalam żonie obcinać włosów. Idjotyczna moda. Nie rozumiem. Jak mężczyzna, to mężczyzna! Jak kobieta — to kobieta! Zresztą mojej żonie ładniej z długiemi włosami. Taka dziewczyneczka.

Ostatni wyraz wypowiedział z akcentem uderzającej lubieżności. Dołguckiego tak irytowało każde odezwanie się Wiertkiewicza, że wciąż miał ochotę odpowiedzieć mu jakąś impertynencją i wyjść. Powstrzymywał go tylko wzgląd na panią Stasieńkę. Czuł, że skrupiłoby się to na niej. Ale nie mógł zapanować nad wstrętem do Wiertkiewicza i zaczął się zachowywać tak, jakgdyby tylko pani Stasieńka była w pokoju.

— Państwo dawno tu mieszkają?

— Dwa lata. Od czasu ślubu.

— Ach, to pani dopiero dwa lata za mężem? Coprawda mogłem się był odrazu tego domyśleć.

— Dlaczego? — wtrącił chrapliwym głosem Wiertkiewicz.

— Bo pani tak młodo wygląda...

Wiertkiewiczowa pochyliła głowę i nic nie odpowiedziała.

— Ja także stary nie jestem — wybuchnął nagle Wiertkiewicz. — Tylko Rosja mnie zmarnowała. — I jednym tchem zaczął obszernie opowiadać o swojej karjerze przed wojną w Rosji. Był dyrektorem fabryki i doszedł już do tego, że zarabiał po osiemdziesiąt tysięcy rubli rocznie. Szczegółowo opowiadał o apartamencie, jaki zajmował, o wspaniałem urządzeniu, dywanach, obrazach, automobilach własnych i fabrycznych, jakie miał na każde zawołanie, o szalonych kolacjach w „Jarze" podczas przyjazdów do Moskwy i mówił to wszystko takim nieprzerwanym pędem, że niepodobna było ani jednego wyrazu utracić. Dołgucki widział bezgraniczną nudę w oczach pani Stasieńki, której twarz raz po raz wykrzywiała się konwulsyjnie przy tłumieniu ziewania. Znać było, że te opowiadania męża musiała już setki razy słyszeć. Dołgucki nie miał zresztą ani chwili wątpliwości, że połowę, jeżeli nie trzy czwarte fantastycznej karjery Wiertkiewicza w Rosji, należało złożyć na karb imaginacji.

Wiertkiewicz umilkł nagle i znów nalał sobie kieliszek wódki, nie zapraszając już tym razem Dołguckiego.

— Było — niema — westchnął, wpadając w śpiew prawie. — Ale nie żałuję. Cóż mi apartamenty i automobile, i szampan z kupcami. Żeby nie wojna w Rosji, do dziś dnia bym siedział, miał miljon, dwa miljony, dziesięć miljonów, ale nie poznał S t a s j e n k i, skarbu mojego najdroższego. Chodź, S t a s j e n k a, niech cię ucałuję.

W oczach Wiertkiewiczowej odbiło się uczucie

przerażenia. Szybko odwróciła głowę, jakgdyby nie chcąc spotkać się ze wzrokiem Dołguckiego.

— No chodź, Stasjenka — powtórzył Wiertkiewicz głosem, w którym pod akcentami błagania i serdeczności kryła się już drapieżna groźba.

Wiertkiewiczowa jak automat zbliżyła się do męża. Pochwycił ją olbrzymiemi rękami za ramiona i, przycisnąwszy do siebie, hałaśliwie ucałował w usta. Dołguckiego ta pijacko - małżeńska czułość przejęła takim niesmakiem, że odwrócił się, żeby na nią nie patrzeć. I odrazu postanowił odejść. Cmoktanie pocałunków ucichło nagle, i po chwili rozległ się cichy, groźny mruk Wiertkiewicza.

— No tak, tak. Ma się rozumieć.

Dołgucki podszedł do Wiertkiewiczowej.

— Dziękuję pani serdecznie za gościnę, ale widzę, że pani nieludzko zmęczona, i nie chcę już dłużej nadużywać uprzejmości państwa.

— Wcale pan nie nadużywa — odparła, wciąż unikając wzroku Dołguckiego.

— A dokądże pan pójdzie? — wtrącił Wiertkiewicz.

— Do wagonu. Spać.

— W towarówce? Także pomysł!

— Jadąc tutaj, spałem, i bardzo dobrze mi było.

— To i w naszej „tiepłuszce" dobrze panu było. Ale co za sens chodzić do wagonu, jak jest mieszkanie. Niech pan już do rana poczeka i pojedzie pan osobowym. Od biedy może się pan w tym pokoju na kanapie przespać.

— Towarowym będę prędzej.

— Najwyżej dwie godziny pan wygra.

— Mnie i na dwóch godzinach zależy.

— Nie, nie, nie. Nie puścimy pana. Stasjenko, bądźże gościnna. Poproś, żeby pan został.

W ostatnich słowach Wierkiewicza dźwięczał jakiś akcent bolesnej ironji. Dołgucki spojrzał na niego ze zdziwieniem. I uderzył go przedewszystkiem zmieniony wyraz twarzy męża pani Stasieńki. Nie wyglądał już na pijanego, tylko raczej na warjata. Usta miał zaciśnięte, a w zmrużonych oczach jakiś błysk bólu.

— Niech pan zostanie — ciągnął, chwytając Dołguckiego za ręce. — Ja muszę teraz znów iść na stację. Dyżur. Służba — niema rady. Ale Stasjenka nie będzie spała. Ona zawsze czeka na mnie, jak mam dyżur. Ona jest kobieta inteligentna! Czuła, wrażliwa. Z innej gliny — niż ja. Pan taki sam. Przynajmniej będzie miała z kim porozmawiać przyjemnie. Tu brak jej towarzystwa. Dusi się. Pan powie — późna noc na rozmowę. Trudno. Na takiem odludziu, jak u nas, nie można gościom pory wyznaczać. Trzeba czekać, aż Pan Bóg sam ześle. A Panu Bogu wszystko jedno, dzień czy noc. On nad słońcem. I ma zawsze dzień.

— Warjat — pomyślał Dołgucki.

— Ależ pańska żona ledwo na nogach się trzyma ze zmęczenia.

— Ona śpiąca? — wykrzyknął z udawanem zdumieniem Wiertkiewicz. — Wcale jej się spać nie chce. Przy starym mężu tylko kobieta może być śpiąca. Ale

tu niema starego męża. Jest miły gość. Ja za godzinkę wrócę.

I, chwyciwszy palto, gwałtownie wybiegł z pokoju.

Dołgucki pytającym wzrokiem spojrzał na Wiertkiewiczową, na której twarzy odbijały się uczucia zmieszania i zażenowania. Oczy ich spotkały się nareszcie, i Wiertkiewiczowa znowu szybko pochyliła głowę. Równocześnie odezwała się tonem, któremu starała się nadać jak najwięcej naturalności, a który mimo to jednak naturalny nie był.

— Przecież panu wygodniej czekać na pociąg u nas, niż na stacji.

— Temu zaprzeczyć nie mogę. Ale to późna noc.

— Oh, wielka rzecz. Może się pan herbaty napije?

— Nie, nie. Dziękuję.

Wiertkiewiczowa nie zwróciła jednak na to podziękowanie uwagi i, szepnąwszy cicho — zaraz wrócę — wysunęła się do sąsiedniego pokoju. Dołgucki zaczął się rozglądać po mieszkaniu Wiertkiewiczów. Pokój, w którym go przyjmowali, stanowił połączenie saloniku z jadalnią. Uderzyło go na ścianach mnóstwo fotografij Wiertkiewicza w najrozmaitszych pozach, między któremi jedna, przedstawiająca go w uroczystym tużurku z cylindrem w ręce, opartego o balustradę jakiegoś grobu. Z sąsiedniego pokoju dolatywał głośny syk primusa. Dołgucki nie mógł się powstrzymać nagle od uśmiechu.

— Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie

tej gościny — pomyślał. I, zaintrygowany dziwacznością małżeństwa Wiertkiewiczów, znów zaczął się rozglądać po pokoju z nieokreślonem uczuciem, które może najbardziej było podobne do uczuć detektywa, starającego się z drobnych i nic napozór nieznaczących szczegółów odtworzyć sobie obraz całości życia. W pokoju jednak, prócz fotografij Wiertkiewicza, nie było ani jednego szczegółu, któryby nadawał charakterystyczne piętno. Wszystkie meble były nowe i tanie, widocznie kupione odrazu, jednego dnia. Z zabawy w detektywa Dołgucki mógł ostatecznie wyciągnąć tylko dwa wnioski. Że pani domu była bardzo porządna i dbała o wzorową czystość, oraz że nudę pobytu na opuszczonej stacji zabijała czytaniem. W kącie pokoju nawprost okna, obok sosnowej etażerki, zapełnionej książkami, piętrzył się jeszcze cały ich stos na podłodze.

W tej samej chwili do pokoju wróciła Wiertkiewiczowa, niosąc na blaszanej tacce, okrytej białą serwetką, dwie szklanki herbaty. Dołgucki zerwał się z krzesła i podszedł ku niej.

— O, najmocniej pani dziękuję. Widzę, że pani dużo czyta — dodał odrazu, wskazując wzrokiem na książki.

— To moja jedyna rozrywka — uśmiechnęła się melancholijnie Wiertkiewiczowa.

— A co pani czyta?

I, zapominając o herbacie, Dołgucki zbliżył się do kąta z książkami.

— Eh, niech pan nie ogląda — zaprotestowała żywo Wiertkiewiczowa.

— Dlaczego?

— Ja kupuję książki najtańsze, a nie takie, na jakie miałabym ochotę, więc dobór mojej bibljoteczki jest bardzo przypadkowy.

Rzeczywiście Dołgucki, przerzuciwszy powierzchu kilka tomów, przekonał się, że były to przeważnie groszowe wydawnictwa i stare naukowo-popularne broszury.

— To pani i naukowe rzeczy czyta?

— Oh, naukowe! — uśmiechnęła się Wiertkiewiczowa. — Tym książczynom, co pan je ogląda, daleko chyba do naukowości. Ale wolę to, niż te głupie powieści, które dają przeważnie w tanich wydawnictwach.

— No, no — pomyślał Dołgucki, doznając, niewiadomo czemu, uczucia jakiegoś przyjemnego zdziwienia. I, ponieważ miał w domu dość duży zasób książek, postanowił odrazu przysłać Wiertkiewiczowej z Warszawy całą paczkę, żeby w ten sposób spłacić dług wdzięczności za uprzejme przyjęcie. Wesoło spojrzał na Wiertkiewiczową, ciesząc się już tą niespodzianką, jaką jej sprawi, i odrazu go zastanowiła pewna zmiana w wyrazie jej twarzy. Nie umiał określić tej zmiany, ale najbliższe wrażenie, jakie się nasuwało, było takie, jakgdyby Wiertkiewiczowa odtajała. Przygotowywając w sąsiednim pokoju herbatę, zdążyła poprawić włosy i kokieteryjniej przepiąć swoją lichą broszeczkę z topionym rubinem, która przyozdabiała koronkę pod szyją. Twarz jej wyjaśniała, i wszystkie ruchy stały się pewniejsze.

— Pani tu się bardzo musi nudzić — odezwał się nagle Dołgucki.

Wiertkiewiczowa zawahała się chwilę.

— Nie.

Oczywiście była to nałogowa odpowiedź, którą z urzędu Wiertkiewiczowa musiała dawać przy mężu i odruchowo odpowiedziała tak, jakgdyby mąż był obecny. Dołgucki doskonale zdał sobie z tego sprawę. Bystro popatrzył na Wiertkiewiczową i odezwał się nagle z lekka rubasznie.

— No, niech pani powie prawdę.

Z wyrazu twarzy pani Stasieńki można było dokładnie odgadnąć przebieg jej myśli. Uświadomiała sobie brak potrzeby kłamania w chwili, kiedy była sama z kulturalnym człowiekiem, który prowadził rozmowę poprostu i szczerze. I odpowiedziała poważnie:

— Ma pan rację. Strasznie mi ciężko.

W akcencie, którym powiedziała tę skargę, było coś, jakby przełamanie się duszy. Dołgucki wiedział, że od tej chwili ma przed sobą już inną istotę, wyzwoloną z lęku i zahukania, jakie narzuciło na nią samotne życie z mężem alkoholikiem. Żal mu jej się zrobiło, i z żalu zrodziło się zaciekawienie.

— Pani jest bardzo młoda?

W powiedzeniu tem nie było ani cienia komplementu, tylko raczej stwierdzenie faktu. Pani Stasieńka odpowiedziała uśmiechem, który, przetłumaczony na wyrazy, mógł znaczyć — czyż to moja wina.

— Jak pani wychodziła zamąż, była pani jeszcze dzieckiem.

— O, tak.

— Ale chyba... — Dołgucki umilkł. Chciał powiedzieć — ale chyba nie wyszła pani z miłości? — i już w pierwszych dwóch wyrazach zaakcentował wyraźnie ironję. Nie dokończył zdania, bo wydało mu się, że byłoby to zbyt brutalne wdzieranie się w tajemnicę. Ale Wiertkiewiczowa zrozumiała.

— Nie wiedziałam, co robię — odezwała się po chwili. — Czy to warto o tem mówić — dodała, spoglądając, jakby z wyrzutem, na Dołguckiego.

— Przepraszam panią. Ale to tak samo się jakoś złożyło.

— To prawda. Mogłam się była panu nie skarżyć.

Umilkli. Dołgucki dopił powoli herbatę i odsunął się trochę od stołu. Piec był rozpalony, i wpokoju panowało niemożliwe gorąco. Dookoła wiszącej lampy smugi dymu tytoniowego snuły się, jak obłoki. Tani budzik, ustawiony na szafie, tykotał monotonnie. Dołgucki doznał uczucia, jakie ogarnia czasami w podróży, przy dużem zmęczeniu na stacjach, albo w hotelach, kiedy przez chwilę trudno uwierzyć w realność otaczającej rzeczywistości. Z zadumy wyrwał go nagle głos Wiertkiewiczowej.

— Ja skończyłam gimnazjum i mam maturę.

Było to tak niespodziewane, że się nie mógł powstrzymać od uśmiechu. — Jak dziecko, które się chwali, że umie wierszyki — pomyślał. Wiertkiewiczowa, zapatrzona przed siebie, nie zwróciła uwagi na jego uśmiech i ciągnęła dalej.

— Chciałam zostać nauczycielką ludową. Ale do

tego potrzebne jeszcze było seminarjum. Rozchorowałam się.

— Na co? — wtrącił szybko Dołgucki.

— Na zapalenie płuc. Byłam wycieńczona... ach, bo te ostatnie lata na pensji...

Machnęła ręką, jakby nie chcąc już odświeżać w sobie tych ciężkich wspomnień. Dołgucki spojrzał na nią ze współczuciem.

— To pani z płucami niedobrze?

— O nie — zaprotestowała żywo. — Przeszło mi bez śladu. Ja mam żelazne zdrowie.

— Żelazne?

Dołgucki uśmiechnął się powątpiewająco, patrząc na jej drobną postać.

— Tak... Jestem napozór wątła, ale cóż to znaczy. Jakbyśmy tak stanęli do konkursu na wytrzymałość, kto wie, kto z nas dwojga więcej by wytrzymał, pan — czy ja?

— Ja — roześmiał się Dołgucki. — Ale wierzę, że pani może dużo wytrzymać.

W oczach pani Stasieńki błysnęło żywe zadowolenie, jakgdyby usłyszała najmilszy komplement.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Ach, żeby pan znał moje życie.

I odrazu zaczęła mu je opowiadać. Widać było, że potrzeba wyskarżenia się przed kimś wybuchnęła w niej z żywiołową siłą, łamiąc wszystkie względy, konwenanse i obyczaje. Mówiła spokojnym, równym głosem, i zdenerwowanie jej wyrażało się tylko w ruchu

ręki, którą wciąż odpinała i zapinała broszkę pod szyją. Nic ciekawego zresztą w tem życiu nie było. Szara, smutna historja ludzi, przytłoczonych niedostatkiem do codzienności. Ojciec umarł, została matka z gromadą dzieci, wśród których ona była najstarsza. Byli już prawie skazani na śmierć głodową, i uratowali ich Wiertkiewiczowie. Mieli po powrocie z Rosji pieniądze, bo przywieźli trochę ze sobą, i dopiero potem Wertkiewicz wszystko stracił. Wiertkiewicz był kolegą szkolnym ich ojca i potem nieraz nawet z Rosji pisał, namawiając ojca, żeby się przeniósł do Saratowa. Ojciec nie chciał z kraju wyjechać. Może byłoby lepiej, gdyby się przeniósł, chociaż, czy to można wiedzieć, jakby się znów wszystko ułożyło przy bolszewikach? Matka zwróciła się do Wiertkiewicza, i pomogli im. Właściwie, głównie pomagała im pierwsza żona Wiertkiewicza, która sama nie miała dzieci. Była bardzo dobra i nieszczęśliwa kobieta. Jak mogła, tak starała się to ukryć, że Wiertkiewicz był pijak. Niespodziewanie umarła. I po kilku tygodniach Wiertkiewicz oświadczył się o rękę pani Stasieńki. Szalał, awanturował się, mówił, że sobie życie odbierze. Matka wzięła jego stronę. W nocy ją budziła i tłumaczyła — wyjdź zamąż, wielka rzecz, że trochę starszy człowiek, skoro cię kocha i dobry. Wszystkim nam będzie lżej. — No i wyszła zamąż. Czy to się można oprzeć, jak się jest po ciężkiej chorobie, wycieńczoną, bez grosza, a tu od rana do wieczora i od wieczora do rana ktoś jedno i to samo wciąż kładzie w głowę. Może lepiej było uciec z domu. Pracować i pomagać rodzinie. Bo teraz i tak nie poma-

gają. Wiertkiewicz wszystko przepija. Gdyby nie jeden zacny człowiek, który z łaski wypłacił matce sumkę, jaką miała na hipotece, znów tamtym groziła śmierć głodowa.

Pani Stasieńka umilkła i odetchnęła głęboko. Na twarz wystąpiły jej rumieńce. Chwilę siedziała nieruchomo i nagle odezwała się przyciszonym tonem już jakby nie do Dołguckiego, ale do siebie.

— Ale dzieciaki się nie zmarnują i wyjdą na ludzi. Wyjdą — powtórzyła z mocą, chcąc siebie samą najwidoczniej utwierdzić jeszcze mocniej w tej wierze.

Dołgucki palił papierosa, trochę zasępiony. Całe to przygnębiające opowiadanie zdenerwowało go w niewytłumaczony sposób. I buntował się w duszy przeciwko swej nadmiernej wrażliwości. Bo, ostatecznie, cóż miał za powód, żeby się przejmować niedolą zabiedzonej żony jakiegoś przypadkowego znajomego. Takich pań Stasieniek były setki i tysiące. I obtłukiwały się o życie z jedynym celem przetrwania dnia dzisiejszego i następnego. Nie mógł sercem całej tej niedoli ogarnąć. A gdyby nawet ogarnął — to co? Inżynier uczuł w sobie sentymentalizm zupełnie nie licujący z jego zawodem. Można to było wytłumaczyć tylko tem, że rozegrały się w nim nerwy. A rozegrały, bo była czwarta rano, bo, z braku powietrza i z upału, krew uderzała mu do głowy i podświadomie wciąż się irytował z powodu spóźnienia na pociąg.

— Ale też mam dziś szczęście do wykolejeńców— żachnął się nagle w duszy, łącząc w jednym obrazie panią Stasieńkę i Millera.

I szybko wstał od stołu. Wiertkiewiczowa spojrzała na niego ze zdziwieniem, w którym był pewien odcień lęku.

— Przepraszam panią najmocniej, ale pójdę teraz na chwilę na stację zobaczyć, co się tam z pociągiem dzieje.

— Ależ mój mąż jest na stacji. Gdyby pociąg miał odejść, to dałby panu znać.

— Wolę sam sprawdzić.

Pani Stasieńka zrozumiała: — Mąż pani jest pijany i na pewno o niczem nie pamięta. — Twarz jej posmutniała, i nie próbowała już zatrzymać Dołguckiego.

Dołgucki wyszedł i z ulgą odetchnął na świeżem, mroźnem powietrzu.

II.

Po wyjściu Dołguckiego pani Stasieńka stała przez chwilę nieruchomo przy stole, a następnie zaczęła sprzątać talerze i odnosić do niewielkiej kuchenki, do której przechodziło się przez sypialnię. Ale w połowie przerwała to zajęcie. Usiadła na krześle w rogu pokoju i zamyśliła się głęboko. Odczuwała pewien rodzaj niesmaku po tej spowiedzi, która dla niej samej była czemś zupełnie niezrozumiałem. Jakto? Zabłąkał się obcy człowiek, i zaczęła mu się zwierzać z najsmutniejszych swoich myśli. A nawet przed bliskimi nie zwierzała się nigdy. Po tem przeciwstawieniu, zrobionem w myśli, zmarszczyła nagle brwi i dziwacznie skurczyła usta. Pierwszy raz w życiu na przykładzie uświadomiała sobie, że to dumne niezwierzanie się nawet bliskim, było tylko zwykłem powiedzeniem ot tak, jak się codziennie mówi mnóstwo rzeczy bez treści. Bo w rzeczywistości nie miała nikogo bliskiego. I stwierdzenie tego faktu, który przecież był bijący w oczy, powszedni, podziałało na nią jednak w tej chwili tak, jakby niesłychanie smutne odkrycie. Poprostu wydało jej się to nieprawdopodobnem. Błyskawicznie prze-

biegła myślą całe swoje życie, jakby dla skontrolowania wrażenia. Przecież niepodobna! I znów musiała dojść do poprzedniego, beznadziejnego rezultatu. Nigdy nie miała przy sobie nikogo bliskiego. Mogła wyliczyć istoty, które kochała. Matkę, rodzeństwo, może przedewszystkiem rodzeństwo. Ale to ona była im bliska, a nie oni jej. To odkrycie przejęło ją nietylko smutkiem, ale przerażeniem. Pokój, w którym spędzała większą część życia, który stanowił jej dom, wydał jej się nagle inny. Przez mgnienie oka miała takie wrażenie, jakgdyby murowane ściany przestały tworzyć zaporę, i wszystko złączyło się w mroźną, śnieżną pustkę, która otaczała stację. Było to wrażenie tak silne, że aż jej pociemniało w oczach, i uczuła chłód, jakgdyby wiatr przewiał przez pokój.

Drgnęła i zerwała się z krzesła. Pokój był znów taki sam. Odkręciła trochę lampę, chcąc wzmocnić światło. I rozejrzała się po ubogich meblach z uczuciem nakazu, aby to wszystko zespolić ze swojem życiem i polubić. Odkryła bliskie istoty przy sobie. Szafę, stół, krzesła... gliniany wazonik do kwiatów, kupiony pierwszego lata na jarmarku.

I jeszcze od godziny — nieznajomego człowieka, którego mąż jej sprowadził po pijanemu do mieszkania.

Pana inżyniera Dołguckiego.

Nie zdając sobie z tego sprawy, machinalnie otwierała oczy, jak to się robi przy niespodziewanym widoku. Bo gdzieś od wewnątrz duszy bił na nią podziw. Jakgdyby zrozumiała nagłe i dręczące ją od dziecka pytanie, którego nie umiała sformułować

w myślach i odrazu na nie odpowiedź. Co to jest człowiek? Otóż przez chwilę i Dołgucki, i ona, byli ludźmi tak, jak to chciała rozumieć. Nieznajomi, obcy, minęli się przypadkowo w głuchej nocy, i zostało jednak coś takiego, jakby dusze obojga pozdrowiły się dobrem słowem.

— Więc właściwie niema ludzi obcych — próbowała filozofować, z niesłychanem natężeniem trzymając myśli na wodzy. — Ale to są tylko sekundy w życiu.

Przykro jej było, że ten nieznany nastrój tak szybko się rozerwał. Podążyła myślą za Dołguckim, który w tej chwili był już jej zupełnie obcy. Stał tam gdzieś na linji koło pociągu i dopytywał się konduktorów, kiedy pojadą. W tej chwili przypomniała sobie dopiero, że wspominał o narzeczonej. Ucieszyła się, że taki dobry człowiek miał narzeczoną. I zaciekawiło ją, jak też mogła wyglądać kobieta, którą kochał. Ze zdziwieniem równocześnie stwierdziła, że jego obrazu nie miała wcale w oczach. Siedzieli nawprost siebie przeszło godzinę, patrzyła na niego, i w jednej chwili zatarło się to wszystko w jakiejś mglistej sylwecie. Została jej tylko wyraźna pamięć dźwięku głosu i rozmowy. Dołgucki był dla niej tylko rozmową.

Rada była, że jeszcze wróci, bo przecież musiała mu się przyjrzeć, jak wyglądał. Pierwszy raz w życiu rozmawiając z mężczyzną, nie zwróciła na jego wygląd uwagi. Dotychczas zawsze, kiedykolwiek jaki mężczyzna do niej się zbliżył, uderzało ją przedewszystkiem

zewnętrzne, fizyczne wrażenie i zawsze z uczuciem odrazy i nieokreślonego lęku.

Ktoś powiedział jej kiedyś.

— Kiedy z panią rozmawiać, to pani tak wygląda, jak spłoszony ptak.

I odrazu chciał ją objąć wpół.

Lampa zaczęła skwierczyć i przygasać. Pani Stasieńka zgasiła ją, wzięła świecę, dolała nafty i na nowo zapaliła lampę. Robiła to wszystko systematycznie, powoli i tak, jakgdyby chcąc zyskać na czasie. Zresztą, nie uświadomiała sobie tego uczucia. Najzupełniej odechciało jej się spać, i dawno nie doznawała nawet w sobie takiej rześkości. Otworzyła lufcik, żeby napuścić powietrza do pokoju. Myśl jej wróciła znów do narzeczonej Dołguckiego. I o ile jego nie mogła sobie uprzytomnić, o tyle ją widziała wyraźnie. Utożsamiła ją z osobą pewnej panny, obywatelskiej córki z niedalekiego dworu, po którą zajeżdżał przed stację elegancki powozik ze stangretem w liberji. Panna była wysoka, szczupła i mówiła donośnym, rozkazującym głosem. Ubierała się prześlicznie, jak marzenie. Ile razy przechodziła przez stację, Wiertkiewicz stawał zawsze jak wryty i wlepiał się w nią pożądliwem spojrzeniem. Potem kazał pani Stasieńce robić sobie o to sceny zazdrości. I męczył ją tak, że dla świętego spokoju udawała zazdrosną.

Otrząsnęła się ze wstrętem na to niepotrzebne przypomnienie, które upadło jak odprysk błota na jej myśli. I jednocześnie zdjęła z szafy zostawione przez Dołguckiego pudło. Był to karton, owiązany sznur-

kiem. Panią Stasieńkę ogarnęła nagle niewypowiedziana ciekawość, żeby zobaczyć suknię. Już zaczęła rozwiązywać sznurek, gdy zawstydził ją nagle skrupuł.

— I jak można. Taki porządny, wyjątkowy człowiek.

Ale czuła, że żadnemi skrupułami nie przezwycięży ciekawości. Bo nie chodziło jej przecież o samą suknię. Chciała wyobrazić sobie narzeczoną Dołguckiego. I zdawało jej się, że suknia da jej o tej pannie przynajmniej częściowe pojęcie. Drżącemi trochę rękami podniosła wierzch pudła, delikatnie rozchyliła bibułki i doznała lekkiego rozczarowania. Suknia była bardzo strojna, ale jakaś bezosobista — żadna. Mimo to wyjęła ją z pudełka i rozwiesiła w rękach. I teraz musiała przyznać, że pierwszy jej sąd był zbyt pośpieszny. Im dłużej wpatrywała się w suknię, tem wydawała jej się piękniejsza. Barwny jedwab migotał jej przed oczami, jak nieznany, tajemniczy kwiat. Przybliżyła twarz i lekko dotknęła policzkiem powiewnej tkaniny. Cóż za rozkoszne było dotknięcie. Uśmiechnęła się mimowoli. Głęboko wciągnęła w siebie zapach jedwabnej gazy.

— Ej, śliczna suknia — przemknęło jej przez myśl. I gdzieś w głębi duszy odezwały się na to rezygnacja i upokorzenie. Słabiutkie, jakby na jedno mgnienie oka osknięte uczucia. Cóż ona mogła sądzić o strojach. Jaskrawo uzmysłowiała sobie różnicę między skazanemi na wieczną walkę nędzarzami, a światem ludzi szczęśliwych i niezależnych. I pomyślała z gorzkiem szyderstwem, że gdyby sama ubrała się w ta-

ką suknię, to wyglądałaby jak pośmiewisko. Taka suknia i jej zapracowane, poparzone ręce, zniszczone, podzelowane trzewiczyny, ordynarna, połatana bielizna, rozlatująca się od ciągłego prania. Śmiać jej się chciało. To byłaby dopiero prawdziwa maskarada!

I nagle ogarnęła ją chęć, żeby pokazać sobie to widowisko. Przynajmniej raz się w swojem smutnem życiu szczerze uśmieje. Szybko się rozebrała i włożyła suknię narzeczonej Dołguckiego. Niestety, lustro, które było w pokoju, wisiało w tak ciemnym kącie, że nie mogła się nawet dobrze zobaczyć. Zapaliła świecę i podniosła ją do twarzy. Przez chwilę przyglądała się sobie z zaciśniętemi ustami. Lustro dało jej takie właśnie odbicie, jakiego się spodziewała. Była okropna. Śmieszna! Pochyliła głowę z uczuciem gryzącego wstydu. Nie chciała się przyznać do przelotnej nadziei, która rodziła się w niej, kiedy ubierała się w strojny jedwab.

Ale mimo to zapragnęła się jeszcze zobaczyć w całości. Zdjęła z wiszącej lampy pomarańczowy abażur i stanęła przed czarną szybą okna. Było to bardzo niedokładne zwierciadło. Ledwo majaczyła się jej sylweta. Postanowiła jeszcze próbować szczęścia w drugiej połowie okna, gdzie szyby były czystsze, i wyciągnęła rękę, żeby zamknąć lufcik.

— W tej samej chwili zdrętwiała. Spostrzegła pod oknem Dołguckiego. Gwałtownie zrzuciła suknię i, drżąc z przerażenia, zaczęła ją układać w pudle.

III.

Dołgucki niczego pocieszającego na stacji się nie dowiedział. Ponieważ pociąg towarowy zatrzymywano dłużej, niż się zanosiło pierwotnie, więc inżynier nic już nie wygrywał na tem, żeby nim jechać, i mógł żałować tylko, że się nie zdecydował w Warszawie na poczekanie do następnego pociągu osobowego. Miał przed sobą jeszcze trzy godziny. Ale nie chciał już korzystać z gościnności Wiertkiewiczów i przez wzgląd na Wiertkiewiczową, która widocznie upadała ze znużenia i bardziej jeszcze z powodu Wiertkiewicza, działającego mu nieznośnie na nerwy. Żałował nawet, że się z Wiertkiewiczową odrazu nie pożegnał i nie zabrał kartonu z suknią narzeczonej. I obawiał się, żeby nie zastać w mieszkaniu Wiertkiewicza, którego pijackiej serdeczności miał już powyżej uszu.

Mróz go orzeźwił. Szedł prędko, powtarzając sobie poniewczasie w myśli maksymę, że nie trzeba nigdy jednego głupstwa poprawiać drugiem. Żałował, że ta niespodziewana nocna przygoda nie zdarzyła mu się w innej okazji, bo wówczas byłaby bardzo zabawna. I z żywą sympatją myślał o biednej pani Stasieńce.

Nagle stanął jak wryty. Był już o trzy kroki od domu i w jasno oświetlonem oknie, na które blask lampy padał jakby z reflektora, ujrzał Wiertkiewiczową w sukni swojej narzeczonej. Po wrażeniu, jakie odniósł po rozmowie z panią Stasieńką, taka bezczelność wydała mu się wprost nieprawdopodobna. Ale nie mógł się mylić. Zdjęła go taka wściekłość, że chciał wpaść i zrobić awanturę. Zobaczył jednak, że Wiertkiewiczowa zerwała ze siebie suknię i chowa ją pośpiesznie do pudła. Zatrzymał się bezradny. Najrozsądniej było już jej nie płoszyć, żeby przynajmniej nie pogniotła jedwabnej gazy przy pakowaniu. Ale w jednej chwili stracił całą sympatję dla pani Stasieńki. I nawet wstyd mu się zrobiło, że był tak głupi i dał się wprowadzić w pewien nastrój współczucia i zaciekawienia dla jej rzekomej niedoli. Łykała całemi dniami głupie romanse i pozowała prawdopodobnie na niezrozumianą bohaterkę jednego z nich. To było dobre do imponowania takim ludziom, jak pan Wiertkiewicz. Ale że on uwierzył! Widocznie zakręciła mu w głowie podła wódka.

Wszedł do sieni i zapukał do drzwi.

— Proszę — rozległ się z wewnątrz trochę drżący głos Wiertkiewiczowej.

Pierwsze spojrzenie rzucił na pudło z suknią. Stało na tem samem miejscu na szafie, gdzie je umieściła Wiertkiewiczowa. Pod wpływem oburzenia Dołgucki miał ochotę zdjąć je i zajrzeć do wnętrza. Ale powstrzymał się, zobaczywszy Wiertkiewiczową. Już nie tylko w wyrazie twarzy, ale w całej jej postaci malowało się takie jakieś bezbrzeżne zalęknienie i upokorzenie,

że go zdjęła litość. Nie chciał się już znęcać nad tą nieszczęsną istotą. Wiertkiewiczowa miała przytem taką minę, że w razie, gdyby zamiar swój wykonał, mógł się obawiać jakiegoś wybuchu płaczu. I, odzyskując powoli spokój, zrozumiał, że oglądanie sukni byłoby praktycznie bezcelowe. W każdym razie Wiertkiewiczowa ułożyła ją lepiej, niż on by to potrafił.

Odezwał się zimno.

— Bardzo mi przykro, że jeszcze panią nachodzę, ale niestety zapomniałem mojej paczki.

Zdjął pudło z szafy i teraz mógł stwierdzić, że mimo pośpiechu, Wiertkiewiczowa zawiązała je bardzo starannie.

— Pan już jedzie? — zapytał pani Stasieńka.

— Rano — odparł takim samym suchym tonem, jakim mówił poprzednio.

— Jakim pociągiem?

— Osobowym.

— Osobowy idzie dopiero o siódmej.

— Tak.

Wiertkiewiczowa oparła się rękami o stół i pochyliła głowę. Ta jej pozycja znów skrępowała trochę Dołguckiego. Nie wiedział poprostu jak podejść i pożegnać się z kobietą tak przygnębioną. I stał nawprost niej w milczeniu, czekając, żeby podniosła głowę.

W sieni rozległy się nagle ciężkie kroki Wiertkiewicza. Gwałtownie pchnął drzwi i wpadł do pokoju.

— Ale mróz bierze!

Umilkł i badawczym wzrokiem zaczął się przyglądać żonie i Dołguckiemu. To już doprowadziło Doł-

guckiego do ostatecznej irytacji. Chwycił swoją paczkę ze stołu i ukłonił się Wiertkiewiczowej.

— Raz jeszcze przepraszam państwa za wszystkie niewygody, na jakie ich naraziłem.

Wiertkiewiczowa skinęła głową i ledwo dotknęła jego ręki. Wiertkiewicz zasunął ręce w kieszenie i wyzywającym wzrokiem patrzył na żonę. W oczach miał jakieś dzikie błyski.

— To bydlę gotowe się jeszcze na nią rzucić — pomyślał Dołgucki.

— A niech się biją — odpowiedział sobie zaraz. Nie miał zamiaru odgrywać roli rycerza wobec pani Stasieńki.

— Bardzo dziękuję i dowidzenia — zwrócił się do Wiertkiewicza.

Wiertkiewicz roześmiał się ironicznie.

— Już pan ucieka?

— Już.

I Dołgucki szybko skręcił ku drzwiom, nie chcąc się wdawać w dalsze rozmowy z pijanym. Z poza drzwi usłyszał wściekły głos Wiertkiewicza.

— Cóż tak stoisz, psiakrew!

— Hołota! — mruknął z obrzydzeniem Dołgucki, przyśpieszając kroku.

IV.

Panna Korczewska stała koło okna, oparta o scianę, z rękami założonemi wtył. Pozycja ta doskonale uwydatniała jej smukłe, ale muskularne kształty. Była to zdrowa blondynka, wyhodowana na dobrym chlebie, która przemocą trochę wtłaczała się w nowoczesny styl. Najniepotrzebniej w świecie miała uczerwione, ponsowe z natury, usta i sztucznie przedłużone bujne brwi. Była ubrana tak lekko i przejrzyście, że jej świeża różowa cera aż posiniała z chłodu. I raz po raz, jakgdyby dla rozgrzania się, przebierała nogami w zbyt strojnych pantofelkach ze złotej lamy.

Zmierzch zapadał. Z salonu naprzestrzał widać było obie strony dworu. Od dziedzińca śnieg już był niebieskawy, i krzewy przed oknami odcinały się z wyrazistą czarnością. Z drugiej strony domu, w ogrodzie, snuły się jeszcze lekkie, różowawe blaski słońca.

Po ciężkim obiedzie, przy którym dużo pito, ogarnęła wszystkich pewna ociężałość. Dołguckiego chwyciło kilku starszych panów na politykę i nowiny warszawskie. Panna Mila bawiła rozmową małżeńską parę najbardziej oficjalnych gości. I, mimo pozornego zain-

teresowania się tylko tem wyłącznie, doskonale widziała zachwycone spojrzenia, jakie jej słał narzeczony. Sprawiały jej niewypowiedzianą przyjemność. Dołgucki uosabiał typ mężczyzny właśnie w jej rodzaju. Poza niewątpliwą fizyczną urodą, niesłychanie podobał jej się rodzaj jego inteligencji i pozorny spokój, na który umiał się zdobywać w chwilach, kiedy intuicyjnie wyczuwała, że był zdenerwowany. Wyobrażała to sobie, jako imponującą, prawdziwie męską cechę charakteru. W tej chwili współczuła mu szczerze, wiedząc, jak go musiała nudzić rozmowa z wiejskimi politykami. Myślała, że daleko rozumniej byłoby, żeby zamiast słuchać tych oklepanych wywodów, przespał się i wypoczął. Więc też, gdy matka wyręczyła ją wreszcie z nudnego obowiązku, poszła wyswobadzać narzeczonego. Dała mu znak oczami.

— Oj, dobrze, żeś mnie od tych piłatów uwolniła — zaczął jej gorąco dziękować.

— Idź nagórę i prześpij się — przerwała mu z uśmiechem.

Dołgucki miał wielką na to ochotę, ale zaczął protestować.

— Ależ ja nie jestem senny.

— Owszem. Jesteś. Ledwo na oczy patrzysz. Musiałeś gdzieś przez całą noc hulać.

— Hulać — nie hulałem. Ale nie spałem prawie wcale.

— Dlaczego?

W głosie panny Mili odezwał się jakby leciutki akcent zaniepokojenia. Dołgucki podziękował jej ser-

decznem spojrzeniem, roztkliwiony tą oznaką troskliwości. Zły był na siebie trochę zresztą. Zamiast opowiedzieć wesoło swoje przygody w nocy, skłamał, że się spóźnił na pociąg, ponieważ czekał na suknię, którą odesłano mu dopiero bardzo późnym wieczorem. I sam sobie wydawał się teraz dziecinny i śmieszny.

Panna Mila wzięła go za rękę.

— Idź spać. Każę cię za dwie godziny obudzić, jak goście zaczną się zjeżdżać na wieczór. Teraz jest najnudniejszy moment dnia. Nie warto żebyś siedział.

Wyprawiwszy Dołguckiego do gościnnych pokojów, panna Mila wróciła do salonu. Zasłonięto już okna i zapalono światła. Obiadowi goście, przeważnie rodzina, snuli się jak senne muchy po wszystkich pokojach. Gdyby nie obowiązki towarzyskie, panna Mila z rozkoszą sama zamknęłaby się u siebie. Z chwilą, gdy wysłała narzeczonego spać, wszystko stało się dla niej nudne i męczące. Było to zresztą uczucie krótkotrwałe. Niebawem zaprzątnęły jej uwagę przygotowania do wieczornego przyjęcia. Pomimo przyjętego stylu istoty żyjącej tylko najbardziej nowoczesnemi i modnemi wrażeniami, narzeczona Dołguckiego w głębi duszy była typową wiejską panną. Tkwił w niej instynkt gospodarnej pani domu, i do roli tej przygotowywała się od wczesnego dzieciństwa. Więc umiejętnie i fachowo badała, czy wszystko jest tak, jak należy. Myśli jej ciągle przeskakiwały od przygotowywanej kolacji — do narzeczonego i od narzeczonego — do nakrywania stołu. Te kontrasty składały się jednak razem na całość szczęścia. Czuła, że jest bardzo kochaną i że

stanowi ośrodek życia, które pulsowało w domu. Uczucia jej harmonizowały doskonale z atmosferą tego domu jasną, ciepłą, stanowiącą jakby odrębny, zamknięty w sobie świat, bezpiecznie odgrodzony od mroźnej, zimowej nocy. Układały jej się myśli w głowie miękko i rozkosznie, i chodziła jak w puchu.

I nagle w tę miłą błogość wkradł się zgrzyt podejrzenia. Jak Dołgucki spędził noc naprawdę? Już z rana, kiedy wysiadł z sanek, uderzył ją niezwykle zmęczony jego wygląd. I nawet gorzej, niż zmęczony. Panna Mila nie umiała znaleść formy na określenie swego wrażenia. Ale ten Dołgucki z zaczerwienionemi oczami, nieogolony, z rozchodzącym się, przybrudzonym kołnierzykiem, pod którym krawat zwinął mu się w sznurek wydał jej się jakiś podejrzany. Nieraz przyjeżdżał z Warszawy tym samym pociągiem, i nigdy nie znać na nim było najmniejszego zaniedbania. Widocznie więc tym razem pojechał na kolej tak, jak wrócił do domu, i nie miał już czasu myśleć o swoim wyglądzie.

Z rana zresztą stwierdziła tylko dziwne, nawet lekceważące trochę zaniedbanie Dołguckiego. Płynące stąd refleksje przyszły jej na myśl dopiero teraz z powrotną falą wrażenia! I zburzyło to całkowicie jej spokój. Poprostu zaczęła ją nurtować zazdrość. Była rozkochana w narzeczonym całą siłą swoich, rwących się do nasycenia, zmysłów. Każdy jego pocałunek, każde dotknięcie przejmowało ją wnikliwym dreszczem. I buntowała się nawet przeciwko samemu przypuszczeniu, że Dołgucki mógł się zbliżyć do jakiejś innej kobiety. Osowiała tak, że to zwróciło uwagę pani Korczewskiej.

— Co ci jest?

— Głowa mnie trochę boli — skłamała napoczekaniu.

— Przestań się kręcić. Będziesz całą noc tańczyła, idź lepiej odpocznij i zacznij się ubierać.

Panna Mila usłuchała matki. Tem bardziej, że termin, jaki wyznaczyła Dołguckiemu na wypoczynek, już mijał, i za pół godziny miała go kazać obudzić. Chciała mu się pokazać w tej nowej sukni, która spowodowała jego spóźnienie.

Suknia leżała na łóżku. Po ukończeniu toaletowych przygotowań panna Mila zaczęła ją kłaść i uczuła nagle ukłucie szpilki. Zdjęło ją oburzenie na niedbalstwo magazynierki, która nie raczyła nawet obejrzeć roboty przed wysłaniem, i przygotowywała się już w duchu do ostrej z nią przeprawy za pierwszym pobytem w Warszawie. W chwili jednak, gdy zsuwała nawpół włożoną suknię, chcąc wyjąć szpilkę, na podłogę upadł kawałek koronki, spiętej czemś błyszczącem.

Panna Mila podniosła koronkę. Była to taniutka szmatka, przepięta ordynarną broszką z topionym rubinkiem. Panna Mila otworzyła szeroko oczy. Co tó miało znaczyć? Widocznie pannice z magazynu ubierały się w jej suknię.

— Pojęcie ludzkie przechodzi — mruknęła, wzruszając ramionami. Machinalnie odpięła broszkę i wzrok jej padł na napis wyryty na wewnętrznej stronie bižuteryjki. Również machinalnie podniosła broszkę do oczu, żeby przeczytać drobniutkie literki.

„Najdroższej Stasieńce”.

I data z przed dwóch lat.

Panna Mila zmarszczyła brwi. Rocznica tej daty wypadała poprzedniego dnia. Czuła, jak krew jej uderza do głowy. Sięgnęła po suknię i gorączkowo zaczęła ją oglądać. Nie ulegało wątpliwości, że suknię ktoś miał na sobie. Panna Mila podniosła ją pod światło i na jednem z ramiączek zobaczyła plamkę stearyny. Upuściła suknię na podłogę. Miała już pewność, że istotą która się ubierała w jej suknię, nie była żadna z magazynowych panien. Przecież w magazynie nie pracowano przy świecach.

Zatrzęsła się ze wstrętu i zacisnęła usta, żeby nie krzyczeć. Zazdrość objęła ją jak płomień. Dołgucki stroił w jej suknię swoją kochankę. Dlatego pozostał w Warszawie na noc, żeby obchodzić sentymentalną rocznicę. Wyprostowała się, uspokojona nagłym nakazem woli. Ona miałaby współzawodniczyć z jakimś miejskim wycieruchem? Nigdy!

Czuła już tylko bezbrzeżną pogardę dla Dołguckiego. I łączyło się z tem ogromne uspokojenie. Nie miała pojęcia, że tak łatwo można było przestać kochać. Dołgucki już dla niej nie istniał. Wszystko byłaby mu wybaczyła, tylko nie zdradę. Uprzedzała go zresztą nieraz w teoretycznych rozmowach, że w tym jednym wypadku potrafiłaby odrazu, w ciągu sekundy przestać go kochać. I drażniło ją, że Dołgucki mówił zawsze o tem lekko i z odcieniem żartobliwości. Pewno jej nie wierzył. Uśmiechnęła się wyniośle. Postanowiła przekonać pana Dołguckiego, że nie mówiła słów swoich na wiatr.

I to zaraz.

Otworzyła szafę i, nie patrząc, wyjęła jedną z dawniejszych balowych sukien. Powoli, systematycznie dokończyła się ubierać, uporządkowała pokój i, zwinąwszy fatalną koronkę we czworo, starannie przepięła ją broszką. Następnie zadzwoniła na pokojówkę.

— Poproś tu pana Dołguckiego.

Ze spojrzenia pokojówki wywnioskowała, że jednak, mimo panowania nad sobą, w tonie jej było coś nienaturalnego. Więc skrzepiła się w sobie jeszcze bardziej. Przywołała na pomoc poczucie swej klasowej wyższości nad Dołguckim. Była u siebie. Na swojem terytorjum. Prócz rodziców, którzy dzielili z nią władzę, mogła wydalić wszystkich. I przedewszystkiem Dołguckiego. Jak parobka. Zmrużyła oczy i z uśmiechem wyobraziła sobie swoje Górki. Każde drzewo, każdy zagon, każdą ścieżkę wydeptaną na łące, każdą najdrobniejszą sadzonkę w zagajniku. Wiedziała, że to wszystko było jej — i dla niej.

Drgnęła. Dołgucki zapukał do drzwi. Wszedł wesoły, wyświeżony, we fraku. I odrazu twarz mu zgasła. Odezwał się niepewnym głosem.

— Co się stało?

Panna Mila niedbałym ruchem podała mu broszkę. Dołgucki spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Co to jest?

— Broszka Stasieńki. Cóż — ciągnęła tonem ironicznym. — Do twarzy jej było w mojej sukni?

Mówiąc, wpatrywała się pilnie w Dołguckiego. Zdziwienie i zmieszanie, jakie odbiło się na jego twarzy,

nie mogło ujść jej uwagi. Podniosła się blada, z zaciśniętemi ustami.

— Bardzo się cieszę, że pan wesoło noc spędził.

— W tej chwili opowiem ci wszystko — przerwał Dołgucki.

— Nie jestem ciekawa. Może opowiadanie pańskie byłoby bardzo zajmujące, ale dla mnie ważniejszą rzeczą narazie są moi goście i nastrój zabawy. Sądzę, że pan zechce porzucić te dramatyczne miny i tak się zachowywać, żeby nie psuć wieczoru.

I, nie czakając odpowiedzi osłupiałego Dołguckiego, wyszła z pokoju.

V.

Dołgucki leżał na otomanie z oczami, utkwionemi w sufit, i rozmyślał. Starał się to robić według planu, który polegał na tem, aby się nie poddawać żadnym uczuciowym nastrojom i rozważyć całe zajście jak najchłodniej i najbezstronniej. Takie wyodrębnienie w duszy abstrakcyjnego kanaliku, którym płynęłaby kryształowa logika, było niesłychanie trudne, ponieważ, jak wiatr wodę, tak i tę czystą falę mąciły i zamulały raz po raz najróżnorodniejsze uczucia: bólu, gniewu, urażonej dumy, tęsknoty, pożądania zmysłowego. Musiał więc wciąż walczyć z temi naleciałościami, które podstępnie i niepostrzeżenie mogły mu zmylić bieg rozumowania. Nakazem zaś tej zmudnej pracy w jego duszy było zupełnie podświadome dążenie do zachowania czystości swej wewnętrznej treści.

Podstawą charakteru Dołguckiego był głęboki idealizm, dochodzący w niektórych swych przejawach aż do donkiszoterji. Wyniósł to ze środowiska, w którem się wychowywał. Ojciec jego był uczonym, który, wskutek nieszczęśliwych warunków życia polskiego w niewoli, marnował zdolności i głęboką wiedzę na dawa-

nie lekcyj po prywatnych pensjach żeńskich. Ale, żyjąc wyłącznie i całkowicie dla patrjotycznego ideału, który mu świecił w duszy, nie zastanawiał się nigdy nad swoim osobistym losem i, mimo niewątpliwego wykolejenia, wyzbyty był wszelkiej goryczy. Obraz ojca wysokiego, szczupłego, z rozstrzępioną ciemno-blond bródką, ubranego zawsze w długi, czarny tużurek i wojującego z binoklami na czarnym sznureczku, stale łączył się we wspomnieniach Dołguckiego z ciemnawem mieszkaniem na ulicy Zielnej. Kilka razy w miesiącu, wytapetowana na piernikowy kolor, jadalnia zmieniała się w konspiracyjną salę wykładową.

Ze względu na ostrożności przy wchodzeniu na schody upływała najmniej godzina, nim się wszystkie panny zebrały. Małego Dołguckiego, któremu matka kazała siedzieć cicho w drugim pokoju i nie wygadać się, gdyby broń Boże wpadli żandarmi, lekcje te wprawiały w pełen uroczystego podniecenia nastrój. Marzył o tem, żeby, jak dorośnie, uczyć tak samo w sekrecie przed całą kamienicą i czyhającymi gdzieś zdaleka żandarmami. Gdy się raz z tych marzeń zwierzył, ojciec roześmiał się, pogłaskał go po głowie i zapowiedział, że nim dorośnie, Polska już będzie wolna i potężna. Chłopiec uwierzył ojcu, bo mu we wszystkiem wierzył święcie, ale równocześnie uczuł jakby żal, że straci trochę piękna w życiu. I nie mógł się oprzeć myśli, że dobrzeby jednak było, gdyby to wypędzenie Moskali odwlokło się nieco, tak, żeby i on mógł zdążyć jeszcze, choćby krótko, udzielać tajemniczych lekcyj.

Miał na imię Tadeusz. W domu nie nazywano

go nigdy zdrobniale, ponieważ ojciec utrzymywał, że byłoby to pewną profanacją imienia, które nosił Kościuszko. Z różnych ludzi, widywanych w dzieciństwie, najbardziej mu utkwiła w pamięci postać żwawego staruszka, który, chodząc po mieście, omijał zawsze plac Saski, żeby nie widzieć zbliska cerkwi, a zwykłą wiadomość o urodzeniu się gdzieś jakiegoś dziecka przyjmował z nastrojoną na górny ton radością, że Polska stała się bogatsza o jednego obywatela. Ten stary przyjaciel powtarzał mu przy każdej sposobności, że Polak powinien być wyjątkowo prawy. Mały Dołgucki słuchał z przejęciem, ale nieraz bardziej go zajmowało zagadnienie, jakby ten pan musiał iść, gdyby na Krakowskiem Przedmieściu się dowiedział, że na czubku fontanny w Saskim ogrodzie założył sobie gniazdo biały orzeł.

Te wspomnienia miały osobny kąt w duszy Dołguckiego, ukryty głęboko pod nawarstwieniami krytycyzmu, który w nim się z biegiem lat rozwijał, i nowych poglądów. Była to jakby jedna z tych sentymentalnych skrytek w staroświeckich biurkach, skąd, po otwarciu, płynie woń zwietrzałych perfum, budząc w myślach dawno zapomniane obrazy. Tak samo Dołguckiego, kiedy zbliżał się do tej swojej skrytki, owiewało tchnienie dzieciństwa. Instynktownie zwracał się do niej w różnych trudnych chwilach życia. Zapach wspomnień, jak cieniuteńki dymek, snuł się między jego myśli i nieraz nadawał im właśnie ten potrzebny, z wysiłkiem poszukiwany ton.

I w tej chwili Dołgucki przeżywał ciężki prze-

łom w życiu. Od wyjazdu z Górek ani przez chwilę nie dopuszczał do siebie myśli, że zerwanie mogło być chwilowem nieporozumieniem, łatwem do usunięcia po uspokojeniu się nerwów. Najboleśniejsze może nawet narazie było dla niego uczucie rozczarowania w stosunku do panny Korczewskiej. Mógł rozumieć podejrzenia na tle zazdrości, wybuch gniewu, nawet zawziętość, ale poza tem wszystkiem najbardziej go dotknęła pierwszy raz przez niego odkryta oschłość serca narzeczonej. Zmieniła mu się w pojęciach jakby w inną zupełnie istotę, pełną nienawiści i drapieżną. I ten zapach wspomnień, który nadawał ton jego myślom, sprawił, że w rzeczywistości bardziej może ubolewał nad załamaniem się panny Mili, niż nad katastrofą osobistą. Uczucia jego już się rozdwoiły. Obok bolesnej tęskno-ty snuł się i odcień lekceważenia dla kobiety, która go tak zawiodła. Przez wrodzoną, posuniętą do drobiazgowej skrupulatności, prawość tych właśnie niechętnych uczuć się obawiał i nie chciał im dowierzać.

Z przedpokoju doleciał go nagle odgłos dzwonka. Zerwał się z otomany z pewnym uczuciem ulgi. Wytężone i długie myślenie na jeden i ten sam temat już go bardzo zmęczyło, a zdawał sobie dobrze sprawę, że sam, bez jakiegoś impulsu z zewnątrz nie potrafiłby się oderwać od swoich myśli. Szybko poszedł do przedpokoju i otworzył drzwi. Gościem był Miller, skurczony z zimna i cały mokry od śniegu, który topniał mu na ubraniu. Przekroczywszy próg, zaczął niesłychanie długo i starannie wycierać o słomiankę buty.

— Jakiż czas miałeś na wsi? — odezwał się wreszcie zakatarzonym głosem.

I, nie czekając odpowiedzi, zaczął opowiadać nowiny warszawskie, takim tonem i tak drobiazgowo, jakgdyby Dołgucki Bóg wie ile czasu nie był w mieście i wracał z jakiegoś odludzia. Przytem starał się najwidoczniej wywierać wrażenie człowieka, który mógł o tych rzeczach mówić zupełnie naturalnie i z zainteresowaniem. Dołgucki odgadł odrazu stan duszy kolegi. Gorączkowa elokwencja Millera, mająca jakby na celu niedopuszczenie Dołguckiego do słowa, wynikała poprostu z obawy, żeby nie usłyszeć zaprędko fatalnej nowiny, że jeszcze nic się dla niego nie znalazło. Dołgucki rzeczywiście po powrocie do Warszawy nie myślał wcale o Millerze, a zresztą, gdyby nawet myślał, to nie miałby poprostu czasu na wyszukanie mu zajęcia, doprowadzony jednak do ostatecznych granic wyczerpania, biedak, chwytał się już myślą nadziei cudu, za jaki uważał wynalezienie posady w ciągu godziny.

Dołguckiemu żal go się zrobiło.

— Słuchaj, Władku — odezwał się, biorąc Millera za rękę. — Ja nie miałam jeszcze czasu zająć się twojemi sprawami, ale możesz być przekonany, że tego nie zaniedbam. Będziesz miał posadę, wydźwigasz się powoli z kłopotów i wrócisz do normalnego życia. A teraz mówmy poprostu. Po koleżeńsku. Może ci narazie potrzeba pieniędzy.

Miller potrząsnął przecząco głową.

— Nie.

Dołguckiemu wydało się to trochę dziwne.

— Mój drogi, przecież ze mną możesz mówić szczerze.

— Mówię szczerze — odparł Miller. — Mam. Gdybym nie miał i musiał pożyczać od ludzi, tobym się już nawet do ciebie nie zwracał o pomoc, bo wolałbym się powiesić odrazu. Posiadałem kilkaset złotych oszczędności i z tego żyję. Ograniczyłem wydatki, jak tylko mogłem, więc pewien czas uda mi się jeszcze przetrwać. Trzy miesiące — dorzucił po krótkim wahaniu, otrząsając się nerwowo i mrużąc oczy jakby przed jakąś przerażającą wizją.

— No, jeśli trzy miesiące, to już dobrze — roześmiał się Dołgucki. — Znacznie wcześniej znajdę ci coś na pewno.

— Dałby Bóg — westchnął Miller. — Widzisz, ja jestem człowiekiem który nie może żyć w niepewności — ciągnął ożywiając się zlekka. — To moja choroba. Jeśli chodzi o ograniczenia, posiadam żelazną siłę woli. Mogę się skręcać z głodu, a nie przekroczę budżetu, jaki sobie na dzień wyznaczyłem.

— A ileż wydajesz dziennie?

Miller machnął ręką.

— Nie warto o tem mówić. Od trzech dni zmniejszyłem swoje wydatki dzienne o dziesięć groszy.

Dołgucki wiedział, że Miller mówi prawdę. Jeszcze w szkołach słynął on z wytrwałości i silnej woli. I Dołgucki pojąć nie mógł, jakim sposobem człowiek, obdarzony takiemi własnościami, dał się wytrącić z życia. Jakgdyby odgadując intuicyjnie jego myśl, Miller zaczął mówić o sobie.

— Widzisz, całe moje nieszczęście na tem polega, że ja potrafię tylko wielu rzeczy nie robić. Jestem uczciwy i za żadne skarby świata nie popełniłbym żadnego nadużycia. W razie potrzeby, tak jak teraz, potrafię sobie wszystkiego odmówić. Może wskutek tego, że zdaję sobie sprawę z braku wszelkiej aktywności w moim charakterze, każde niepowodzenie odrazu mnie płoszy i wytrąca z równowagi. O! — wykrzyknął nagle, jakby ucieszony znalezieniem porównania — ponieważ ty masz z kolejami do czynienia, więc mnie zrozumiesz. Ja muszę być na szynach, i wtedy wszystko jest dobrze. Ale sam na szyny wleźć nie potrafię.

— Żonaty jesteś? — zapytał go nagle Dołgucki.

Miller tak spojrzał, jakby w tem pytaniu mieściła się jakaś niesłychana ekscentryczność.

— Tegoby mi jeszcze brakowało.

— A mnie się zdaje, że tego ci właśnie brakowało i brakuje. Skoro nie potrafisz zdobyć się na aktywność sam, to możeby żona to za ciebie zrobiła.

— Teoretycznie masz rację — odparł przeciągle Miller.

I machnął ręką tak samo, jak przed chwilą, kiedy go Dołgucki pytał o wydatki dzienne.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Przyglądając się Millerowi, Dołgucki zdał sobie nagle sprawę, że coś mu w tym człowieku przypominało Wiertkiewiczową. I po chwili obserwacji ustalił swoje wrażenie. Oboje mieli podobny wyraz zalęknienia w oczach i podobne akcenty bezradności w mowie.

— I ta para niedołęgów — myślał Dołgucki —

złożyła się na moje nieszczęście. — Było w tem rzeczywiście przedziwne szyderstwo losu. Dwoje niemrawców, z których żadne nie umiało sobie w niczem poradzić, dokonało zupełnej zmiany w jego życiu. Można było uwierzyć w przeznaczenie. W Dołguckim budziło się obce zupełnie jego usposobieniu to wesołe uczucie, które się określa mianem szubienicznego humoru. — Ciekawa rzecz — powtarzał sobie w myśli — jaką minę zrobiłby Miller, który się skarży, że nie umie sam wleźć na szyny, gdybym mu powiedział, że mnie z szyn wytrącił, a mocno w nich siedziałem. — I znów zatrzymał wzrok na Millerze. — A może on naprawdę pecha mi przyniósł? — Miller, chwyciwszy spojrzenie Dołguckiego, uśmiechnął się głupkowato i poruszył się na krześle, przytem i w uśmiechu i w ruchu była wyraźna czujność człowieka, który chce uprzedzać cudzą wolę. I znów poczuł do niego taką samą odrazę jak przy pierwszej rozmowie przed tygodniem.

Ale trwało to sekundę. Wysnuwające się uczucie zmyła odrazu lodowata fala nienawiści do panny Mili. Już nie niechęci, ale nienawiści. Właśnie; zamulać sobie głowę myślami o urokach, jak kucharka, i na Bogu ducha winnych ludzi przerzucać czyjąś wewnętrzną pustkę i oschłość. Tego tylko brakowało! Już tylko głupstwem wydały mu się scholastyczne rozmyślania nad bezstronnem osądzeniem panny Mili. Niepotrzebnie czas marnował. Wszystkie rozdźwięki, nieporozumienia i zgrzyty zjawiły mu się nagle w pamięci, uszeregowane jakby tłum wyraźnych, dobrze znanych postaci. I zdawało się, że wszystkie mówią. — No przecież, tłuma-

czyłyśmy ci, uprzedzały... To, co się stało nakońcu, było tylko konsekwencją, żelazną konsekwencją! Jak mogłeś być tak zaślepionym, żeby tego nie przewidzieć. — Zdawało mu się, że miał głowę pełną szeptów, które tak go zaczęły kołysać, że aż mu pociemniało w oczach.

Gniew machinalnie odbijał się w jego wzroku. Miller to widział, i ogarnęło go przerażenie. Siedział, jakby przyrośnięty do krzesła, i wciąż odwracał tylko głowę przed roziskrzonemi oczami Dołguckiego. Nareszcie Dołgucki go zobaczył. I uspokoił się odrazu. Miller miał tak zabawnie przerażoną minę, że aż mu się śmiać zachciało. Znów go zastanowiło podobieństwo Millera do Wiertkiewiczowej. Tak samo zupełnie wyglądała tamta, gdy ją przyłapał na przymierzaniu sukni.

— Zamyśliłem się — odezwał się z uśmiechem, który wywierał takie wrażenie, jakby, płynąc gdzieś zdaleka, przysiadł mu tylko na ustach.

— Ależ proszę cię — odparł skwapliwie Miller. I po chwili dorzucił nieśmiałym, przyciszonym głosem:

— Ja uważam, że jeżeli ktoś się przy mnie zamyśla, to daje mi dowód dużego zaufania.

Powiedzenie to podobało się Dołguckiemu. Przyjaźnie spojrzał na Millera. I zaraz znów o nim zapomniał. Był tak pochłonięty swojemi myślami, że nie mógł im narzucić najmniejszego przymusu. Wrócił do swej ostatniej rozmowy z panną Milą. Tkwiły mu żywo w głowie nietylko wyrazy, ale wszystkie odcienia, spadki i podniesienia głosu, najsubtelniejsze drgnienia oczu

i ust. Ale tym razem każdy szczegół nabierał nowej, niesympatycznej treści. Wszystko opowiedział szczerze o wizycie Millera, o Wiertkiewiczowej, o sukni, i panna Mila nie uwierzyła mu ani słowa. To mniejsza. Ale oświadczyła, że, gdyby opowiadanie jego było prawdziwe, to uważałaby ten szereg faktów za coś nieskończenie gorszego od kłamstwa. W tem nie było ani przesady, ani stylizacji. Otworzyła się jej dusza naoścież, i kiedy zadrwiła z sentymentalnej czułostkowości Dołguckiego, buchnęła z poza tego zimna pogarda dla wszystkich szlachetniejszych uczuć. I ta nienawiść do ubóstwa! Gdyby zamiast bylejakiej biżuteryjki znalazła kosztowną, brylantową broszkę, byłaby na pewno wyrozumialsza.

I nagle Dołguckiemu nasunęła się na myśl pani Stasieńka. Przy zmienionych rolach ona przedewszystkiem uwierzyłaby w jego opowiadanie. Ani jednego słowa nie podałaby w wątpliwość. Bo jeśli się ma ludzkie uczucia w duszy, to ostatecznie poza dźwiękiem głosu i logiką argumentów można wyczuć prawdę. Wiertkiewiczowa wyczułaby to jako istota obca, więc co najmniej tego samego możnaby żądać od niby to kochającej. Przytem powinnoby grać jakąś rolę i zaufanie do kochanego człowieka. Dołgucki zacisnął usta z wyrazem obrzydzenia i bólu. Niesłusznie chciano w niego wmawiać jakiś przesadny sentymentalizm i czułostkowość. Nie miał najmniejszego zamiaru idealizowania Wiertkiewiczowej. Ale tamta zrozumiałaby, że można poświęcić dziesięć minut szkolnemu koledze, który w ostatecznej rozpaczy przychodzi z prośbą o po-

moc. Dołgucki raz jeszcze przepowiedział sobie odpowiedź Mili. — Jak się do mnie jedzie, to się nie wolno spóźniać! — Każde słowo, aż pęczniało od głupiej, małostkowej pychy. Wiertkiewiczowa nie jakiś tam łachman ale samą siebie poświęciła dla swoich kochanych. — Ja przecierpię, ale dzieciaki na ludzi wyrosną. — To był człowiek. Zahukany, zbiedzony, sponiewierany, ale człowiek.

— Trzeba jej te książki posłać — przypomniał sobie nagle Dołgucki. Zerwał się z krzesła i podszedł do jednej z szaf bibljotecznych, odziedziczonych po ojcu. Te trzy szafy mocne, obszerne, oszklone i wypełnione książkami stanowiły cały jego spadek.

— Chodź-no tu — zwrócił się do Millera.

— A co?

— Będziesz mi pomagał wybierać książki.

Miller aż rozpromieniał z radości. Uczuł się potrzebny.

— Co ja mam robić?

Narazie układaj te książki na stole, które ci będę podawał. A potem pomożesz mi zrobić pakunek. Ja sam nie potrafię.

— A ja świetnie potrafię zawijać.

— No, to doskonale.

— Co to bieda robi z człowieka — odezwał się po chwili Miller. — Gdy zacząłeś wybierać te książki,

ja odruchowo chciałem powiedzieć: zawsze kilka złotych dadzą.

— Widzę z tego, żeś miał bibljotekę, którą sprzedałeś.

— Nie, ale zawsze żałowałem, że chociaż tego nie mam — westchnął Miller.

VI.

Była godzina siódma wieczorem. We dworze w Górkach głucha noc, okiennice pozamykane.

Przez całe popołudnie pani Korczewska i Mila snuły się sennie po domu i wreszcie zasiadły w niewielkim pokoju, obok salonu. Pokój ten szumnie nazywano bibljoteką, ponieważ główny jego mebel i ozdobę stanowiła wytworna szafa bibljoteczna, w górnej swej części, widzianej przez szyby, pełna pięknie pooprawianych książek. Niedostępny już bezpośrednio dla wzroku ludzkiego, dół służył za skład najrozmaitszych niepotrzebnych gratów. Wyrazem ewolucji potrzeb intelektualnych był umieszczony na stoliku pod oknem aparat radjowy, doskonały, ale bez głośnika. Stanowiło to wielką niewygodę przy słuchaniu, to też co kilka dni mniej więcej mówiono o potrzebie kupienia głośnika, tak się jednak zawsze fatalnie jakoś składało, że sprawunek ten nie mógł dojść do skutku. Właściwie zawsze odsuwała go sama pani Korczewska, ale w pewnych chwilach zapominała o tem, i brak głośnika budził w niej głuchą irytację. Wierzyła wtedy, że nacisk metalowych słuchawek na uszy niesłychanie ją denerwuje i przy-

prawia o straszne bóle głowy i, ulegając sugestji wrażenia, gotowa była przysięgać, że nigdy nie słucha radja. Taki nastrój ogarnął ją właśnie, gdy weszła z córką do bibljoteki. Widząc, że Mila zbliża się do aparatu, żachnęła się niecierpliwie i syknęła, jakby z bólu.

Żachnięcie się było ledwo dostrzegalne, a syk tak cichy, że człowiek obcy nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi. Ale Mila, która znała matkę nawskroś, umiała się dosłuchać w tym wyrwanym, żałosnym dźwięku całej symfonji wyrzutów i skarg, przedziwnie powikłanych, bo, gdy jedne z nich były świeże, urodzone w ciągu dnia, inne sięgały co najmniej o ćwierć wieku oddalonej przeszłości. I w tej symfonji sprawa głośnika stała się już tylko jedną z modulacyj. Górowały ponad nią: choroba, coraz częstsze wyjazdy Korczewskiego w ostatnich dwóch latach do Warszawy, pogłoski, że miał tam kogoś, zerwanie Mili z narzeczonym, koszty podróży do Vichy, wspomnienia przykrości z przed trzech lat, z przed dziesięciu lat, aż do tych, niezrozumianych wporę, ostrzegawczych znaków z czasów panieńskich, które powinny ją były, gdyby miała dzisiejszy rozum, powstrzymać od nieudanego małżeństwa. Bo zasadniczym tematem symfonji, zamkniętej w jednem cichem westchnieniu, było rozczarowanie z powodu małżeństwa. I gorycz tego rozczarowania stawała się tem dotkliwsza, im bardziej pani Korczewska zdawała sobie sprawę, że już właściwie wszystko jej zobojętniało, i niczego od życia wymagać nie chce i nie pragnie.

Odgadłszy stan duszy matki, Mila nietylko już

jej nie proponowała słuchania radja, ale sama zawahała się czy słuchać. Wprawdzie napozór pani Korczewska była jak najzupełniej pochłonięta pracą nad jakimś haftem. Mila wiedziała jednak, że gdy tylko usiądzie i założy słuchawki na uszy, matka jej odczuje natychmiast swoje upośledzenie. Nie mogła odejść od aparatu zbyt szybko, bo pani Korczewska domyśliłaby się ofiary, a to była rzecz, która ją najbardziej dotykała i gniewała. Przez wzgląd więc na jej przesubtelnioną drażliwość Mila musiała wykonać szereg grymasów i gestów, obrazujących przejście uczuciowe od nagłego kaprysu do zniechęcenia.

Przeczulenie nerwowe pani Korczewskiej było wynikiem choroby. Od kilku lat cierpiała na kamienie żółciowe i podlegała najstraszliwszym atakom, które trzeba było łagodzić morfiną. Choroba wpłynęła fatalnie na jej wygląd. Wywierała wrażenie kobiety zupełnie starej, mimo, że nie miała jeszcze lat pięćdziesięciu. Korczewski, zaledwie o rok od niej starszy, trzymał się wyjątkowo świetnie i, kiedy byli we troje, mógł uchodzić raczej za brata panny Mili. To również bolało ją bardzo i wytwarzało w niej, działając może silniej, niż świadomość choroby, poczucie wytrącenia z życia. Pod wpływem tego poczucia usuwała się od najbliższego nawet otoczenia i poprostu dziczała. Całe tygodnie spędzała w łóżku, nie chcąc nikogo widywać i zabijając czas czytaniem powieści. W domu przestano wreszcie zdawać sobie sprawę z różnicy między najrozmaitszemi stanami jej choroby i nerwów, ona zaś, mylnie sądząc to otępienie, przypisywała je zasadniczej obojętności

męża i córki i uważała, jak zazwyczaj ludzie długo i ciężko chorzy, że jest w swojej chorobie zapomniana. Rozgoryczenie, jakiem ją to napełniało, przybierało czasem formy pewnej bolesnej rezygnacji. Skoro wszyscy ją lekceważyli, to pocóż sama miała dbać o siebie. I wtedy, z zupełną świadomością, dopuszczała się wybryków, które pogarszały jej stan zdrowia.

Zdając sobie sprawę ze stanu nerwów matki, Mila wciąż się pilnowała, aby jej nie urażać, ale nie zawsze to jej się udawało. Po zerwaniu z Dołguckim sama również miał nerwy rozstrojone i w głębi duszy z innych powodów odczuwała rodzaj podobnego zapoznania, jak matka. Żywiła do Dołguckiego urazę tak głęboką, że nie dopuszczała nawet myśli o pogodzeniu się z nim. Równocześnie jednak przykro jej było, że rodzice za mało ją do zgody namawiali. Nie mogąc toczyć z nimi sporów, nie miała poprostu ujścia dla oburzenia, które ją nurtowało. I nawet większy żal czuła do matki. Pani Korczewska bardzo sobie życzyła jej małżeństwa z Dołguckim i w dniu zerwania gorąco usiłowała brać go w obronę. Ale, gdy Dołgucki wyjechał, odrazu pogodziła się z faktami i doszła do wniosku, że Mila będzie mogła lepiej wyjść zamąż. Milę drażniła ta zbyt nagła zmiana stanowiska. Uraza jej do ojca musiała być już choćby z tego powodu słabsza, że Korczewski od pierwszej chwili był Dołguckiemu przeciwny. Nie stawiał małżeństwu przeszkód, szanując swobodę wyboru córki, ale go ono nie cieszyło. Nie uznawał innej sfery, oprócz ziemiańskiej i to nie przez jakiś rodzaj snobizmu, ale poprostu dlatego, że będąc zapalo-

nym wieśniakiem, innych ludzi nie rozumiał, i wydawali mu się tylko godni politowania. Mila, często nie godząc się z nim w poglądach, ubóstwiała go bezkrytycznie. Promieniowała od niego radość życia. Mila nie przypominała sobie, żeby ojciec kiedykolwiek skarżył się na zmęczenie. Mógł cały dzień polować, całą noc tańczyć i zawsze był w świetnym humorze, który zaraźliwie udzielał się otoczeniu, z wyjątkiem jednej pani Korczewskiej. Na dnie najzupełniej bezinteresownego zachwytu nad wszystkiem, co ojciec robił, kryło się jednak w duszy panny Mili i pewne egoistyczne zadowolenie, z którego zresztą sama nie zdawała sobie sprawy. Ale jej pewność siebie, ambicja, przechodząca nieraz w pychę, i świadomość mocnego osadzenia się w życiu, opierały się na jej wierze w ojca. Było to oparcie tak pewne, jak ziemia w Górkach.

Pod oknem, na dziedzińcu zaszczekały psy, odpowiedziały im inne od czworaków, wyżeł, który spał na sienniku w przedpokoju, warknął zcicha, orjentując się przez sen, że nie był to alarm, tylko zwykłe poszczekiwanie na znak czujności i pełnienia obowiązku. Rozbiło to na chwilę senną ciszę w domu.

Pani Korczewska zmęczonym ruchem odłożyła robotę i wyprostowała się w fotelu. Milę zastanowił w tej chwili niesłychanie zmieniony wyraz jej twarzy.

— Co mamie jest? — odezwała się zaniepokojonym tonem.

— Nie—odparła Korczewska prawie opryskliwie.

I pociągnęła batikowy jedwab, który osłaniał lampę, żeby jeszcze bardziej stłumić światło.

— Może się mama położy.

— Ach, daj mi spokój. Nie troszcz się o mnie. Raz na pół roku przypominacie sobie, że jestem chora i wtedy ruszyć się nie mogę, żebyście mnie nie zanudzali. Jakby ojciec dbał o mnie, toby nie wysiadywał tygodniami w Warszawie, a tybyś nie łaziła po domu ze skwaszoną miną.

Mila wzruszyła ramionami, ale zaraz przypomniała sobie jak wyuczoną lekcję, że należy być pobłażliwym dla chorych. Korczewska milczała chwilę ze zmarszczonemi brwiami i wreszcie odezwała się gniewnie.

— Dziwne są te ciągłe jazdy do Warszawy.

Mila doskonale zrozumiała, o co matce chodziło. Ma się rozumieć, nie poruszały tego drażliwego tematu nigdy, ale ciążył on nieraz w przykry i męczący sposób nad ich rozmowami. Plotki o tajemniczym kimś, trzymającym ojca w Warszawie, obijały się niejednokrotnie i o uszy Mili, ale wcale się niemi nie przejmowała. Przedewszystkiem przypuszczała, że w tem, co mówiono, jest bardzo wiele przesady, no, a jeżeli ojcu zdarzyły się jakieś przelotne awanturki, to było bardzo zrozumiałe. Nie miał powodu rezygnować z życia. Mila wiedziała, że z matką nic go nie łączyło, i ujmowała sprawę trzeźwo, po wiejsku. Uważała, że okazywał bardzo wiele taktu, nie nawiązując romansów z folwarcznemi dziewczynami. Zgorszenie matki miało dla niej jakiś posmak staroświecczyzny, ale kiedy wyczuwała z tego powodu swoją wyższość, nie przychodziło jej nigdy na myśl, że do podobnej tolerancji mógłby mieć prawo i Doł-

gucki. Pozorną tę sprzeczność rozstrzygała w sposób bardzo prosty. Zaszczyt zostania jej mężem nakładał na człowieka wyjątkowe obowiązki. Napomknienia matki na temat rzekomych zdrad ojca dziwnie ją drażniły i budziły niechęć, przybierającą czasami nawet aż napastliwe formy. Tak było i w tej chwili. Matka wydała jej się tylko nieznośną, rozkapryszoną istotą, i odrazu zwolniła się w stosunku do niej z obowiązku przesadnej delikatności. Nałożyła słuchawkę na uszy i zaczęła nastawiać aparat.

Pani Korczewska nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Od kilku godzin czuła się wyjątkowo źle, ale już była zanadto zdenerwowana, żeby się zdobyć nawet na tak mały wysiłek woli, jakiego wymagało położenie się do łóżka. Ogarniała ją duszność, i wiedziała już, że zbliża się atak.

Mila drgnęła nagle. Usłyszała głos Dołguckiego. Było to wrażenie tak niespodziewane, że aż oszałamiające. Z wyrazów, które płynęły jej w uszy, w pierwszej chwili uświadomiała sobie tylko dźwięki. Potem nareszcie wyłoniło się zdanie — „Pierwsze próby tego rodzaju czyniono w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej". — Ach, więc to ten odczyt, o którym wspominał... — Usiłowała narzucić sobie pogardliwą obojętność. — Słucham radja, wszystko mi jedno, kto mówi. — Ale już wszystkie nerwy w niej drżały, i czuła cały bezsilny fałsz tego wykrętu. Nie słuchała radja, tylko głosu Dołguckiego.

I nagle gwałtownym ruchem zerwała słuchawkę z uszu.

Radjo wydało jej się nagle czemś zupełnie niesamowitem. Dołgucki mógł wtargnąć do niej i zakłócić jej spokój. Wzburzyło ją to, jakby jakiś gwałt, wobec którego była bezsilna. Przemknęła jej przez myśl decyzja, żeby wyrzucić aparat z domu, i wślad za tem nieprzeparta chęć usłyszenia raz jeszcze głosu Dołguckiego. Zpowrotem założyła słuchawkę.

Ale aparat już zaniemiał. Pochwyciła sam koniec odczytu. Nie zdejmując słuchawki, siedziała zdenerwowana i ogłupiała. Rozstrzępione jej uczucia stopiły się wreszcie w głuchej urazie do Dołguckiego. Więc najspokojniej w świecie wygłaszał sobie odczyty! Zerwanie nic go nie obeszło. Spłynęło po nim, jak woda po kaczce, i wrócił do normalnego warszawskiego życia. Dobrze zrobiła, że go wyrzuciła za drzwi. Ale tuż za tym dumnym wybuchem ogarnęła ją bezradna żałość. Wydało jej się potworne to, że Dołgucki mógł tak odrazu o niej zapomnieć. Przypuszczała, że będzie rozpaczał, bała się, że odbierze sobie życie...

Pani Korczewska jęknęła nagle i dała córce znak ręką.

— Co się mamie stało?

— Zaszpuntowałaś sobie tą słuchawką uszy i doprosić się ciebie nie można. Bardzo mi niedobrze.

— Zaczyna się — pomyślała z niechęcią Mila.

Podniosła matkę z fotela i ostrożnie odprowadziła do sypialni. Nie przejęła się jej skargą, bo miała nerwy nastawione na własne zmartwienie, i wydało jej się, że matka przesadza.

VII.

Wiertkiewiczowa stała przy oknie, zapatrzona przed siebie. Był jaskrawo słoneczny dzień, i jedno wielkie trzęsawisko błota, w jakie zamienił się plac przed stacją, rozbłyskiwało najrozmaitszemi kolorami. Przed chwilą przeleciał krótki, gwałtowny deszcz, i nad ciemnym dachem stacyjnego budynku snuły się białe opary. Z pogodą wyroili się na plac ludzie, zrobiło się wesoło i gwarno. Tuż przed mieszkaniem Wiertkiewiczów gromada krzykliwych dzieciaków zabawiała się rozpryskiwaniem wody w kałuży.

Odwilż i słońce stworzyły złudzenie wiosny. To pierwsze wrażenie ciepła było tak rozkoszne, że Wiertkiewiczowa zapomniała o wszystkich dręczących ją, smutnych i ciężkich myślach. Przymknęła oczy i podstawiła twarz pod słońce. Z rozmarzenia wyrwał ją szum pociągu, który wjeżdżał na stację. Stał tylko chwilę i zaraz ruszył. Przed oczami Wiertkiewiczowej znowu się przewinął długi szereg błyszczących i mokrych jeszcze od deszczu wagonów. Z ostatniej platformy znajomy jej konduktor śmiał się do kogoś na peronie i żywą gestykulacją kończył przerwaną rozmowę.

Przejście pociągu oznaczało powrót Wiertkiewicza do domu. Odrazu opuścił ją beztroski nastrój. Odeszła od okna i, wziąwszy ze stołu starą gazetę z przed trzech dni, zaczęła się wczytywać w ogłoszenie. W tym bezmyślnym napozór odruchu przejawiał się w sposób machinalny i bezradny jej bunt przeciwko mężowi. Ani na chwilę nie przestawała o tem myśleć, żeby od niego uciec.

Niecierpiała go zawsze, ale była tak zabiedzona i zahukana, że już zrezygnowała z myśli o jakiejkolwiek lepszej przyszłości. Stało się. Wyszła zamąż i musiała cierpieć. Zaciskała zęby, powtarzając sobie, że już chyba nic w jej życiu nie mogło zmienić się na gorsze. I zmieniło się nagle wszystko. Sama wywołała katastrofę przez swój szalony pomysł przymierzania cudzej sukni.

Wiertkiewicz uroił sobie, że go zdradziła z Dołguckim. I nie było siły ludzkiej, któraby mu mogła wybić tę myśl z głowy. Od początku małżeństwa męczyła go zazdrość o żonę. Nie miał nigdy do zazdrości istotnych podstaw, bo Wiertkiewiczowa siedziała w domu, jak kura pod miotłą, i ani jej w głowie były jakiekolwiek flirty. Ale Wiertkiewicz zdawał sobie sprawę, że był dla niej za stary. Różnicę wieku powiększało jeszcze jego życiowe steranie i wyczerpanie. Z tych danych wyciągał teoretyczny wniosek, że wcześniej czy później ukochana Stasieńka będzie musiała go zdradzić. Doprowadzało go to do najrozmaitszych dziwactw. Czasami ogarniała go rozpaczliwa determinacja,i wprost prowokował żonę do zdrady, to znów domagał się, żeby

robiła mu sceny zazdrości. Wiertkiewiczowa nie mogła zrozumieć zawiłej psychologji męża i przypisywała wszystko pijaństwu.

Gdy więc Wiertkiewicz, wróciwszy owej fatalnej nocy do mieszkania, zastał żonę i Dołguckiego zmieszanych, a następnie zauważył w jej ubraniu widoczne ślady pośpiechu i nieładu, wreszcie odkrył stratę pamiątkowej broszki, fakty te stały się dla niego nieodpartemi dowodami zdrady. I podejrzenie padło mu na duszę, jak sól na ranę. Utrwalało się z dnia na dzień tem silniej, że Wiertkiewiczowa na żadne z pytań nie umiała mu dać wystarczająco jasnej odpowiedzi. Zaginięcia broszki nie rozumiała zresztą sama. Czuła, że mąż mógł jej nie wierzyć i, opowiedziawszy kilkanaście razy całą przygodę, przestała się wkońcu bronić. Ale dla Wiertkiewicza jej pokorna rezygnacja była cichem przyznaniem się do winy. To mu nie wystarczało jednak. Chciał całą rozpaczliwą prawdę usłyszeć wyraźnie z ust żony i męczył ją o to wciąż, wpadając nieraz w taką furję, że się obawiała, aby jej nie zamordował.

W sieni rozległ się nagle odgłos kroków Wiertkiewicza. Zerwała się z krzesła i wyszła do kuchni, żeby podać obiad. Ale w tej chwili usłyszała za sobą rozkazujący głos.

— Chodź-no tutaj!

Nogi ugięły się pod nią ze strachu.

— Obiad — wyszeptała nieśmiało.

— Tutaj, mówię!

Wiertkiewicz wpadł za nią do kuchni, chwycił za rękę i wyciągnął do sąsiedniego pokoju. Był blady, usta

miał kurczowo zaciśnięte, ze źle umalowanych wąsów przeświecała siwizna.

— Prezent dla ciebie — odezwał się zadyszanym od wściekłości głosem, wskazując niewielką paczkę, która leżała na stole.

Kościstemi palcami wpijał się coraz silniej w rękę żony. Ze zdenerwowania i bólu łzy zakręciły jej się w oczach. Ale się nie odzywała. Wiedziała, że podniecićłaby tem tylko wściekłość męża.

— Od kogo to?

Wiertkiewiczowa milczała, patrząc przerażonym wzrokiem na paczkę. Nie wyobrażała sobie, żeby był ktokolwiek na świecie, ktoby mógł jej coś przysłać. Ale mimo całego lęku, jaki mącił jej myśli, ogarnęła ją i przelotna ciekawość. Zaraz jednak przygasła. Paczka dla niej? Nie. W oczy biło, że pomyłka.

— Od kogo to? — powtórzył Wiertkiewicz, przechodząc z krzyku w jakiś jadowity syk.

— Przecież to na pewno nie dla mnie — wykrztusiła nareszcie odpowiedź.

— Nie dla ciebie — roześmiał się szyderczo Wiertkiewicz. — Nie dla ciebie! No, to przeczytaj.

Puścił jej rękę, chwycił za kark i, przyciągnąwszy do stołu, przygiął z taką siłą, że uderzyła twarzą w paczkę. Jęknęła z bólu. I w tej samej chwili oczy jej padły na napis. — Od inżyniera Tadeusza Dołguckiego, Warszawa, Mokotowska. Numer domu był zamazany. Równocześnie uświadomiła sobie, że coś ostrego, co ją ukłuło w brodę, to był kant książki. W mrok myśli, jak

promień słońca, wpadło jej nagle radosne uczucie. — Nie rozgniewał się... Przysłał książki... Człowiek...

Wiertkiewicz puścił ją nagle. Tak ją kark bolał od gwałtownego zduszenia, że nie mogła się wyprostować. I stała nawpół zgięta nad stołem. Słyszała za sobą chrapliwe sapanie Wiertkiewicza.

— Rozpakuj — odezwał się po chwili.

Wyprostowała się powoli, usiadła na krześle i utkwiła twarz w dłoniach. Wiedziała w tej chwili jedno. Mógł jej rozkazywać, bić, zamordować, ale nie będzie przy nim rozpakowywała książek od Dołguckiego. Przy gwałtownem tem postanowieniu dusza jej nastroiła się na najwyższy, uroczysty ton. Pierwszy raz w życiu doświadczyła wrażenia, że staje do obrony świętości przed bluźnierstwem.

— Słyszałaś, co powiedziałem?

Nie drgnęła nawet.

— Tylko bez tych komedjanckich min! — wybuchnął. I szarpnął ją za ręce. Nie broniła się. Poczuła nagle przypływ nieoczekiwanej odwagi. Spojrzała mu prosto w twarz. Wiertkiewicz tak nie był przyzwyczajony do jakiejkolwiek formy buntu lub oporu z jej strony, że go to spojrzenie zmieszało. Ale po sekundzie wahania z tem większą siłą wezbrała w nim złość. Chwycił paczkę i rzucił jej na głowę. Uderzenie było tak mocne, że aż jej pociemniało w oczach.

— Rozpakuj mi to zaraz. Podnieś. Słyszysz ty — zaryczał chrapliwym głosem i zaczął jej wymyślać najstraszliwszemi wyrazami. Krzyk oczywiście rozleciał się po całej kamienicy i na placu. I choć sąsiedzi zdą-

żyli się już przyzwyczaić do tego rodzaju scen u Wiertkiewiczów, jednakże tym razem awantura zaczynała się tak obiecująco, że to podnieciło ich stępioną ciekawość. Po chwili dolatywały już z poza drzwi stłumione szepty, a szyby w oknach oblepiły rozdziawione gęby dzieciaków. To skierowało złość Wiertkiewicza w inną stronę. Rzucił się do okna, wygrażając pięściami.

— Łeb wam urwę, jak mi się który tu jeszcze pokaże.

Ale świadomość, że ze wszystkich stron podsłuchiwano, co się działo w mieszkaniu, pohamowała go trochę. Wytworzyło się w nim nowe uczucie; takie, jakgdyby znalazł się wobec spisku, uknutego przez żonę wraz ze wszystkimi sąsiadami, przeciwko jego wymiarowi sprawiedliwości. Z miną człowieka ciężko pokrzywdzonego pochylił się po paczkę i zaczął gwałtownie szarpać i zdzierać sznurki. Zobaczywszy książki, roześmiał się szyderczo i znów rzucił kilka najstraszliwiej trywjalnych przekleństw, nie podnosząc już jednak głosu. Przerwany wybuch furji przeradzał się w nim w zimną nienawiść. — Czekaj, czekaj — odgrażał się w myśli — my się porachujemy. Mam czas. — I nagle, powoli, systematycznie zaczął drzeć książki. Po chwili spojrzał na żonę, jakgdyby chcąc zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie to na niej wywierało. Zerwała się z krzesła, była śmiertelnie blada, oczy miała roziskrzone.

— Przestań — odezwała się cicho, ale z niesłychaną mocą w głosie.

Wiertkiewicz wyprostował się machinalnie i sta-

nął w pozycji obronnej. W tej samej chwili z zewnątrz zaczęto gwałtownie kołatać klamką.

— Panie Wiertkiewicz — rozległ się głos dróżnika.

— A co tam?

— Niech pan idzie na stację.

— Co się stało?

— Nie wiem. Kazali, żeby pan przyszedł.

Po chwilowem wahaniu Wiertkiewicz skierował się ku drzwiom. Od progu odwrócił się jeszcze do żony, pogroził jej pięścią i wycedził przez zaciśnięte zeby.

— Ja cię nauczę.

Potem wyszedł, trzaskając drzwiami, że aż szyby zabrzęczały. Wiertkiewiczowa patrzyła za nim z okna. Postanowiła uciec z domu natychmiast. W jednej chwili zarysował się jej plan w głowie. Iść piechotą do następnej stacji i tam poczekać na warszawski pociąg. Nie miała ani sekundy do stracenia, bo Wiertkiewicz lada chwila mógł wrócić. Rozejrzała się gorączkowo po pokoju, myśląc coby zabrać. I nagle wzrok jej zatrzymał się na rozrzuconych po podłodze książkach... Kilka ocalało z pogromu. Ale ona pochyliła się przedewszystkiem ku podartym. Uklękła, rozłożyła chustkę i zaczęła w nią zbierać pomięte strzępy. Wysunęła się nagle z pośród nich broszka. Machinalnie wpięła ją w bluzkę. Uwagę jej pochłaniały tylko książki. Przy jednej z kartek został wąski pasek czerwonego papieru, którym podklejona była okładka. Otrząsnęła się, jakby na widok żywej krwi. Miała wrażenie, że popełniono przy niej najokrutniejszą zbrodnię, i przepełniło jej du-

szę uczucie nieopisanej grozy. Jedynem towarzystwem, ucieczką, wytchnieniem w jej nędznem życiu były książki. Ale te stały się odrazu dla niej stokroć droższe od wszystkich innych. Sponiewierana, przerażona, w chwili rozpaczliwej decyzji, która otwierała przed nią jakąś nieznaną może przyszłość, mimo wszystko wyczuwała uśmiechniętą radość, że Dołgucki się nie pogniewał. Zebrała wszystkie, całe i podarte, starannie owinęła w chustkę, i nagle dreszcz nią wstrząsnął. Wydało jej się, że posłyszała w sieni kroki męża. Było to tylko na szczęście złudzenie nerwowe. Ubrała się pośpiesznie, chwyciła zawiniątko z książkami i wybiegła z mieszkania.

Najbliższa droga do sąsiedniej stacji wypadała jej po torze kolejowym. Ale, oczywiście, nie mogła iść prosto, żeby się nie narazić na spotkanie z Wiertkiewiczem. Z godzinę kołowała więc po polach i, gdy znalazła się wreszcie przy plancie, była już tak zmęczona, że ledwie nogi wlokła. Z przerażeniem spojrzała na wysoki nasyp kolejowy. Przejść dołem nie mogła, bo drogę przecinała rzeka. W rozwilgotnionem zboczu nasypu wiła się jaśniejszym śladem ukośna ścieżka, prowadząca do mostu. Wspiąwszy się kilka kroków, Wiertkiewiczowa zaczęła tracić równowagę. Nogi ślizgały jej się i rozlatywały w glinianej mazi. Kilka razy, żeby się utrzymać na ścieżce, musiała się opierać o ziemię i przy jednem z takich potknięć, już u samego wierzchu, wyleciało jej z rąk zawiniątko z książkami. Krzyknęła rozpaczliwie i bez namysłu zbiegła wdół. Podniosła książki z takiem uczuciem, jakgdyby odzyskiwała naj-

cenniejszy skarb, któremu groziła zagłada. I pod wpływem nerwowego wstrząśnienia odrazu wróciły jej siły i sprawność ruchów. Po raz drugi weszła na nasyp tak gładko, jak po równej drodze.

Na moście zatrzymała się i oparła o zrobioną z szyny poręcz. Było to ulubione miejsce jej spacerów, i napamięć znała każdy szczegół krajobrazu. Tuż przy nasypie rzeczka, nie większa od zwykłego rowu, rozpływała się szeroko na przestrzeni kilkuset kroków i tworzyła jakby jezioro, obrośnięte po brzegach olszyną. Nad samą wodą leżało kilka gładko obciosanych kamieni, pozostałych po budowie mostu. Ten kąt miał dla niej pełno sentymentalnych wspomnień. W gorące, letnie dni przychodziła tu nieraz na całe popołudnia z książkami. Czytała i myślała, jakiem byłoby jej własne życie, gdyby je mogła przeżyć na nowo z doświadczeniem i pamięcią wszystkich wydarzeń. Woddali dwa szeregi bezlistnych drzew znaczyły drogę do majątku, gdzie mieszkała bogata panna, o którą mąż kazał jej być zazdrosną. Na tle gołych pól wyraźnie występował czerwony kościół. Szaro-zielona równina wlokła się nudno, aż pod sam horyzont, skąd spływały jakieś brudne mgły, jakby szmaty, wiążące niebo z ziemią.

Po raz pierwszy po wyjściu z domu uczuła nagle ostry chłód. Dzień przełamywał się już ku zachodowi, i po krótkim, wiosennym wybryku słońca wracała zima. Płaty śniegu w dołach i wybojach zabieliły się wyraźniej, rzeką powiał wiatr, i zdawało się, że odnosi za słońcem sine smugi światła.

Teraz dopiero Wiertkiewiczowa zaczęła się zasta-

nawiać nad swojem położeniem. Pierwszy etap drogi odbywała tak oszołomiona, że właściwie nie myślała o niczem. Wraz z zastanowieniem przyszła na nią depresja. Uczuła się najzupełniej wytrącona z życia. Cały jej majątek składał się z kilkunastu złotych. Narazie wprawdzie miała punkt oparcia u matki, ale wiedziała również bardzo dobrze, że przyznanie się do ucieczki od męża wywołałoby odrazu straszną burzę, namowy do powrotu i w rezultacie sytuację mało co lepszą od tej, przed jaką uciekała. Chyba do Dołguckiego. Sama przelękła się odrazu tak jasno sformułowanej myśli, mimo, że podświadomie na tem właśnie opierała wszystkie swoje nadzieje od chwili, w której zobaczyła jego nazwisko. Ale to uczucie krzepiące, póki trwało w nieświadomości, podobne do dalekiego bladego światełka, przekształciło się natychmiast, w momencie, gdy już miało zetknąć się z rzeczywistością, w zaporę, paraliżującą jej energję. Do Dołguckiego... Zdała sobie sprawę, że mimo wszystko, nie śmiałaby mu spojrzeć w oczy. I do tych psychicznych motywów przyłączył się nagle jeden czysto zewnętrzny. Machinalnie skierowała wzrok na swoje nogi, i ogarnęła ją zupełna beznadziejność. Do kolan była obryzgana błotem, a buciki miała tak oblepione, że zatracały prawie kształt ludzkich stóp. Złączył się z tem myślowy odruch: — jak ja mu się tak mogę pokazać — jakgdyby w tej chwili właśnie miała stanąć przed Dołguckim.

Przygnębiona, ruszyła przed siebie powoli, rozumiejąc, że najważniejszym bodźcem do dalszej wędrówki była już dla niej tylko niemożność powrotu.

Z każdą minutą, która upływała od brutalnej sceny z mężem, obraz tej sceny stawał się coraz wyrazistszy i straszniejszy. W rękach i w karku wystąpił jej dotkliwy ból. I odżyło w niej uczucie przestrachu, stłumione w chwili samej awantury przez napięcie nerwów. Bała się poza siebie obejrzeć. Wiedziała zresztą, że to już był lęk urojony. Pocóż Wiertkiewicz miał ją ścigać po polach. Mógł poprostu wsiąść w ten sam pociąg i dogonić ją na stacji.

Ta najprostsza możliwość, którą powinna była przewidzieć przedewszystkiem, poraziła jej roztargane nerwy, jakby nagłe i nieoczekiwane zupełnie odkrycie. Warto było uciekać — roześmiała się z bolesnem szyderstwem w duszy i uprzytomniła sobie odrazu obrazowo to spotkanie: wjeżdżający na stację pociąg i zbydlęconą twarz Wiertkiewicza z krwią nabiegłemi oczami w oknie wagonu. Wiertkiewicz przetwarzał się w tym obrazie w apokaliptyczną bestję, uosobienie przekleństwa losu, które nad nią zawisło, i z którem walka była dziecinnie śmieszna i bezcelowa. Pod wrażeniem tego uczucia miała ochotę rzucić się na ziemię i nie ruszać z miejsca. Jak ciężkie martwe kłody, waliły się jedna po drugiej różne myśli i nadzieje, któremi żyła w pierwszem podnieceniu ucieczki. Wszystko w jej postępowaniu wydało jej się jaskrawo bezmyślne. Wybierała się w świat na nieznane przygody i zamiast bielizny i ubrań wzięła trochę niepotrzebnych książek. Równało się to nieubłaganemu wyrokowi: — Musisz zginąć.

I w tej samej sekundzie z jakiegoś tajemnego zakamarka duszy odezwał się protest.

— Nie.

Tak to odczuła, jak blask dalekiego światła, wskazującego drogę w ciemności. I instynktownie skierowała się myślami do tych słabiutkich zdławionych uczuć, które lodowate tchnienie zdrowego rozsądku i logicznych przewidywań zapędziło w najmroczniejszy kąt duszy. Przeszedł po nich jakby prąd magnetyczny, ożywił, i zaczęły parować nieokreślonem mglistem przeczuciem zmiany na lepsze. Nie zdawała sobie sprawy, że ratowały ją książki. Nonsens, zawarty w fakcie, że uciekając z domu na zawsze, wzięła ze sobą tylko kilka książek, stał się tym odczynnikiem uczuciowym, który zmienił stan jej duszy. Uchwytnie dla niej wyraziło się to w myśli radosnej, jakby nagłe, genjalne odkrycie największej prawdy o życiu: „Właśnie, jeżeli robić głupio, to się uda."

I wydało jej się, że natychmiast znalazła potwierdzenie tej prawdy w swojej własnej historji. Od dzieciństwa żyła pod nakazem zdrowego rozsądku i możliwie najrozumniejszych przewidywań przed każdą, choćby zgoła błahą, decyzję. Musiała przyznać, że ją to zawiodło całkowicie. Może to była zresztą dobra metoda dla ludzi, opartych o jakiś twardy grunt w życiu, ale w głowach takich wydziedziczonych, poniewieranych istot, jak ona, zależnych od każdego podmuchu losu, te zbyt pozorne przewidywania stawały się tylko śmiesznem naśladownictwem parodji... Przypomniała sobie, jak się przebrała w strojną suknię bogatej panny. Czemś podobnem była jej przezorność.

Rozkołysana sugestją, nie zwracała uwagi na dro-

gę i ze zdziwieniem spostrzegła nagle przed sobą pierwsze stacyjne budynki. Do nadejścia pociągu miała jeszcze prawie godzinę. W przykry sposób zaniepokoiła ją konieczność czekania, pod powierzchowną niecierpliwością kryła się poprostu obawa, żeby w ciągu takiej nudnej i pustej godziny nie wybić się z nastroju. Bo z całem przekonaniem nie mogła jeszcze uwierzyć, że wierzyła sobie naprawdę. Ten nowy stosunek do życia nie uleżał się jeszcze w jej duszy. Wstąpiła do kawiarni nawprost stacji. Była to niewielka, drewniana buda, przedzielona na dwie klitki. W pierwszej mieścił się sklep, a w drugiej kawiarnia, udekorowana żelaznym piecykiem i łóżkiem, na którem pościel piętrzyła się pod sam sufit. Z rozkoszą wypiła szklankę gorącej herbaty i zajęła się czyszczeniem ubrania i butów z błota. Właścicielka przyglądała jej się z podejrzliwem zaciekawieniem, ale dyskretnie nie zadawała żadnych pytań.

Na pięć minut przed nadejściem pociągu poszła na stację. Wbrew rozsądkowi kupiła bilet drugiej klasy. Był to rodzaj buntu przeciwko wszystkim jej dotychczasowym drobiazgowym oszczędnościom. Jeśli jechała na stracenie, to miała prawo nie pozbawiać się tej ostatniej, drobnej wygody. Odetchnęła z ulgą w wagonie. Mąż jej nie ścigał, i wszystko narazie kończyło się szczęśliwie. A od tego, co się miało zacząć, dzieliły ją trzy godziny zupełnego odcięcia od świata. Przyjęła to jako wrażenie tak wielkiego wypoczynku, że przyszłość w Warszawie wydała jej się zbyt odległą, aby zaraz zacząć o niej myśleć. Wagon był pusty. Przez oszklone

drzwi w korytarzu między przedziałami pierwszej i drugiej klasy mignęła jej jakaś bardzo strojna sylweta kobieca. Wtuliła się w róg kanapy i zapatrzyła w rój złotych iskier, tańczących na czarnej szybie okna.

We drzwiach przedziału ukazał się nagle konduktor, pan Szymański, którego uważała za wyjątkowo przyzwoitego człowieka. Przywitał ją wesoło.

— Do Warszawy? Na długo?

— Na kilka dni — odparła po chwilowem wahaniu. Odruchowo chciała powiedzieć prawdę.

— A dobrze, że się pani wyrwała. Co to jest dla kobiety, takiej jak pani, kisnąć w tej dziurze. Dziwię się, że pani może wytrzymać.

Szymański był niski, krępy, szpakowaty, z twarzą oszpeconą przez ospę, ale o bardzo sympatycznym wyrazie. Wiertkiewiczowa ogromnie mu się podobała i korzystał z każdej sposobności do rozmowy. Zdjął czapkę i usiadł.

— Ale nie do doktora? — odezwał się po chwili.

— Nie.

— Zresztą to było niemądre pytanie, bo pani wcale na chorą nie wygląda. Ale tak mi się mimowoli wyrwało, bo tu w sąsiednim przedziale mamy chorą, która jedzie do Warszawy.

— Chorą — powtórzyła bezmyślnie Wiertkiewiczowa.

— Korczewska. Pewno pani słyszała o nich.

— Nie.

— Mają prześliczny majątek, Górki. Miljonowa fortuna. I to wszystko przejdzie na córkę.

Szymański wpadł w zapał i zaczął filozofować na temat zamożności i chorób. Wiertkiewiczowa udawała tylko, że słucha. W miarę, jak pociąg posuwał się naprzód, czekająca ją w Warszawie rzeczywistość zaczynała coraz wyraźniej narzucać się jej myślom. Oparta na przeczuciach otucha, która ją krzepiła poprzednio, osłabła, więc starała się ją podeprzeć rozumowaniem. Z chaotycznych lektur pozostały jej w głowie różne teorje o wpływaniu na los zapomocą siły woli. Przypominała je sobie i porządkowała, dążąc do stworzenia jakiegoś systemu. Szymański rozbijał jej tę pracę myśli, odpowiadała mu z przymusem, półsłówkami, tak, że wkońcu wstał skwaszony.

— No, ja muszę uciekać.

Wtuliła się zpowrotem w róg kanapy, przymknęła oczy i powtarzała uporczywie: „Będzie dobrze, musi być dobrze", starając się skoncentrować wszystkie swoje władze duchowe i wytworzyć w ten sposób siłę do przełamania losu. Nagle w oknach zabłysły światła elektryczne. Warszawa. Tchu jej zbrakło. Machinalnie skierowała się w stronę pierwszej klasy i zatrzymała, żeby przepuścić sąsiadki.

Przypomniało jej się opowiadanie Szymańskiego i z mimowolnem zaciekawieniem spojrzała na elegancką pannę, która podtrzymywała matkę i mówiła rozirytowanym głosem.

— Nie rozumiem co się stało... Chyba telegramu nie dostali.

— Jakoś wyjdę — jęknęła chora.

Wiertkiewiczowa podsunęła się pośpiesznie.

— Ja paniom pomogę.

Wytworna panna podziękowała jej uśmiechem, i razem wyprowadziły chorą z wagonu. Na peronie panna Korczewska (Wiertkiewiczowa zapamiętała nazwisko) odezwała się raz jeszcze.

— Serdecznie pani dziękuję.

Miała bardzo miły głos i wydała się Wiertkiewiczowej ogromnie sympatyczna.

VIII.

Kiedy kareta wjechała na plac Teatralny, ciotka Brochocka, która siedziała z synem na przedniem siedzeniu, pochyliła się ku Korczewskiemu i odezwała półgłosem:

— Każ mu stanąć przed cukiernią. Wysiądziemy na chwilę.

Korczewski zwrócił się do córki:

— Masz ochotę wstąpić do cukierni?

— Ja? Najmniejszej.

— Ja także nie mam. Wysiadajcie wy, a my pojedziemy do hotelu.

Brochocka spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

— Nie... Nie... Nie można z pogrzebu wracać do domu.

— Hotel to nie dom.

— Nie, nie, mój drogi — upierała się płaczliwym głosem.

— No to niech mu Józio powie.

Młody Brochocki uchylił drzwiczki od karety i kazał stangretowi zawrócić przed cukiernię. Dzień był

ohydny, raz po raz padał śnieg, pomieszany z deszczem; Mila na pogrzebie przemokła zupełnie. Ciotka usiłowała ją zmusić do wypicia szklanki gorącej herbaty, ale bezskutecznie. Po kilku łykach Mila odsunęła szklankę i nie odpowiadała nawet na wszystkie zaklęcia i perswazje Brochockiej. Korczewski, ponuro zapatrzony przed siebie, palił papierosa za papierosem. Na twarzy młodego Brochockiego malowała się wyraźna nuda.

Chwilową ciszę przerwała Brochocka.

— To fatalizm, doprawdy. Tylu ludzi przechodzi szczęśliwie operacje.

— A, niech ciocia przestanie — wybuchnęła Mila.

Gadatliwa ciotka uraziła ją w najboleśniejszą ranę w duszy. Operacja. Mila nie zdawała sobie sprawy za życia matki, że przyzwyczaiła się uważać jej chorobę za stan normalny, nie mogący ulegać zmianom. Wszystko mogła dopuścić do myśli, tylko nie to, żeby matka umarła. I katastrofa śmierci była dla niej niezrozumiała poza jedną bezpośrednią przyczyną operacji. A winę tego przypisywała sobie. Przecież mogła się oprzeć, nie pozwolić. Nie pamiętała o rozmowach z matką, z lekarzami, z rodziną, o własnych rozumowaniach, w których uznawała nieodzowną konieczność operacji, i możliwość niedopuszczenia do niej teraz, gdy myślała o wszystkiem wstecz, wydawała się jej niesłychanie prostą i łatwą. Wyobrażała sobie, że bez operacji choroba matki płynęłaby ustalonym, normalnym torem aż do tego nieokreślonego „kiedyś", kiedy każdy człowiek musi umrzeć. I męczył ją rozpaczliwy wyrzut sumienia. Spokojnie pozwoliła na zbrodnię.

Nie przenosiła odpowiedzialności na ojca. Jasnem dla niej było, że ojciec musiał myśleć inaczej. Nie zastanawiała się nad tem — dlaczego. Tkwiło to w jej głowie, jak niezbita prawda. I tem gwałtowniej oskarżała samą siebie. Chwilami ten skoncentrowany ból sumienia rozpływał się szeroką falą po duszy, ogarniał przeszłość, i z przerażeniem wyliczała wszystkie swoje grzechy w stosunku do matki. Wydawała się sama sobie jakimś potworem bezbrzeżnego egoizmu i oschłości. Najbardziej boleśnie znaczyło się w tem wspomnienie ostatniej podróży do Warszawy. Wiozła matkę na śmierć, a traktowała ją jak histeryczkę, która się pieści swojemi urojeniami cierpieniami. I ile razy wracało jej to wspomnienie na myśl, łączył się z niem obraz zabiedzonej kobieciny, która pomogła jej wyprowadzić matkę z wagonu. W stanie skruchy, jaką przeżywała nieznajoma ta, ostatnia istota, która z bezinteresowną, serdeczną życzliwością odniosła się do jej matki, wydawała jej się uosobieniem delikatności i dobroci ludzkiej. I wiło jej się między myślami gorące pragnienie, żeby ją raz jeszcze w życiu móc spotkać i podziękować.

Nagle czepiło jej się mózgu głupie, niespodziewane pytanie:

— Jakie też to wrażenie wywarło na Dołguckim?

Żachnęła się niecierpliwie zła sama na siebie, że o takich rzeczach może myśleć, i zwróciła się do ojca:

— Chodźmy.

— Zaraz — przerwała jej Brochocka. — Cóż wy teraz macie zamiar robić?

— Jakto co? Przecież nie będziemy tu nocowali.

— Ja mówię wogóle... Wracacie na wieś.

— Ma się rozumieć.

Odpowiedź Mili obudziła Korczewskiego z zamyślenia. Popatrzył na córkę i po chwili, spuszczając oczy, odezwał się stłumionym głosem:

— Ja muszę zostać w Warszawie.

— Długo?

— Nie wiem.

— W takim razie sama pojadę.

— Ależ, Milu — zaprotestowała Brochocka.—Zastanów się, cobyś ty sama teraz w domu robiła. Jedź do nas na kilka tygodni.

— Dziękuję cioci serdecznie, ale nie pojadę.

— Nie będziesz mogła wytrzymać.

— Wytrzymam.

Brochocka zwróciła się do Korczewskiego:

— Wpłyńżesz ty na nią.

Ale Korczewski już się tak zamyślił, że nie słyszał, co do niego mówiono. Mila odpowiedziała za ojca:

— Nie, ciociu, ja już to przemyślałam i postanowiłam. Wracam do domu.

Brochocka beznadziejnym ruchem rozłożyła ręce. Wiedziała, że uporu Mili nie przerwie, ale odruchowo próbowała jeszcze walczyć.

— Zostań w Warszawie.

— Poco?

— Raźniej ci będzie.

Mila wzruszyła ramionami.

— Ja właśnie chcę uciec przed tem wszystkiem,

co się składa na „raźniej”. Toby mnie dopiero doprowadziło do warjacji.

— Ale ojcu może być lżej, gdy cię będzie miał przy sobie.

Mila znowu wzruszyła ramionami. Tym razem prawie niedostrzegalnie. Mimo całego otępienia, jakie na nią ból sprowadził, nie mogła nie zdać sobie sprawy znagłej i widocznej zmiany stosunku między ojcem a nią. To nawet sformułowała w myśli, jako pewną nowozdobytą prawdę o życiu — mianowicie, że wbrew banalnemu twierdzeniu, w które sama wierzyła dotychczas, nieszczęście nie zbliżało ludzi, ale oddalało. Przynajmniej między nią a ojcem śmierć matki wytworzyła jakąś obcość. Głębiej Mila nie analizowała tego wrażenia. Zresztą po namyśle nawet nie umiałaby może określić w czem się istotnie wyrażała ta obcość, którą poznała tylko jako odczucie. W każdym razie nie było w tem ani cienia jakiegokolwiek rozdźwięku w ustosunkowaniu się do nieszczęścia. Mila rozumiała, że ból Korczewskiego nie mógł się wyrażać w zbyt jaskrawych i krzykliwych formach. Cierpiał tak, jak według niej, teoretycznie powinien był cierpieć mężczyzna: w milczeniu i w skupieniu. Jednakże poza tem było w jego zachowaniu się coś nieuchwytnego, niezrozumiałego, nowego.

Pierwszy raz Mila odczuła to zaraz po przyjeździe z matką do Warszawy. Starała się sobie wytłumaczyć, iż wrażenie jej było niesprawiedliwe. Nie zastały Korczewskiego w hotelu, i wrócił dopiero o siódmej rano. Milą rozgrzeszała ojca z romansów, jednakże, kiedy po

teoretycznej tolerancji zetknęła się z rzeczywistością i to bardzo realną rzeczywistością, bo obleciał ją poprostu obcy kobiecy zapach, którym ojciec był przesiąknięty, podziałało to na nią jakby nagłe brutalne uderzenie. I chociaż tłumaczyła sobie, że przecież wiedziała, że ojciec romansował, że miał prawo romansować, że nie był winien, że telegram się spóźnił (sama go odebrała w kilka godzin po przyjeździe), jednakże nie mogła wywietrzyć przykrego wrażenia z duszy.

Po wyjściu z cukierni i Korczewski, i Józio Brochocki ulotnili się odrazu, pozostawiając kobiety same. Korczewski obiecał córce za pół godziny przyjść do hotelu. Mimo niepogody Mila postanowiła wrócić piechotą. Wobec tego i Brochocka nie chciała wsiąść do karety.

— Odprowadzę cię.

— Ależ ciociu... Ciocia zmęczona, deszcz pada. Ja chcę iść piechotą, bo mi w karecie duszno.

— I mnie duszno.

Ledwo uszły kilka kroków. Brochocka chwyciła Milę za rękę i, zatrzymując ją, odezwała się już prawie rozpaczliwym tonem:

— Moje dziecko, zaklinam cię, zostań w Warszawie.

— Ale cóż cioci na tem zależy?

— Zależy mi, strasznie mi zależy... Teraz nie pora, żeby o różnych rzeczach mówić, ale z czasem przyznasz mi słuszność i może nawet będziesz wdzięczna, że cię zatrzymałam.

Brochockiej chodziło nietylko o nerwy Mili, które, zdaniem jej, byłyby wystawione na zbyt ciężką próbę

w samotności na wsi, ale i o to, żeby Mila obecnością swoją w Warszawie skrępowała trochę ojca. W całej rodzinie i wśród znajomych postępowanie Korczewskiego uważano za wprost skandaliczne. Nietylko przez cały czas pobytu żony w klinice, ale w ciągu dni poprzedzających pogrzeb nie wychodził prawie od pewnej rozwódki, pani Czerwieńskiej. Nie wiedziała o tem tylko Mila. Brochocka walczyła ze sobą rozpaczliwie. Nie chciała mówić Mili prawdy, uważając, że w nastroju pogrzebowym, jaki panował, byłoby to bezlitosne, ale równocześnie ciągnęło ją żywiołowo, żeby w jak najdelikatniejszej formie choć część tej prawdy powiedzieć w imię moralnego obowiązku. Gdy więc Mila nie zwróciła najmniejszej uwagi na jej patetyczne zaklęcie, po chwilowem wahaniu zaczęła z innego tonu.

— Moje dziecko, na ciebie spada teraz ciężka odpowiedzialność czuwania nad ojcem.

Wrażenie jednak tego powiedzenia najzupełniej chybiło celu. Po raz pierwszy od szeregu dni Mila się uśmiechnęła.

— Ojciec chyba już od dość dawna obchodzi się bez opieki.

— A przydałaby mu się.

— Nie rozumiem cioci.

— Widzisz, dziecko, to są przykre rzeczy, ale postępowanie twojego ojca...

— Przepraszam—przerwała Mila. — Nigdy w życiu nie wtrącałam się w postępowanie ojca i w żadnym wypadku nie będę się wtrącała.

Mila powiedziała to tonem tak nieprzyjemnie zim-

nym i stanowczym, że Brochocka zrozumiała odrazu bezcelowość dalszej rozmowy. Pożegnały się dość chłodno przed hotelem.

Korczewski wrócił szybciej, niż zapowiedział. Zjawił się, gdy Mila czekała na windę. Pojechali razem na górę. Pokoje ich sąsiadowały ze sobą. Korczewski poszedł do numeru córki. Przez chwilę spacerował z kąta w kąt, zamyślony i jakby zakłopotany.

— Więc ty naprawdę chcesz jechać do domu — odezwał się nagle.

— A cóżbym miała za cel mówienia nieprawdy.

— No tak.

Znów się przeszedł kilka razy po pokoju.

— Kiedy chcesz jechać?

— Jutro.

— Pojechałbym z tobą, ale nie mogę.

W tem powiedzeniu było coś tak fałszywego i bezradnego zarazem, że Mila znów doznała wrażenia, jakgdyby ją odrzucało od ojca. Pierwszy raz w życiu obniżył się w jej oczach. Skoro nie chciał jechać, pocóż się bawił w te udawane role. Pod wpływem katastrofy nerwy Mili wyotrzyły się na wszystkie najdrobniejsze odcienie uczuć.

— Ja za jakiś tydzień przyjadę.

— Jeżeli ci tak wypadnie, to tem, że będę sama, absolutnie się nie krępuj. Samotność daleko lepiej mi teraz zrobi, niż Warszawa.

Korczewski rozjerzał się po pokoju, zapalił papierosa westchnął i po chwili uśmiechnął się do córki. Mila czuła, że się śpieszy do wyjścia, że tylko przez przy-

zwoitość chce odsiedzieć pewien czas w jej pokoju. I nagle ogarnęło ją roztkliwienie, jak dla dziecka. Może niesprawiedliwie i fałszywie go sądziła. Załamał się pod wpływem nieszczęścia, i stąd płynęło to wrażenie obcości. Zawsze w nim uwielbiała siłę, ale przecież i on miał prawo chwilowo osłabnąć.

— Cóż ty tu będziesz robiła przez cały wieczór?

— Położę się zaraz, głowa mnie boli.

— Szkoda, żeś ty zerwała z tym Dołguckim — wykrzyknął nagle Korczewski.

Mila zbladła, zerwała się z krzesła i spojrzała na ojca roziskrzonemi od nagłego gniewu oczami. Ale opanowała się natychmiast i zdusiła w gardle przykrą, impertynencką odpowiedź. Wydało jej się, że poprostu szkoda było słów. Widocznie z każdą chwilą stawali się sobie coraz bardziej obcy.

Korczewski wyczuł jej wzburzenie i zmieszany zaczął się usprawiedliwiać.

— Przepraszam, nie chciałem urazić.

— Czy ja ci tak bardzo przeszkadzam?

— Ależ moja droga... Co ci do głowy przychodzi — ciągnął, przechodząc już w zniecierpliwiony ton. Jeżeli o tem wspomniałem, no to...

Urwał, nie umiejąc wybrnąć ze zdania. Po chwili machnął ręką.

— Oboje jesteśmy przemęczeni i przedenerwowani. Najlepiej się połóż. Ja wyjdę trochę na miasto.

Ucałował córkę i od progu odwrócił się jeszcze:

— Więc jutro jedziesz?

— Jutro.

— O której?

— Rano. O dziesiątej.

— Ale... Poczekaj do popołudniowego pociągu.

— Poco?

— Spędzimy jeszcze kilka godzin razem. Tak się rwiesz, jakbyś chciała uciec ode mnie.

— Mogę pojechać i po południu.

— Doskonale. Dobranoc.

— To dobranoc jest stylowe — uśmiechnęła się Mila ironicznie. Po wyjściu ojca zgasiła światło i rzuciła się w ubraniu na łóżko. Teraz dopiero objęła całą dotkliwą krzywdę, jaką wyrządził jej swojem odezwaniem się o Dołguckim. Narazie oburzył ją tylko tępy egoizm ojca. „Szkoda, żeś nie wyszła za Dołguckiego" znaczyło: „Szkoda, że cię jeszcze muszę mieć na karku". Otrząsnęłaby się ostatecznie z tego wrażenia. Ale ojciec bezwiednie wtargnął w najtajniejszy, jedyny jasny zakątek w jej duszy. W myśl o Dołguckim. Niespodziewanie od chwili, w której zastanowiła się w cukierni, jakie wrażenie mogła wywrzeć wiadomość o śmierci jej matki na Dołguckim — i żachnęła, zaczęły się jej majaczyć po mózgu strzępy obrazów przeżytych i urojonych, w których wciąż Dołgucki występował. Nie było w tem ani tęsknoty, ani przebaczenia, ani chęci naprawy stosunków, tylko jakieś niewypowiedziane łagodne i kojące uczucie. I jedno brutalne odezwanie się ojca zwarzyło odrazu wszystko. Z wizji mglistej Dołgucki znów się stał dla niej żywym, określonym człowiekiem, którym gardziła i którego nienawidziła.

Całą noc przeleżała w ubraniu na łóżku, zasypia-

jąc i budząc się naprzemian. W przemęczonej głowie sczepiały jej się świadome myśli z majaczeniami sennemi, jedne zachodziły na drugie, tworząc jakiś ciężko rozkołysany chaos. Wreszcie zaczęło świtać. Zziębnięta wstała z łóżka, postanawiając rozebrać się, umyć i na nowo położyć.

Numer miał podwójne drzwi, ale Korczewski, wychodząc, nie zamknął wewnętrznych i zostały przez całą noc otwarte. Wskutek tego z korytarza dolatywały wyraźnie wszystkie odgłosy. I nagle Mila poznała kroki ojca.

— A... — zaświdrowała jej w mózgu myśl zimna i kłująca, jak ostra kropla lodu. Dlatego chciał ją zatrzymać do popołudnia... Żeby się wyspać.

Gwałtownie otworzyła drzwi na korytarz. I zetknęła się oko w oko z ojcem. Szedł uśmiechnięty, rozpromieniony. Poczuła znajomy zapach perfum, tych samych, które obleciały ją przy pierwszem przywitaniu po przyjeździe. Może to było tylko wrażenie, ale czuła.

Na widok córki Korczewski stanął, jak wryty. Po pierwszym wyrazie osłupienia, wykrzywił mu twarz zawzięty gniew.

— Co ty tu robisz? — wykrzyknął chrapliwym głosem.

Mila nic nie odpowiedziała i zatrzasnęła drzwi.

IX.

Wbrew obawom ciotki Brochockiej samotny pobyt na wsi nietylko nie wpłynął źle na nerwy Mili, ale przeciwnie uspokoiła się ogromnie. Ma się rozumieć, nie przyszło to odrazu. Pierwsze wrażenie po powrocie do opustoszałego domu było straszne. Zwłaszcza wieczory i noce. Mili wciąż się zdawało, że słyszy głos i kroki matki, każdy cień w kącie, który mimowoli wpadał jej w oczy przybierał postać Korczewskiej. Mila nie wierzyła w duchy, ani nie była lękliwa, ale nie mogła się oprzeć ciągłemu uczuciu strachu. Przyłączyła się do tego i sugestja domowników, którzy odrazu powitali ją opowiadaniami, że tej samej nocy, kiedy Korczewska umarła w Warszawie, w domu wciąż było słychać jakieś kroki i posuwanie mebli. I potem ciągle coś słyszeli i widzieli. Na drugą noc po powrocie Mili na wieś zerwała się w dodatku szalona wichura. Aż cały dom trzeszczał. Potem jeszcze odzywał się dzwonek, umieszczony na słupie na podwórzu, i co chwila między żałośne jęki wichru plątało się urywane dzwonienie. Było w tych dzwonkach coś tak niesamowitego, że Mila lodowaciała z przerażenia. Całą noc trzymała światło w pokoju,

i ani oka nie zmrużyła, a nazajutrz musiała stoczyć z sobą rozpaczliwą walkę, żeby nie uciec z Górek.

Została jednak. Obudziła się w niej zawziętość, która stanowiła jedną z głównych cech jej charakteru. Żeby nie mieć ani jednej wolnej chwili na rozmyślania, stworzyła sobie odrazu mnóstwo zajęć. Nie potrzebowała ich zresztą wyszukiwać sztucznie. Kiedy skontrolowała gospodarstwo z tem poczuciem, że podczas nieobecności ojca na nią miała spaść cała odpowiedzialność za przysłowiowy ład w Górkach, wyszło odrazu najaw bardzo wiele uchybień i niedomagań. Mimo, że za życia matki sfera rządów męskich i kobiecych była ściśle podzielona, Mila przekroczyła tę granicę i zaczęła się również wtrącać w sprawy, które z tradycji niepodzielnie należały do ojca. Przekonała się, że i tutaj wiele rzeczy było zaniedbanych. Nieznacznie powoli gospodarstwo w Górkach psuło się już od dłuższego czasu. Zrodziła się więc w niej ambicja, żeby wszystko doprowadzić do dawnego porządku. I wynikało z tego nowe uczucie, którego nie uświadamiała sobie, i które uświadomione przejęłoby ją na pewno przerażeniem. Było to jakby zadowolenie, że okres bezładu skończył się nareszcie, i życie Górek na nowo wchodzi w tryby. Instynkt zrosłej z ziemią dziedziczki walczył w niej z instynktem córki.

Praca pomogła jej do opanowania nerwów i uspokojenia. Rządca Malewicz nie mógł wyjść z podziwu.

— Kiedy się pani zdążyła ponauczać tego wszystkiego? — pytał ze szczerym zachwytem.

— Nie wiem — odpowiadała Mila. I była to

prawda. Wszystkie wiadomości, tyczące się gospodarowania, od dzieciństwa zbierały jej się w głowie nieznacznie i dotąd były niepotrzebne, drzemały rozproszone po zakamarkach pamięci. Nie zdawała sobie sprawy ze stopnia swojego praktycznego wykształcenia i odkrywała je czasami z takim samym podziwem, jakim to napełniało Malewicza. Rządca uwielbiał ją poprostu. Ponieważ był zapalonym monarchistą, więc to nagłe objawienie się talentów gospodarczych w Mili, potwierdzało jego teorje o wartości dziedziczenia władzy.

— Zaimponujemy panu Korczewskiemu, jak wróci — śmiał się codziennie.

Korczewski jednak zasiadywał się w Warszawie i nie wracał. Po dziesięciu dniach dopiero Mila otrzymała od niego lakoniczny list, w którym obiecywał wprawdzie szybki przyjazd, ale bez określonego terminu. Mila nie sądziła go już jednak tak surowo, jak bezpośrednio po śmierci matki. W miarę uspokojenia wyrównywał się i jej stosunek do ojca. Malewicz kilkakrotnie wspominał, że dla doprowadzenia Górek do tradycyjnej świetności potrzeba było znaczniejszych nakładów pieniężnych. Wniknąwszy w interesy, przekonała się, że nietylko miał słuszność, ale przy jej większym rozmachu we wszystkich sprawach widziała, że ten nakład powinien był być znacznie wyższy, niż to wyobrażał sobie nawet Malewicz. Stwierdzenie tego faktu, nie mającego pozornie nic z uczuciami wspólnego, przyczyniło się jednak również do pogodzenia jej z ojcem. Miała wrażenie, że odkryła istotną przyczynę jego nieobecności w Górkach. W rzeczywistości tak, jak mówił, zajmował

się interesami. Gromadził gotówkę, żeby odrobić zaniedbanie Górek. Z tego urojenia wypłynęło radosne poczucie, że oboje jednakowo myśleli i czuli.

Po trzech tygodniach Korczewski przyjechał wreszcie do Górek. Pierwszem wrażeniem, jakie rzuciło się Mili w oczy, był jego wygląd. Zupełnie młody człowiek. Przytem, chociaż zawsze był dość koło siebie staranny, teraz doprowadził już elegancję prawie do przesady. Przyjechał wieczorem, i odrazu usiedli do kolacji. Obecność Malewicza krępowała ich w poruszaniu spraw wyłącznie osobistych, więc cała rozmowa toczyła się na temat spraw gospodarczych. Mila zdawała ojcu sprawę ze swoich zajęć, a Malewicz rozpływał się w entuzjastycznych zachwytach.

Co chwila wykrzykiwał:

— Wrodzony genjusz do gospodarowania!

— Widzisz — uśmiechnęła się wreszcie Mila do ojca — jaka to szkoda, że nie pozwoliliście mi wstąpić na agronomję.

Korczewski machnął lekceważąco ręką.

— Co ci po tem?

— Jakto co? Poznałabym wszystko gruntownie. To bardzo ważna rzecz.

— Dla mężczyzny, ale nie dla kobiety — odparł Korczewski.

— To już za bardzo staroświecki pogląd. Dziś wszystkie kobiety dążą do jak najgruntowniejszego wykształcenia.

— Bo coraz więcej czupiradeł na świecie. Naj-

ważniejszą rzeczą dla kobiety jest kobiecość. Prawda, panie? — zwrócił się do Malewicza.

— Zapewne — potwierdził Malewicz, błyskając porozumiewawczo wzrokiem do Korczewskiego.

Wydało się Mili, gdy pochwyciła to spojrzenie, że niezbyt wyszukany aforyzm ojca bardziej przemówił do rządcy, niż cała jej energja i zdolności. Umilkła, zniechęcona. Z poprzedniej rozmowy odniosła zresztą wrażenie, że wszystkie sprawy gospodarcze nic a nic ojca nie obchodziły. Słuchał jej opowiadań z najwidoczniejszem roztargnieniem. Poczucie obcości, które ją prześladowało po pogrzebie, znów jej wróciło, może już w nie tak jaskrawych formach, ale jakby pogłębione.

Jeszcze mocniej zarysowało się to na drugi dzień. Po szeregu tygodni nieobecności w majątku, całe zainteresowanie Korczewskiego zdawało sięześrodkowywać na urządzeniu domu. Od rana kręcił się po pokojach zamyślony, oglądał meble, kazał przestawiać, przymierzał i nie wyjrzał nawet na podwórze. Mila obserwowała go w milczeniu, doznając chwilami takiego wrażenia, że poprostu zwarjował. Ale nie zadawała mu żadnych pytań. Stanąwszy raz na stanowisku, że się przestali rozumieć, narzucała sobie już pewną teoretyczną obojętność. Wkońcu jednak doszli do starcia. W pokoju Korczewskiej wszystko pozostało od chwili jej wyjazdu z Górek nietknięte. Mila nie pozwoliła nawet zamknąć, nawpół otwartej w toalecie, szuflady. Stworzyła z tego pokoju, jakby kaplicę, poświęconą pamięci matki. Sądziła, że ojciec złączy się z nią w tej intencji. Ale widok

pamiątkowego pokoju wywarł na Korczewskim raczej wrażenie niezadowolenia, którego nawet nie umiał ukryć.

— Ach, zostawiłaś tak tu wszystko? — mruknął.

— Tak — odparła, jakgdyby zadziwiona samem pytaniem.

Korczewski opuścił oczy i począł oglądać starannie wypielęgnowane i nabłyszczone paznokcie.

— Nie wątpisz chyba, że tak samo odczułem to nieszczęście, jak i ty — zaczął po chwili. — Ale przecież, co innego jest życie, a co innego śmierć.

Aforyzmy nie stanowiły specjalności Korczewskiego, zwłaszcza gdy chciał w nich zamykać jakieś filozoficzne uogólnienie swoich poglądów. Mila nie zwróciła jednak uwagi na formę powiedzenia, buntując się odrazu przeciwko treści, którą odgadywała.

— Więc jakiż z tego wniosek?

Korczewski nie odrazu odpowiedział. Znać było, że szuka w mózgu wyrazów dla nadania jak najdelikatniejszej formy swoim myślom. Wreszcie odezwał się patetycznie.

— Pamięć umarłych czci się na cmentarzach.

— To znaczy, że w domu należy odrazu o nich zapomnieć!

Korczewski wzruszył ramionami.

— Chyba naumyślnie przekręcasz to, co mówię. Przecież niepodobieństwem jest, żeby ten pokój stał tak wiecznie.

— Dlaczego? Czyż nie zachowują po umarłych pokojów?

— Aa, może w królewskich pałacach.

— Jednakże, dopóki ja tu jestem panią domu, ten pokój będzie nietknięty, i wszystko w domu tak zostanie, jak przy mamie.

Korczewski nic nie odpowiedział. Nie rozmawiali ze sobą, aż do obiadu. Zresztą Mila odeszła zaraz do zwykłych swoich codziennych zajęć. Po tem krótkiem starciu jeszcze bardziej wzrosło w niej poczucie odpowiedzialności za Górki.

Popołudnie znów spędzili oddzielnie. Mila, według ustalonego trybu, którego tego dnia trzymała się z większą pedanterją, niż kiedykolwiek, Korczewski—na naradach z Malewiczem. Zeszli się w salonie przed samym odjazdem Korczewskiego. Powóz czekał już przed gankiem. Mila w wyrazie twarzy ojca wyczytała coś w rodzaju zażenowania czy nawet skruchy. Były to tak rzadkie u Korczewskiego uczucia, że rozbroiłyby ją w każdym innym wypadku samą niezwykłością swoją. Ale tym razem ojciec zbyt głęboko ją uraził. Już nietylko zgrzytem w pokoju matki, ale przedewszystkiem i bardziej jeszcze całem postępowaniem. Nie zdobył się nawet na gorętsze słowo uznania dla jej pracy, a ostatecznie, pominąwszy istosną wartość tego, co zrobiła, mógł się był zastanowić, ile wysiłków woli musiała włożyć w zapanowanie nad swoją rozpaczą. Pod wpływem rozgoryczenia zapominała o tem, że to praca właśnie pomogła jej zapanować nad rozpaczą. Zresztą nie rozumiała celu wizyty ojca. Bo to była tylko wizyta. Zupełnie inaczej sobie wyobrażała jego przyjazd do Górek. Nawrót uczucia obcości był stokroć boleśniejszy, niż pierwsze wrażenie, które potem starała się sobie wytłu-

maczyć, jako nieporozumienie. Żal wezbrał w niej tak gwałtownie, że, patrząc na ojca, z trudem powstrzymywała łzy. Gorączkowo czekała, żeby wyszedł. Wyczuwała zarazem, że chce jej coś powiedzieć i poprostu nie wie jak zacząć. Nie spodziewała się niczego innego, prócz kilku banalnych frazesów, mających niby to coś załagodzić. Pewne słabostki ojca, na które normalnie nie zwracała uwagi, wyjaskrawiły się nagle w jej odczuciu. Jego promieniejąca zawsze i przez wszystkie stany duszy pogoda nie pozwalała mu odjechać z niemiłem wrażeniem, że wyrządził córce przykrość. Dlatego pragnął łagodzić. I zdawało mu się, że to można było zrobić kilkoma słowami. Wszystko to załatwiłoby się prędzej, gdyby się odezwała pierwsza. Ale chociaż czekała, żeby pojechał, wolała przedłużać denerwującą ją w najwyższym stopniu sytuację, niż ma ułatwiać niepotrzebną ceremonję.

— Milu — odezwał się nagle Korczewski.

— Słucham — odparła krótko, połykając końcową sylabę.

— Właściwie o co ty się boczysz na mnie?

Zaskoczyło ją to wyraźne pytanie, tem bardziej, że odpowiedź musiałaby być skomplikowana i długa. Milczenie jej wróciło Korczewskiemu pewność siebie. Uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nabiłaś sobie głowę pretensjami do mnie.

— Nie.

— Ależ tak... Ja pamięć matki czczę tak samo, jak i ty, ale jestem żywym człowiekiem. Po największych nieszczęściach ludzie wracają do życia. I my mu-

simy wrócić. Inaczej lepiejby było odrazu się powiesić. Zastanów się, przecież ty sama nie będziesz żyła w tym nastroju. Wyjdziesz zamąż.

— Wcale o tem nie myślę.

— Ale przyjdzie chwila, że pomyślisz. Już myślałaś. W Warszawie rozgniewałaś się na mnie o to, że wspomniałem o Dołguckim. Cóż w tem było złego. Pokłóciliście się o jakieś głupstwo.

— Jeśli mogliśmy zerwać z powodu głupstwa, to najlepszy dowód, żeśmy nie byli stworzeni na małżeństwo.

— Ee, moja droga, to za pośpieszny sąd... Przecież i matka, i ja takżeśmy się starali poznać Dołguckiego. Pamiętaj, że matka bardzo sobie życzyła tego małżeństwa.

Mila opuściła głowę i nic nie odpowiedziała.

— No, odpowiedz-że mi.

— Owszem.

— Widzisz! — wykrzyknął Korczewski z akcentem triumfu w głosie. I w tej samej chwili spojrzał na zegarek.

— Mam jechać. Za tydzień będę. Rozważ-że to wszystko, co ci mówiłem.

Mila nie odpowiedziała już ojcu, że przedewszystkiem on sam zapatrywał się bardzo niechętnie na jej małżeństwo z Dołguckim, wobec czego powoływanie się na pragnienia matki były argumentem mocno naciągniętym. Po wyjeździe Korczewskiego do późnej nocy chodziła po salonie, rozmyślając. Ojciec znów zwyciężał. Milę przestawało razić jego postępowanie i nawet chęć

zatarcia wspomnień nieboszczki w domu. Za wiele miał bujnego życia w sobie, żeby móc się zasklepiać w rozpamiętywaniach bólu. Zrozumiała nagle, że raziło ją w nim to samo właśnie, za co go uwielbiała zawsze: pęd do życia. I myśl ta sprawiła jej nietylko niewypowiedzianą ulgę, ale i radość. Instynktownie dążyła do wyrównania wszystkich nieporozumień z ojcem.

I po raz pierwszy od powrotu z pogrzebu matki do Górek uświadomiła sobie nagle i wyraźnie sztuczność swojej własnej egzystencji. Przecież to było tylko ciągłe przytłaczanie uczuć i myśli. I czy nie wkładała ogromu swojej pracy w zadania zupełnie niepotrzebne. To, co zrobiła w dziesięć dni, ojciec zrobiłby w dwa. A bez ojca — Malewicz. Z nagłem szyderstwem upodobniła się w swojej roli do cyrkowego, głupiego Augusta, kręcącego się i narzucającego innym ze zbyteczną pomocą.

Ta sama praca mogła być życiem, ale w innych warunkach. I zdobyła się na odwagę: z Dołguckim. Był to jeden, jedyny człowiek, którego pragnęłaby mieć przy sobie w tej chwili... Wróciło jej przeżywane w Warszawie uczucie wypoczynku, spokoju. Wydobywała z pamięci wspomnienia różnych chwil, w których czuli, że było im dobrze razem. Ale szybko spłoszyła to rozmarzenie smutna myśl.

— No tak, ale czyż on...

Było późno. Druga w nocy. Mila wyszła nagle z jadalni i skierowała się do pokoju matki. Ojciec miał słuszność. Trzeba było wrócić do życia. Pierwszy raz wchodziła do pokoju matki w nocy. Kiedy otworzyła

drzwi, wydało jej się, że pokój był pełen szmerów i szeptów. Obezwładnił ją nagle śmiertelny lęk. Ale się przemogła. Zapaliła świecę, zamknęła drzwi i, drżąc cała, podeszła do biurka. Szybko zasunęła niedomkniętą szufladę. Słaby trzask odezwał się w jej sercu jakimś bolesnym skurczem. Podniosła świecę wgórę i rozejrzała się po pokoju tak, jakgdyby chciała utrwalić sobie jego obraz w pamięci na zawsze. Postanowiła nazajutrz kazać wszystko poprzestawiać i zmienić. Ojciec miał słuszność, trzeba było wracać do życia. a nie zasklepiać się w nieszczęściu.

Przez okno, przy którem nie zamykano już okiennicy, widać było suchą, jasną noc i martwy jeszcze ogród. Mila stała nieruchomo pośrodku pokoju, i w duszy jej zaczynał już majaczyć pierwszy, nieśmiały błysk radości życia.

X.

Miller szedł przed siebie z taką miną, jakgdyby odziedziczył miljonowy spadek. Od tygodnia miał posadę i odrazu stał się zupełnie innym człowiekiem. Odmłodniał, wyprzystojniał, ubranie zaczęło na nim inaczej leżeć. A przedewszystkiem inaczej czuł i myślał, i nietylko nie pamiętał, ale nie potrafiłby już nawet zrozumieć swojej psychiki zalęknionego wykolejeńca z przed tygodnia.

Nie po raz pierwszy zresztą dokonywała się w nim taka przemiana. Życie jego płynęło okresami. Powodzeń i niepowodzeń. I, jak ludzie, dotknięci chorobą podwójnej osobowości, posiadał dwie różne psychiki. Nie zatracał wprawdzie, jak tego rodzaju psychopaci, bezwzględnie pamięci odrębnych stanów duszy, ale kiedy mu się wiodło, wszystkie wspomnienia z okresów niepowodzeń tak w nim blakły, że nie miały najmniejszego znaczenia. Natomiast wspomnienia z okresów powodzeń występowały ze zdwojoną siłą, tworząc pewny i mocny fundament pod wiarę w przyszłość.

I ta wiara tak promieniowała nazewnątrz, że wielu ludzi jej ulegało. Uległ Dołgucki. Kiedy się widzieli

przelotnie w trzy dni po objęciu przez Millera posady po raz pierwszy potraktował kolegę, jak kogoś zupełnie sobie równego. Wyraziło się to bezwiednie z jego strony w jakiemś innem, bardziej zamaszystem, niż zwykle, podaniu ręki na pożegnanie, chociaż sam uścisk był również mocny i serdeczny jak zwykle. Przedtem, mimo całej delikatności i teoretycznego stanowiska wobec Millera, nie jako Millera specjalnie, ale wartościowego człowieka, nieszczęśliwego nie ze swojej winy, nie mógł się wyzbyć w stosunku do niego pewnego przyjacielsko zabarwionego odcienia wyższości.

Miller w nowej fazie duchowej odrazu zlekceważył pomoc Dołguckiego. Wynalezienie posady wydawało mu się czemś tak błahem, jak poczęstowanie papierosem. Wierzył zresztą, że sam również dobrze dałby sobie radę. Nie było w tem ani odcienia niskiej i pospolitej chęci zwolnienia się z moralnego zobowiązania zapomocą sofistyki uczuciowej. Przetransponował uczucie wdzięczności na ogólną przyjaźń i serdeczność, ale napięcie tego uczucia pozostało w nim niezmniejszone. Dołgucki mógł na niego liczyć.

Miller wyszedł z domu bez określonego celu, ale z chwilą, gdy się zanurzył w gęstym, niedzielnym tłumie, znalazł natychmiast cel i to nawet bardzo kuszący. Świąteczny mrok pozbawionej świateł sklepowych ulicy podkreślał w jakiś drażniący i tajemniczy sposób jasne plamy kobiecych karków i pończoch. Oczy Millera i gmatwanina łydek tworzyły jakby dwa bieguny elektryczne, między któremi raz po raz wytwarzał się prąd, i tryskały iskry. Miller to zwalniał to przyśpieszał kroku, przy-

stawał, odwracał się i wpadał w coraz większy niepokój. W okresach niepowodzenia zapominał on zupełnie o istnieniu kobiet na świecie, wzamian za to wraz z odmianą psychiki wybuchały w nim gwałtownie wszystkie uśpione pragnienia zmysłowe.

Mrok zaostrzający ponętę kobiecych kształtów narażał go jednak i na przykre wrażenia. Kilka razy, wypuściwszy się za jakąś sylwetą, której niepokojąca linja czy pewien ruch, napozór nieznaczny, a pełen kuszących obietnic, podrzucały mu serce ku gardłu, nagle, w chwili wykręcania szyi pod prostym kątem, spotykał się z niedostrzeżoną, ciemną masą męskiego towarzysza. I w powrotnym ruchu głowy ku roztargnionej obojętności, prócz zawodu, krył się i odcień upokorzenia. W takich razach myśl Millera odprężała się na pewien czas ku tematom, nie mającym z kobietami nic wspólnego. Zaczynał myśleć o swojej nowej posadzie w zarządzie dużego towarzystwa akcyjnego, które obejmowało fabryki, kopalnie i przedstawicielstwo szeregu firm zagranicznych. Po tygodniu już był trochę rozczarowany. Ludziom, z którymi wszedł w stosunki, nie miał nic do zarzucenia, przeciwnie, wydawali mu się bardzo sympatyczni i ujmujący, ale raziła go organizacja przedsiębiorstwa. I w głowie zarysował mu się już projekt radykalnej reformy wszystkiego. Pomysły reformatorskie stanowiły najgłębiej tkwiące w nim manjactwo, i dookoła tego manjactwa kręciło się całe jego życie. Posady tracił jedynie dlatego, że na każdej po pewnym czasie chciał wszystko zmieniać i reformować. Zasypywał zwierzchników memorjałami i nie dawał im spokoju

dotąd, dopóki go się nie pozbyli. W pomysłach więc, które zaczynały mu się rodzić w mózgu, kryły się już pierwsze zarazki nowego okresu niepowodzeń. Ale był wobec ciążącego nad nim fatalizmu bezradny.

Po godzinnym spacerze ogarnęło go zmęczenie. Jednakże myśl uprzyjemnienia sobie kolacji kobiecem towarzystwem tak się już w nim zależała, że trudno mu się jej było wyzbyć odrazu. Więc chociaż w zasadzie szedł już w stronę restauracji, wciąż się jeszcze ociągał i oglądał. I kiedy, znalazłszy się wreszcie u celu, zaznaczonego jaskrawą plamą światła na chodniku, zmienił nagle decyzję i postanowił udać się do innego, lepszego lokalu o kilkaset kroków dalej, był w tem tylko hipokryzyjnie umotywowany wybieg, żeby na przestrzeni tych kilkuset kroków szukać jeszcze okazji. Restauracja, którą minął, znajdowała się po mniej ludnej stronie ulicy, dzięki czemu mógł swobodniej ogarniać wzrokiem poszczególne sylwety na chodniku. I nagle zastanowiła go samotna, kobieca postać. Przyśpieszył kroku.

Kobieta szła brzegiem chodnika, tuż przy samej jezdni. Miller dojrzał ją w kręgu światła elektrycznej latarni i odrazu mógł jej się dobrze przyjrzeć. Była zgrabna i ładna, wprawdzie nie w tym typie urody, jakiegoby pragnął, ale zmęczenie bezowocnemi poszukiwaniami naginało go do kompromisu. Kilka kroków przeszedł z nią równolegle. I wystarczyło tego bardzo krótkiego czasu, żeby pod wpływem głodnych zmysłów zmieniło się w nim upodobanie do typu. Zaczęła go pociągać. Z tej samej obserwacji jednak nasuwały mu się

i obawy. Stanowczo nie wyglądała na istotę, która pozwoliłaby się zaczepić na ulicy. Po chwili uświadomił sobie swoje wrażenie: wiało od niej uczciwą biedą.

Ale szedł i przysuwał się nawet do niej nieznacznie. Kobieta, zamyślona, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, nie widziała go wcale. Aż wreszcie odczuła pościg instynktownie. Szybkim ruchem odwróciła głowę. Millera uderzył niezwykły wyraz jej twarzy. Nie umiał jednak podłożyć pod ten wyraz żadnego uczucia. Odniósł tylko wrażenie czegoś niezwykłego. Kobieta przyśpieszyła kroku. Uciekała przed nim. Ale obejrzała się po chwili. Potem drugi raz. I weszła do bramy.

— Ee — skrzywił się rozczarowany. Nie pociągała go przygoda, której warunki miało się układać w dyskretnem ukryciu przed oczami przechodniów. Jednak się zatrzymał. I po chwili wahania wszedł do bramy. Na wszelki wypadek... Przez rodzaj pedantyzmu, który mu nie pozwalał po zużyciu pewnej sumy energji cofać się bez zupełnego rozczarowania.

I osłupiał. Kobieta stała oparta o ścianę. Szeroko otwarte jej oczy patrzyły błędnie z wyrazem bezbrzeżnego przerażenia. W rozpłaszczeniu ciała znać było straszny wysiłek muskułów, tak, jakby pragnęła wtłoczyć się w mur. W ręce trzymała buteleczkę. Gdy Miller zamajaczył w mroku, szybko podniosła ją do ust. Rzucił się i chwycił ją za rękę.

— Co pani robi?

Nic nie odpowiedziała. Uczuł, jak odrazu osłabła. Przymknęła oczy, ręka jej obezwładniała i zaciążyła

mu w ręce. Bez trudu wyciągnął jej z palców buteleczkę. I ogarnęło go uczucie bezradności. Jedną ręką obejmował niedoszłą samobójczynię, w drugiej, wyciągniętej na całą długość, trzymał ostrożnie buteleczkę, która paraliżowała mu zupełnie ruchy, a nie wiedział, co z nią zrobić. Nie pozwalał mu jej rzucić jakiś instynkt unikania wszelkiego hałasu. Nie chciał ściągać świadków.

Na szczęście kobieta nie zemdlała, jak się obawiał. Po chwili otworzyła oczy. Spojrzała na Millera z wyrazem najzupełniejszego stępienia.

— Może pani iść? — odezwał się półgłosem.

Skinęła potakująco głową.

— No to chodźmy.

Ujął ją pod rękę i wyprowadził z bramy, nie mając zresztą żadnego określonego planu, co dalej robić. W drugiej ręce wciąż trzymał truciznę.

— Co to jest?

— Sublimat.

— Co to za pomysł, żeby odbierać sobie życie sublimatem. Przecieżby pani nawet nie przełknęła. Poparzyłaby pani najokropniej gardło. I męczyłaby się pani przez kilka tygodni.

W zdenerwowaniu nie zastanawiał się nad brakiem sensu tej spóźnionej przestrogi. Kobieta, oszołomiona jeszcze najzupełniej nerwowym wstrząsem, zareagowała na jego słowa w sposób czysto mechaniczny. Słysząc, że jej robi wyrzuty, odparła pokornie:

— Nic innego nie miałam.

— Dzięki Bogu, że wporę zdążyłem chwycić panią za rękę.

Odsunęła się nagle od niego i zmierzyła już mniej błędnem spojrzeniem. Widoczne było, że w tej chwili dopiero odzyskuje poczucie rzeczywistości.

— Poco pan to robił? — odezwała się po chwili cicho, ze strasznym smutkiem w głosie.

— Teraz pani się jeszcze zdaje, że pani nic nie pozostawało, prócz samobójstwa. Ale jutro zmieni pani zdanie.

— A cóż się do jutra w mojem życiu zmieni?

— Do jutra może jeszcze nic. Ale zmieni się za tydzień, albo za miesiąc.

Powiedział to z takiem skupieniem wiary w głosię, że na chwilę udało mu się ją zasugestjonować. Zwróciła na niego wzrok, w którym zatliło się pytanie: — Mów, co będzie. — Ale natychmiast rozpacz znów zapanowała nad tem przelotnem uczuciem.

— Niech mi pan to odda — krzyknęła, wyciągając rękę ku buteleczce, którą Miller wciąż niósł ostrożnie.

— Czy pani oszalała! Najlepiej to świństwo wylać.

Zatrzymał się i przechylił buteleczkę nad rynsztokiem. Czekał, aż płyn wycieknie do ostatniej kropli, i dopiero potem rzucił buteleczkę na bruk o kilka kroków dalej. I doznał uczucia niewypowiedzianej ulgi.

— Już się pani tem nie otruje.

— Ja sobie i tak życie odbiorę.

— Nie wiem, co panią do tego skłania, ale, jeżeli

brak pieniędzy, to z takiej przyczyny nie warto sobie odbierać życia. Narazie ja sam mógłbym pani dopomóc.

— Dziękuję, nie chcę.

Kilka kroków uszli w milczeniu, i Miller zaczął się wreszcie zastanawiać, co czynić dalej. Zresztą przygoda, w którą się niespodziewanie wplątał, bynajmniej mu nie ciążyła. Zapomniał o wrażeniach, jakich szukał, i wypełniła mu duszę czysta uczuciowość. Pozatem istota, którą uratował od śmierci, bardzo mu się podobała. Postanowił nie wypuszczać jej z pod swej opieki, aż do jakiegoś zdecydowanego momentu, którego narazie jednak nie umiał sobie jeszcze wcale wyobrazić. Czuł tylko, że trzeba ją było zaprowadzić gdzieś pod dach.

— Gdzie pani mieszka? — odezwał się po chwili.

— Nigdzie.

— Na ulicy nie może pani nocować.

— Dlaczego?

— No, bo nie. Musi pani wypocząć, uspokoić się... Z pewnością nic pani dziś nie jadła? Proszę się przyznać.

— Czyż to nie wszystko jedno.

Wymijająca odpowiedź utwierdziła Millera w przekonaniu, że domysł jego był słuszny. I sprawiło mu to przyjemność. Chciał w głębi duszy, żeby przyczyną, która pchnęła nieznajomą do rozpaczliwego postanowienia, była tylko nędza.

— Przypuśćmy, że wszystko jedno. Ale teraz

musi pani wypić choćby szklankę gorącej herbaty. Niech pani idzie do mnie.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo...

Urwała, jakgdyby nie umiejąc usprawiedliwić odmowy. Miller uśmiechnął się i wziął ją pod rękę.

— Dobrze, że pani nie powiedziała „bo pana nie znam". To już byłby za śmieszny konwenans w tej sytuacji. Proszę mnie słuchać. Ma pani w tej chwili do najwyższego stopnia roztrzęsione nerwy i nie wie pani, co się z panią dzieje. Wypocznie pani u mnie i, ponieważ niema pani gdzie mieszkać — zanocuje. To znów wykracza przeciwko konwenansom. Mógłbym się wykosztować na hotel dla pani, ale nie zrobię tego, bo dziś nie może pani być sama. Mieszkam dość daleko... Pojedziemy. Dobrze.

Nieznajoma nic nie odpowiedziała, ale, gdy Miller podprowadził ją do automobilu, nie opierając się, wsiadła. Millera ogarniał coraz lepszy humor.

— Dziś pani wypocznie, a jutro zobaczymy. Zdawało się pani, że dla pani niema już w życiu miejsca. Nieprawda. W życiu jest tyle miejsca, że zawsze można sobie nowe znaleźć. Ja to mówię nietylko w materjalnem znaczeniu, ale i w duchowem. Czy pani chce rozmawiać?

Nieznajoma potrząsnęła przecząco głową.

— Tak... Po takiem wrażeniu to wszystko męczy.

Miller miał niewielki pokój, którego najcenniejszym w danym razie meblem był duży, staroświecki pa-

rawan, osłaniający łóżko. Grat ten stanowił utrapienie Millera. Niezliczoną ilość razy prosił, żeby mu go wyrzucono z pokoju, ale ponieważ właściciele mieszkania przykładali do parawanu jakąś sentymentalną wagę, a gdzie indziej nie mieli na zabytkowy sprzęt miejsca, więc parawan trwał wciąż koło łóżka i doczekał się nareszcie chwili, w której po raz pierwszy oczy Millera spoczęły na nim z zadowoleniem i dumą. Odrazu zwrócił uwagę nieznajomej: — Będzie pani miała zupełnie oddzielny pokój — i, ponieważ w odpowiedzi na to skinęła głową, jakby dziękując, uspokoił się, że się już przynajmniej rozstrzygnęła kwestja noclegu. Na spirytusowej maszynce nastawił wodę na herbatę i, czekając, aby się zagotowała, obserwował nieznacznie niedoszłą samobójczynię. Zauważył, że miała bardzo ładne, szaro-stalowe oczy i mocno rozwinięte czoło.

To całe zdarzenie mogło oczywiście nie mieć żadnego dalszego ciągu. Ale treścią swoją zahaczało o pewną fikcję, która tkwiła w duszy Millera od młodzieńczych lat i tworzyła stałe tło jego utajonych marzeń o miłości. Wogóle zresztą miłość istniała jeszcze dla niego tylko w marzeniu. Nie zaznał jej w ciągu całego życia, i wspomnienia jego, złączone z kobietami, ograniczały się do bardzo banalnych i nawet w swoim charakterze kawalerskim, ubogich przygód. Ale nie rezygnował z nadziei spotkania kobiety, któraby go obdarzyła i wzbudziła w nim wielkie, przekształcające życie, uczucie. Obraz tej kobiety ułożył mu się w fantazji w pewien stereotyp. Zawsze miała to być istota zapoznana, niesprawiedliwie krzywdzona, ukryta w sza-

rych nizinach losu, z której on dopiero wyzwoliłby wszystkie drzemiące blaski i skarby. Słowem — transpozycja bajki o kopciuszku, z wyznaczoną dla siebie rolą królewicza. Fikcja ta płynęła z tego samego źródła, co i inne jego marzenia we wszystkich zakresach życia, z tęsknoty do siły i narzucenia swej woli. Dlatego też największe zaciekawienie wzbudzały w nim zawsze kobiety na skromnych stanowiskach, panny ze sklepów, biedne urzędniczki, służące, córki stróżów w kamienicach, gdzie mieszkał. Ile razy która z nich choć trochę mu się podobała (a nie był pod tym względem trudny), ogarniał go zawsze niepokój, czy nie mija swojego miłosnego przeznaczenia. I gdy nareszcie doczekał się w swoim pokoju kobiety, którą wyrwał śmierci, wyobraźnia poniosła go już całą siłą. Patrzył na nieznajomą z rosnącym z każdą chwilą zachwytem. Słabość jej budziła w nim tkliwe, ojcowskie uczucie.

— Może się pani do łóżka położy — odezwał się nagle. — Prędzej się pani nerwy uspokoją.

— Ach, nerwy to najmniejsza — odparła, zwracając na niego wzrok. — Ja umiem panować nad nerwami.

I, jakby chcąc poprzeć to dowodem, uśmiechnęła się do Millera. Twarz jej nabrała w tym uśmiechu wyrazu niewypowiedzianej słodyczy.

Miller o mało nie wywrócił imbryka, z którego buchała już para.

— To prawda, że pani umie panować.

Niezgrabnie przez chustkę starał się zdjąć z im-

bryka pokrywkę. Nieznajoma wstała nagle z kozetki i zbliżyła się ku niemu.

— Niech pan pozwoli. Ja to lepiej robię. Nie da pan sobie rady.

— Ależ... — wykrzyknął z takiem lękliwem oburzeniem, jak przy wysiłku, na który chciałby się porwać ktoś bardzo ciężko chory.

— Ja fizycznie wcale nie jestem zmęczona. Wszystko mogłabym robić, a nietylko zająć się herbatą. Tylko — dorzuciła po chwili — we mnie nic się nie zmieniło.

Machinalnie zciągnęła starą, zniszczoną rękawiczkę, którą do tej pory trzymała na ręce, i Millerowi błysnęła nagle w oczach obrączka!

— Aa — przemknęło mu przez myśl przykre rozczarowanie.

I odezwał się prawie opryskliwie:

— Pani ma męża.

— Tak.

— I może porzucił panią? — ciągnął tonem, w którym zadźwięczała nagle drwina.

— Nie. Ja od niego uciekłam.

— Ale się państwo jeszcze pogodzą.

— O, nigdy.

Uczucia Millera zmieniały się z błyskawiczną szybkością. Po chwilowym zgrzycie niechęci znów go ogarnęło roztkliwienie do nieznajomej.

— Ma pani kogo w Warszawie? — zaczął się dopytywać.

— Mam rodzinę. Ale oni stoją po stronie mego męża. Dzisiaj wpadł, zrobił straszną awanturę. Nie miałam już sił znosić, taka uczułam się osamotniona.

Umilkła i zapatrzyła się przed siebie. Miller miał szaloną ochotę pocałować ją w rękę.

— Kto pan jest? — zwróciła się nagle do niego po chwili.

— Nazywam się Miller. Z wykształcenia jestem matematykiem.

— Ja się nazywam Stanisława Wiertkiewiczowa.

XI.

Po drodze z biura do domu Miller kupił butelkę wina i takie mnóstwo najrozmaitszych rzeczy do jedzenia, że, kiedy znalazł się przed drzwiami swego pokoju, musiał część tych zapasów złożyć na podłodze, żeby móc ująć za klamkę. Wiertkiewiczowa nie usłyszała jego wejścia. Wtulona w kąt kanapy, spała z głową opartą o ścianę. Miller znieruchomiał na ten widok. Pierwszy jego odruch nie podlegał prawom logiki. Bo było to uczucie, że gdyby Wiertkiewiczowa nie spała, to skrzyczałby ją najokropniej za to, że spała na kanapie w ubraniu. Z tego powodu gniewał się już na nią rano. Bo, kiedy się obudził o wpół do ósmej, rześki i wypoczęty, mimo, że spędził noc w ubraniu, na bardzo niewygodnej kanapie, zobaczył, że Wiertkiewiczowa była już na nogach i ubrana jak do wyjścia. Zaklinał ją, żeby się położyła zpowrotem do łóżka i obiecała mu to ostatecznie.

Oburzenie jego rozpłynęło się jednak zaraz w serdecznym uśmiechu.

— Co za uparciuch.

Zaczął rozkładać na stole przyniesione rzeczy, starając się poruszać jak najciszej i rozwijać paczki bez

szelestu. Z ust nie schodził mu promienny uśmiech. Co chwila przerywał zresztą swe zajęcie i zwracał wzrok na Wiertkiewiczową. Po głowie błąkało mu się wciąż tkliwe określenie, które wzbudziła w nim jej słabość i bezradność.

— Ptaszynka...

Nagle Wiertkiewiczowa otworzyła szeroko oczy. Przez sekundę patrzyła na Millera tak, jakgdyby go nie poznawała. I naraz na twarzy jej znów odmalował się ten wyraz zastraszenia, który jej prawie nie opuszczał. Gwałtownie zerwała się z kanapy.

— Przepraszam pana...

— Za co? — roześmiał się Miller.

Chwycił ją za obie ręce i, marszcząc się karykaturalnie, zaczął udawać gniew.

— Chociaż... nie... nie... Jest za co. Powinienem się na panią gniewać. Widzi pani, jak się gniewam.

Był tak komiczny, że Wiertkiewiczowa nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Miller nie zrozumiał jego znaczenia. Z wdzięcznością zaczął Wiertkiewiczową całować po rękach.

— Dlaczego pani, jak prosiłem, nie położyła się do łóżka?

— Ależ ja nie jestem chora.

— Jest pani. A przedewszystkiem musi być pani nieludzko głodna. Odkładamy rozmowę na później. Najpierw jeść. Niech się pani wina napije — wykrzykiwał, rozkładając przed Wiertkiewiczową papierki, które zastępowały talerze.

Wiertkiewiczowa zaczęła jeść machinalnie. Miller każdy jej ruch śledził rozradowanym wzrokiem. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Wciąż coś przestawiał, poprawiał, kręcił się bez potrzeby po pokoju, zacierał ręce i nie przestawał mówić.

— Przepraszam panią za moje cygańskie gospodarstwo. Nie jest to pałacowa zastawa.

— Nie znam pałaców.

Głos Wiertkiewiczowej brzmiał już dźwięczniej i swobodniej. Był to jednak tylko efekt wina, które widocznie zakręciło jej w głowie. Na twarz wystąpiły jej rumieńce, oczy nabrały blasku. Ale jadła z coraz większym apetytem.

— A potem znów spać — myślał Miller.

— Jak się pani ten pokój podoba? — odezwał się nagle.

— Bardzo.

— No to dzięki Bogu.

Wiertkiewiczowa nerwowym ruchem cofnęła się od stołu.

— Dlaczego?

— Bo ten pokój jest już pani.

— Nie rozumiem.

— No pani. Należy do pani. Ja się wyprowadzam. Dziś rano załatwiłem już tę sprawę z gospodarzami. Na pewien czas pani zajmuje moje miejsce. Zresztą, na pewien czas, to znaczy dokąd się pani będzie podobało. Tylko musiałem, oczywiście, wymyśleć jakieś pokrewieństwo. Powiedziałem, że pani jest mo-

ją cioteczną siostrą. Więc musi już pani to podtrzymywać.

Wiertkiewiczowa była tak oszołomiona tem, co usłyszała, że po chwili dopiero wykrztusiła z siebie zapytanie.

— A... a pan gdzie będzie mieszkał?

Miller wybuchnął śmiechem.

— Nie wiem.

— Więc pan chce, żebym ja, w dodatku do tych wszystkich kłopotów, jeszcze pana pozbawiała mieszkania.

— Ależ nie pozbawia mnie pani mieszkania, bo za kilka godzin będę je miał i wcale nie gorsze od tego.

Miller spoważniał i zmienił nagle ton.

— Droga pani, ja zawsze w życiu trzymałem się tej zasady, że jeśli się coś zaczyna robić, to trzeba dobrze zrobić do końca. Wyrwałem panią śmierci. To nakłada na mnie obowiązek, żeby wrócić panią do życia. Bo to jest różnica, uratować kogoś od śmierci, a pchnąć zpowrotem w życie. Prawda?

Wiertkiewiczowa skinęła potakująco głową.

— Otóż, żeby żyć, musi pani mieszkać, jeść i mieć zajęcie. Mieszkanie pani ma, zajęcie pani znajdę. Pozostaje punkt trzeci. Jedzenie. Musi pani przyjąć ode mnie pożyczkę.

— Za nic w świecie!

— Zaraz, zaraz, nie tak gwałtownie — odparł Miller, przytrzymując ją za rękę. Niechżeż pani będzie sprawiedliwa. Życie zasługuje na taki sam wysi-

łek, jak śmierć. Wczoraj wieczór zdobyła się pani na wysiłek przekreślenia wszystkich swoich wierzeń, uczuć, konwenansów. Dla śmierci. Niechżeż pani dziś dla życia zapanuje nad tym jednym, jedynym konwenansem, który nie pozwala pani brać pieniędzy od obcego człowieka. Zresztą, tłumaczyłem już pani, że nie może mnie pani uważać za istotę zupełnie sobie obcą. Wytworzyło się między nami pokrewieństwo... mistyczne.

Szybko wyjął z kieszeni paczkę banknotów i położył na stole przed Wiertkiewiczową.

— Ja nie wezmę.

— Musi pani wziąć. Zresztą to jest tylko pożyczka. Zwróci mi pani te pieniądze.

— Z czego?

— Ze swoich zarobków.

Wiertkiewiczowa pochyliła głowę nad stołem; ścisnęła rękami skronie. Miller stał chwilę nieruchomo, potem zbliżył się, ujął delikatnie jej rękę i, pocałował.

— Niechżeż się pani nie martwi, bo niema czem.

— Wie pan — odezwała się, jakby nie słysząc jego słów — mnie się wciąż zdaje, że ja się wczoraj otrułam, i że to wszystko są tylko przedśmiertne halucynacje.

— Biedne dziecko — szepnął Miller.

I pogłaskał ją po głowie. Zrobił to odruchowo, prawie nieświadomie i odrazu sam się przestraszył, tak mu się to wydało zuchwałe. Odezwał się szybko:

— Teraz ja pójdę, a pani niech się tu rozgospodaruje.

— Nie, niech pan jeszcze nie odchodzi.

Miller aż poczerwieniał z radości.

— Pieniędzy od pana nie wezmę — ciągnęła powoli Wiertkiewiczowa, — ale niech mi pan wyszuka jakąkolwiek pracę.

Miller machnął lekceważąco ręką:

— To głupstwo.

I sam wierzył w tej chwili, że znalezienie nie jakiejkolwiek, ale doskonałej posady dla Wiertkiewiczowej nie mogło przedstawiać dla niego najmniejszej trudności.

— A za mieszkanie odwdzięczę się panu, jak będę mogła. Mogę panu prać, cerować bieliznę...

Umilkła i zapatrzyła się znów przed siebie, zamyślona.

— O tem praniu tak pani myśli? — roześmiał się Miller.

Ale Wiertkiewiczowa nie chwyciła jego żartobliwego tonu i odparła poważnie:

— Nie. Myślę, że to nie tak łatwo zmienić życie.

Miller doznał nagle wrażenia, jakgdyby mu na duszę padł cień. Od poprzedniego wieczora wżywał się stopniowo w pewien stan uczuciowy, który wreszcie najzupełniej nad nim zapanował i zasłonił mu rzeczywistość. Nie umiał sobie wyobrazić, że Wiertkiewiczowa miała jakąś przeszłość. Zaczynała się dla niego w chwili, w której uratował jej życie w bramie. Wszystko, co było przedtem, nie istniało. To swoje uczucie przenosił również na nią. I nagle jakgdyby otrzeźwiał.

— To zależy — odparł po chwili — już bez po-

przedniej serdeczności w głosie. — Nie wiem, jakie pani ma wspomnienia z przeszłości.

— No, chyba nie wesołe — odparła z gorzkim uśmiechem.

— Ale czasami i smutne wspomnienia mogą wiązać bardzo mocno.

— Jabym chciała o wszystkiem zapomnieć.

Ta odpowiedź wróciła Millerowi humor. Przeskakując nagle od praktycznych tematów do abstrakcyj, zaczął wykładać Wiertkiewiczowej swoją filozofję miłości. We własnem mniemaniu przygotowywał ją w ten sposób subtelnie do wyznania, jakie jej chciał uczynić, nie mogąc się jeszcze zdecydować, czy zrobić to odrazu, czy odłożyć do następnego spotkania, ale to, co mówił, było tak subtelne, że Wiertkiewiczowa, nawpół jeszcze oszołomiona i ogłupiona, poprostu nic a nic nie rozumiała. Przez poczucie delikatności i wdzięczności wobec człowieka, który ją ratował, udawała, że słucha. Ale oczy kleiły się jej do snu. Nareszcie Miller to zauważył. Na ulicy, po chwilowem wahaniu, postanowił udać się do Dołguckiego. Widział przed sobą olbrzymie wydatki i nie mógł marnować lekkomyślnie pieniędzy na hotele. Zastał kolegę na wychodnem z domu, we fraku. I to wycelowanie przyjścia co do minuty, dodało mu jeszcze animuszu. Los się odwrócił i sprzyjał mu we wszystkiem.

— Mój kochany — odezwał się swobodnie i prawie wesoło — musisz mnie dziś przenocować?

— A cóż się stało? Straciłeś mieszkanie.

— Nie myśl, że mnie wyrzucili — odparł Miller.

— Nawet w najcięższych czasach płaciłem zawsze za mieszkanie regularnie. Sam oddałem swój pokój...

I Miller zaczął opowiadać Dołguckiemu całą przygodę, dumny z jej romantyczności. Dołgucki słuchał go z początku obojętnie i nawet niecierpliwie i dopiero, kiedy Miller wymienił nazwisko Wiertkiewiczowej, wyraz twarzy mu się zmienił. Wykrzyknął ze zdumieniem:

— Jakiej Wiertkiewiczowej?

— To ty znasz jaką?

Błyskawicznie w mózgu Millera zrodziło się podejrzenie, czy Wiertkiewiczowa nie była ofiarą Dołguckiego. Ale inżynier opowiedział mu zaraz swoje przejścia na stacji, pomijając oczywiście tylko szczegół, tyczący się sukni i konsekwencje, jakie to dla niego pociągnęło.

— Nieszczęśliwe stworzenie — mruknął wreszcie, takim już jednak tonem, jakim się komentuje wiadomości o nieszczęśliwych wypadkach w pismach.

— Trzeba jej dopomóc, żeby mogła sobie jakoś bez tego męża urządzić życie — odezwał się Miller.

— Ma się rozumieć, ale o tem to już jutro pogadamy, bo teraz muszę iść.

Dołgucki udzielił pośpiesznie Millerowi wskazówek, jak ma urządzić sobie nocleg, i zapowiedział, że wróci dopiero nad ranem. Millera, kiedy odprowadzał go do drzwi, tylko jakiś nieokreślony wstyd powstrzymał od tego, żeby nie rzucić mu się na szyję i nie ucałować.

Dołgucki nie żywił tak serdecznych uczuć w sto-

sunku do Millera. Odrazu rozumiał, że ta wizyta zamąci mu spokój. Napróżno powtarzał sobie, że ani Wiertkiewiczowa, ani Miller nic a nic go nie obchodzili. Mogli go nie obchodzić poszczególnie, ale obeszło go spotkanie się tych dwóch niemrawych istot, które mimowoli zaważyły na jego życiu. Przypominał sobie szyderczą analogję, jaką przeprowadzał między nimi podczas rozmowy z Millerem, po powrocie z Górek, tego dnia, kiedy wraz z książkami odesłał Wiertkiewiczowej nieszczęsną broszkę. I choć rozumowo nie mógł traktować ich spotkania inaczej, jak zwykłego wypadku, jednakże w uczuciowem wrażeniu przedstawiało mu się ono już z trochę mistycznem zabarwieniem, jako przeznaczenie. Wogóle Dołgucki nie był skłonny do mistycznych dywagacyj. Możliwości teoretycznej istnienia przeczuć nie zaprzeczał, uważał jednak, że do tego potrzebne były pewne właściwości psychiczne, których w sobie nie wyczuwał w najsłabszym nawet stopniu, wobec czego do wszystkiego, co mu się mogło nasuwać, jako przeczucie, musiał się odnosić krytycznie. A właśnie spotkanie Wiertkiewiczowej z Millerem obudziło w nim przeczucie, że to i na jego własnych losach odbije się w jakikolwiek sposób.

Tą konsekwencją miało być poprostu odzyskanie Mili. Majaczyły mu się po głowie jakieś cykle, z których składa się życie, i które zaczynają się i kończą podobnemi do siebie wypadkami. Miller i Wiertkiewiczowa wywołali pewien przełom w jego życiu, więc i teraz w ten sam niezrozumiały sposób mogli sprowadzić

wyrównanie. Tak go to wrażenie pochłonęło, że rozrywało mu najzupełniej bieg myśli.

Zdawało mu się, że Mila w jego życiu już nie odgrywa roli. Miał pewien nawrót uczuciowy, kiedy się dowiedział o śmierci pani Korczewskiej. Ale był to tylko przelotny nastrój, który po kilku dniach zginął. Sam zresztą starał się go stłumić, uważając poddawanie się takim nastrojom za bezcelowe zupełnie wytrącanie się z równowagi moralnej. Myślał o zwróceniu się do Mili, i zdawało mu się nawet, że gdyby się był w tym czasie do niej zwrócił, to naprawiłoby się wszystko, ale się nie zwrócił, ponieważ zdawał sobie też sprawę, że byłoby to z jego strony tylko wyzyskanie pewnego momentu depresji duchowej Mili. W szybkim czasie odprężyłaby się na pewno, i wtedy ujemne cechy jej charakteru wystąpiłyby na pewno z większą jeszcze siłą, ile, że Korczewska bądź co bądź łagodziła ją swoim wpływem. Temi krytycznemi refleksjami zdławił w sobie poryw uczucia.

I potem wszedł w okres, w którym zdawało mu się, że zupełnie nad nim zapanował. Podejmował poprzerywane prace naukowe, odnawiał zaniedbane stosunki towarzyskie tak, jak się wita po długiej i uciążliwej podróży, a raczej kołowaniu po bezdrożach znajome, miłe kąty. Odkrywał przed sobą mnóstwo zlekceważonych, a ciekawych wrażeń, i niecierpliwiło go, żeby je wszystkie chłonąć. W tej przyjemnej raczej rekonwalescencji, jedynym śladem choroby był już tylko ogarniający go czasami niepokój, czy nie grał wobec siebie nieświadomej komedji.

Dołgucki był entuzjastą współczesności. Rozkoszą przejmowało go to wszystko, co się w jego oczach tworzyło. Nawet drobne rzeczy. Kiedy szedł ulicą i napotykał nowobudowany dom, sprawiało mu to przyjemność. Zdawało mu się, że i jemu przybywa siły. Nic nie mogło go doprowadzić do takiej furji, jak wzdychanie rozmaitych niedołęgów do dobrych, przedwojennych czasów. I nic nie sprawiało mu takiego głębokiego, radosnego zadowolenia, jak uświadomianie sobie, że mimo wszystkie trudności, tych nowych rzeczy tworzyło się na każdym kroku mnóstwo. Życie żłobiło drogi, jakich nie przeczuwali nawet dawni ludzie.

I oto sam się nagle od tego wszystkiego odwrócił, żeby gdzieś, na uboczu, w sentymentalnym, uczuciowym gaiku rozmyślać o mistycznym związku Wiertkiewiczowej, Millera i Mili.

Kiedy wracał do domu rozespany, dozorca dogonił go nagle na schodach.

— Proszę pana, proszę pana...

— Co?

— Jest list... Jak tylko pan wyszedł, posłaniec był i zostawił.

Dołgucki machinalnie schował list do kieszeni i poszedł nagórę. Nie rozbierając się, usiadł przy biurku i zaczął czytać rozprawę naukową, nad jaką pracował. Szukał, jakby podpory moralnej, uzmysłowienia sobie swojej wartości. I uspokajał się powoli. W tem był on, Dołgucki, a nie w głupich dygawacjach.

— Ostatni raz — postanowił.

Wstał, żeby się rozebrać i, zdejmując palto, po-

czuł nagle pod ręką list, o którym chwilowo zapomniał. Przypuszczał, że jakieś zaproszenie. Rozdarł kopertę i osłupiał: „Serdeczne pozdrowienia i wyrazy głębokiego poważania. Korczewski”.

Patrzał na podpis przez chwilę tak, jakby nie dowierzając własnym oczom.

Korczewski chciał się z nim widzieć w „bardzo doniosłej dla obu sprawie”. Prosił o wyznaczenie spotkania.

Więc sprawdziło się i to odrazu. Wiertkiewiczowa i Miller ściągnęli Milę. Dołgucki obracał list w palcach z takiem uczuciem, jakgdyby narazie nie umiał sobie zdać sprawy, czy to była wiadomość radosna, czy obojętna.

XII.

— Pan do mnie przyszedł!

Korczewski wyciągnął do Dołguckiego obie ręce i ucałował go na powitanie. Tak serdecznie witał go pierwszy raz w życiu.

Dołgucki był trochę zaskoczony nieoczekiwanem dla niego wrażeniem. Idąc, spodziewał się zmiany w Korczewskim, ale właśnie wprost przeciwnej, niż ta, jaką zastał. Miał przed sobą nie smutnego i zgnębionego wdowca, lecz uoposobienie w ludzkiej postaci radości życia i humoru. Dołgucki nie przykładał wielkiej wagi do symbolów żałoby, zdumiał go jednak jasny garnitur i kolorowy krawat Korczewskiego. I to zdumiał w sposób nieprzyjemny. W kim innym możeby go to wcale nie uraziło, ale w tem ogólnem pojęciu, jakie wyrobił sobie machinalnie i poniekąd nawet podświadomie o Korczewskim, szczegół taki tworzył zgrzyt. Poza tem, jeżeli wogóle znał Korczewskiego, jako człowieka bardzo o siebie starannego i eleganckiego, to teraz nie mógł nie zauważyć w jego elegancji nowego odcienia fircykowatości... Całość wrażenia, na które złożyły się te wszystkie szczegóły, poplątała mu myśli. Nie wyobrażał sobie, żeby rozmowę z ojcem panny Mili

mógł zacząć nie od kondolencji i nagle uczuł, że byłoby coś dziwacznie fałszywego w wyrażaniu współczucia komuś, kto patrzył przed siebie tak wesoło roześmianemi oczami.

Korczewski musiał odgadnąć myśli Dołguckiego, bo nagle zmarszczył brwi.

— Wie pan o nieszczęściu?

— Jak to się stało? — wykrzyknął Dołgucki.

Korczewski machnął ręką.

— Stało się.

Wydął usta i wzniósł zlekka oczy wgórę, jakgdyby chcąc przez to wyrazić, że nie warto jest zastanawiać się nad przyczynami, których umysł ludzki w całości nie ogarnia. Po chwili ściągnął sygnet i zaczął go nerwowo obracać w palcach. Oznaczało to zwykle u niego tłumione zniecierpliwienie.

— Panna Mila musiała strasznie odczuć śmierć matki — szepnął Dołgucki.

— Okropnie — odparł Korczewski.

I zaraz dodał:

— Ale już dobrze wygląda. Poprawiła się na wsi.

Przez chwilę obaj milczeli. Korczewski podsunął Dołguckiemu złotą papierośnicę.

— Zapali pan?

I, bawiąc się wciąż sygnetem, zaczął:

— Bardzo nam przykro było, panie Tadeuszu, że pan się tak od nas usunął.

Na twarzy Dołguckiego odbiło się takie zdumienie, że to Korczewskiego stropiło.

— Może źle wyraziłem swoją myśl. Pojmuję,

że po tem nieporozumieniu między Milą a panem trudno panu było u nas bywać, ale przecież jakiś ślad życia mógł pan dać. Ja czekałem...

— Ale jakżeż pan to sobie wyobrażał?

Ponieważ Korczewski wcale sobie tego nie wyobrażał, więc nie mógł odpowiedzieć. Żeby pokryć zakłopotanie, roześmiał się głośno i wyciągnął do Dołguckiego rękę.

— My dwaj nie pogniewaliśmy się.

Dołgucki dość chłodno uścisnął jego dłoń. Owładnęło nim nieokreślone rozczarowanie. Nie zastanawiał się, jaki miał być nastrój tego przełomowego spotkania z ojcem Mili, czuł tylko, że wyobrażał je sobie inaczej.

— Ja panu szczerze powiem — ciągnął Korczewski. — Jestem najgłębiej przekonany, że w rzeczywistości nie mieliście najmniejszego powodu do zerwania.

Dołgucki skinął potakująco głową.

— Mila się uniosła, pan się uniósł.

— Ja się uniosłem? — uśmiechnął się ze zdumieniem Dołgucki.

— No, więc powiedzmy, ona się uniosła, a pan się zawziął. Na pewno, niech pan nie zaprzecza — dodał szybko, pochwyciwszy nieznaczny uśmiech Dołguckiego. — Przecież miał pan z Warszawy do mnie napisać. Byłbym wpływał na Milę.

— Przepraszam — przerwał Dołgucki. — I ja będę szczery. Wyjeżdżając wówczas z Górek, miałem wrażenie, że pan przyjął decyzję panny Mili nawet z pewnym zadowoleniem.

— Ja? — wykrzyknął Korczewski, zrywając się z krzesła. — Panie Tadeuszu, co pan sobie uroił. Nikt tak szczerze nie pragnął waszego małżeństwa, jak ja. Jeżeli panu się zdawało wtedy, że byłem zadowolony, to pan się mylił, stanowczo się pan mylił. Zresztą nawet się panu nie dziwię. Miał pan rozklekotane nerwy i mógł pan na wszystko patrzeć z uprzedzeniem. A ja także straciłem głowę. Przecież to był sądny dzień. Bal, pełno gości i tego rodzaju historja. Niechżeż się pan zastanowi. Być może, że bardziej brałem stronę Mili, niż pańską, ale to był zrozumiały odruch. Ja to pierwszy zdałem sobie sprawę, że wszystkich nas ogarnął jakiś szał. Tylko cóż miałem robić. Nie mogłem namawiać córki, żeby pana ścigała. Więcej panu powiem. Wobec pańskiego zupełnego milczenia, nieboszczka i ja mieliśmy nawet prawo przypuszczać, że to zerwanie wypadło po pańskiej myśli.

Dołgucki rzucił się wtył na krześle.

— Ależ!

— A skądżeż mogliśmy wiedzieć, z jakiemi uczuciami pan od nas wyjechał? Żeby nie ten jarmark w domu, możebyśmy się łatwiej byli porozumieli. Ale trzeba było jeszcze zachowywać pozory.

— I ja je zachowywałem — wtrącił ironicznie Dołgucki.

— Tak. Stąd może wynikło całe nieporozumienie.

— A gdybym był po kilku dniach napisał? — zapytał po chwili Dołgucki.

— Przyjąłbym list pański jak najserdeczniej.

— To pan, ale panna Mila?

Korczewski zawahał się z odpowiedzią.

— Po kilku dniach możeby się na pana dąsała, w każdym razie my mielibyśmy już podstawę, żeby na nią wpłynąć.

— Można wpływać bez rezultatu.

— Tu byłby rezultat, ręczę panu — odparł wesoło Korczewski.

Dołgucki pochylił głowę i zmarszczył brwi. Nie rozumiał sam siebie w tej chwili. Zamiast się radować, odczuwał raczej, jakby żal za tym całym wysiłkiem energji, na który się zdobył, żeby wrócić do równowagi moralnej. W walce, jaką prowadził ze swoją zawiedzioną miłością, nie zwracał na to uwagi, że w miarę, jak mu się udawało siebie samego przezwyciężać, rosło w nim uczucie zadowolenia i triumfu. I to sięgało najgłębszych pokładów jego duszy. Na uczuciowem tle dla myśli, jakie tworzyła w nim niewyraźna mozaika różnych, ugruntowanych jeszcze w domowych latach, wrażeń, z dwóch Dołguckich: jednego, który się szczęśliwie kochał, i drugiego, który potrafił zapanować nad niegodną siebie miłością, ten drugi przedstawiał mu się bardziej imponująco. Było w tem niezawodnie echo ciążącego nad umysłowością szeregu polskich pokoleń— cierpiętnictwa. Ale dlatego właśnie Dołgucki nie mógł się odrazu bez żalu rozstać z tą swoją nową sylwetą.

Korczewski przyglądał mu się niecierpliwie. I on także doznawał uczucia rozczarowania. Był pewien, że Dołgucki rzuci mu się w ramiona z rozrzewnieniem, miłością i skruchą i że wogóle weźmie na siebie cały duchowy ciężar spotkania. Tymczasem torować drogę

do porozumienia musiał on sam i, jak mu się wydało, po tem wszystkiem, co wypowiedział, unoszony temperamentem aż za bardzo wyraźnie. A Dołgucki siedział, jak mruk. W ojcu Mili zaczynała już grać urażona ambicja.

— No, jeżeli sobie wyobraża, że nam łaskę robi...

Zniecierpliwienie jego powiększało i to jeszcze, że miał bardzo mało czasu. Oczekiwała go Czerwieńska. Korczewski miał to w usposobieniu, że jeżeli z kimś o jakiejś sprawie rozmawiał, a sam ją już dla siebie rozstrzygnął, to nietylko nie znosił z przeciwnej strony wahań, ale poprostu nie mógł ich zrozumieć. I zaczął już żałować swojego listu do Dołguckiego. Przytem przypuszczając, że popełnił fałszywy krok, przedewszystkiem o tem tylko myślał, jakby zasłonić przed Dołguckim swoją niezręczność. Któż go miał ratować, jak nie nieboszczka żona.

Odezwał się, przechodząc w taki ton, jakgdyby Dołgucki prosił go o porozumienie, a on odmawiał:

— Ja uważam, że pan powinien był pierwszy się do nas zwrócić, i muszę zaznaczyć, że jeśli prowadzę rozmowę na ten temat, to tylko dlatego, żeby spełnić jedno z ostatnich życzeń matki Mili.

Dołguckiemu rozjaśniły się nagle oczy.

— Mówiła o mnie?

Powiedział to miękkim, serdecznym głosem, świadczącym, że zadawał pytanie nie dla rozstrzygnięcia wątpliwości, tylko dla potwierdzenia przyjemnego wra-

żenia. Ale do Korczewskiego doszła tylko treść pytania. I zdjęła go nagła złość na Dołguckiego. Nie chciał wyraźnie kłamać, nie przez skrupulatność bynajmniej, tylko przez pewien rodzaj zabobonnego lęku. Wszystkie te wrażenia, które możnaby objąć mianem życia religijnego, opierały się w nim na dogmacie, że z nieboszczykami lepiej nie zadzierać. Zresztą w stosowaniu tego dogmatu dopuszczał mnóstwo odchyleń i tak delikatnych subtelności, że wielką już różnicę stanowiło skłamanie w myśli i skłamanie żywym głosem. Mimo wiary w nadzmysłowe właściwości duchów, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tego, co się nie mówi, nie słyszą.

— Pan jest przyzwyczajony do naukowej ścisłości — odparł z przekąsem. — Nie zawsze trzeba usłyszeć życzenie, żeby je poznać.

Dołgucki dopatrzył się w tem aluzji do całej ich rozmowy. Wstał i zbliżył się do Korczewskiego.

— Dziękuję panu.

Było to wprawdzie powiedziane dość sucho i konwencjonalnie, ale Korczewski chwycił go zaraz w objęcia i ucałował. Bezpośrednio potem zamknął walizę na klucz i zaczął poprawiać ubranie z tak wyczekującą miną, że Dołgucki nie mógł tego nie rozumieć.

— Widzę, że pan się śpieszy...

— Niestety. Najmocniej pana przepraszam. Nie wiedziałem, że pan przyjdzie. Musimy się w tych dniach spotkać, żeby dłużej pogadać. Zatelefonuję do pana, albo wpadnę.

Rozstali się przed hotelem. Korczewski wsiadł w automobil. Po drodze kazał szoferowi zatrzymać się przed kościołem i zamówił mszę za spokój duszy żony. W ten sposób wyrównał odrazu ostatni swój rachunek z nieboszczką i odzyskał znakomity humor.

XIII.

Korczewski nadrabiał miną, ale w głębi duszy bardzo był niespokojny, jak się odbędzie spotkanie Mili z żoną. Pierwszy raz w życiu stawał wobec tego, co się nazywa konfliktem moralnym. Sam termin zwalczał nawet do dość często używanych przez niego wyrażeń, ale pojęcie, które się za tem kryło, przedstawiało mu się, mniej więcej, tak samo, jak wieczność, albo nieskończoność. Było to coś, o czem się wie, ale co niema najmniejszego zastosowania w życiu. Oczywiście w umyśle wytwarzał sobie pewien stosunek do tych pojęć i to stosunek, któryby można nazwać krzepiącym. Zdarzało mu się czasami, gdy spoglądał na niebo w letnie, gwiaździste noce, wyczuwać w duszy nieokreślone zdumienie. Starał się sobie wyobrazić, jak to mogło być, żeby nad temi gwiazdami były jeszcze gwiazdy, jeszcze gwiazdy, jeszcze gwiazdy i tak bez końca. Syntezą takich momentów filozoficznego niepokoju były zazwyczaj jakieś niezupełnie sformułowane myśli w rodzaju:

— Psiakrew, taki Flammarion...

Krótkie te chwile dawały mu poczucie głębokiego uduchowienia, czuł się niedocenionym. Na szczęście

rozgoryczenie z tego powodu nie zapadało mu nigdy głębiej w duszę.

Inaczej krzepiły go opowiadania o konfliktach moralnych. Nie mógł ich nigdy dosłuchać do końca bez pewnego pobłażliwie sceptycznego uśmieszku. I wytłumaczenie tego, że ktoś się szarpał w duszy i nie mógł sobie dać rady, znajdował zawsze w braku zasad i wiary. Sam się uważał za człowieka głęboko wierzącego, ale wiara w jego pojęciu sprowadzała się do czysto pieniężnych tranzakcyj z Opatrznością. Postępował zawsze tak, jak po rozmowie z Dołguckim, w której powołał się kłamliwie na żonę. Gdy z mroków podświadomości wyłaniało mu się zwątpienie, czy jakiś jego uczynek byłby bez zastrzeżeń uznany w niebie (w świadomości nie mógł mieć tych wahań, bo sposób jego rozumowania był taki, że zawsze przyznawał sobie słuszność), składał mniejszą lub większą ofiarę, zależnie od natężenia wątpliwości i odzyskiwał równowagę moralną. Taryfa jego skruchy nie była zbyt wygórowana. Po pojedynku, który sam wywołał na kilka lat przed wojną i w którym postrzelił Bogu ducha winnego przeciwnika, posłał do Rzymu pięćset rubli.

Zbytni pośpiech w zawarciu nowego małżeństwa, opłacił sumą dwóch tysięcy złotych. W najtajniejszych głębiach duszy uważał to już jednak za akt raczej pewnego rodzaju galanterji, niż skruchy. Względem nieboszczki był w najzupełniejszym porządku, ponieważ nie wiedział, jakby się zapatrywała na jego nowe małżeństwo. Nigdy o tem nie mówili. Cóżby jej z tego zresztą przyszło, gdyby pozostał wdowcem. To też ofie-

rze dwóch tysięcy złotych towarzyszył jakby pewien odcień szlacheckiego rozmachu.

— Znaj pana.

I oto zbudził się w nim niepokój, którego nie można było okupić żadną ofiarą. Złe poczucie, jakie miał z tego powodu, składało się jakby z dwóch warstw. Rodzącą troską, istotną była obawa skrzywdzenia Mili. Ale, rozsadzając tę warstwę, można było natrafić na inną, cieniuteńką, wątlutką, w której zbierało się niezadowolenie, że coś mu mąciło spokój w chwili, kiedy powinien był być najzupełniej, najbardziej w życiu szczęśliwy. Wielkie znaczenie dolnej warstwy mogło się okazać dopiero w przyszłości. Rozsadziłaby ona na pewno górną, gdyby Mila zbyt ostro chciała się przeciwstawić woli ojca. Ponieważ jednak do tak daleko idących przypuszczeń nie było jeszcze powodu, więc narazie Korczewski troszczył się tylko o Milę.

Poniewczasie trochę żałował swojej taktyki, która w rzeczywistości ograniczała się do odkładania niemiłych rozmów. Za każdym pobytem w Górkach chciał się zwierzyć ze swoich uczuć i zamiarów Mili, i powstrzymała go obawa przed wyrządzeniem jej przykrości. Następnie już przed samym ślubem miał zamiar napisać do niej list. I także nie napisał. Zaczynał z dziesięć razy. Wogóle przenoszenie myśli na papier sprawiało mu znaczną trudność, więc, gdy znalazł się wobec konieczności wypowiedzenia bardzo subtelnych i delikatnych uczuć i usprawiedliwień, wyłaniających się z normalnej obyczajności postanowień, odważny zamiar okazał się niewykonalnym.

A najgorsze było to, że okłamał żonę. Powiedział jej, że napisał do Mili.

I skłamał bez koniecznej potrzeby, przez zdenerwowanie. Czerwieńska ani słowem nie wspominała o Mili, tak, jakgdyby nie było jej wcale na świecie. Ale Korczewskiemu wydawało się niemożliwe, żeby narzeczonej jego nie niepokoiła myśl o ułożeniu się przyszłych stosunków z córką. I pod wpływem tego uczucia kilka razy sam zaczynał rozmowę o Mili, zapewniając Czerwieńską, że Mila bardzo ją będzie kochała. Czerwieńska wysłuchiwała tego zazwyczaj z zupełną obojętnością, zdobywając się co najwyżej na banalne uwagi.

— Ma się rozumieć... Dlaczegóżbyśmy się miały nie polubić i nie pokochać.

Kłamstwo o liście do Mili popełnił, ponieważ przypuszczał, że Czerwieńską musi to bardzo razić, że mają wziąć ślub bez wiedzy jego córki. I odrazu zaczął sobie przygotowywać teren do wykrętu. Ni stąd ni zowąd zaczął utyskiwać przed Czerwieńską na niepunktualność poczty polskiej. Przytaczał przykłady listów, które nie podochodziły, telegramów, które doręczano z niebywałem opóźnieniem i mówił o tem z takim zapałem i tak obszernie, aż Czerwińską zaczęło to niecierpliwić.

W dziecinnem zakłamywaniu Korczewski, nie chcąc dopuszczać do narzeczonej nic, coby w niej mogło wzbudzać jakiekolwiek zaniepokojenie, przedstawiał jej nawet zupełnie fałszywie charakter Mili. I nagle w ostatniej chwili wydało mu się niezbędnem przygo-

towanie żony do możliwości jakiegoś starcia. Ale sam nie wiedział od czego tę rozmowę zacząć. Wreszcie chwycił się dość prymitywnego sposobu. Spojrzał na zegarek.

— Za pół godziny poznasz moją córkę.

Korczewska nic nie odpowiedziała, ale po twarzy jej przebiegł przelotny wyraz, który wyraźnie znaczy.

— To najmniejsza.

— Mila ma w charakterze bardzo dużo podobieństwa do mnie — zaczął znów po chwilowem milczeniu Korczewski.

— Więc ty jesteś słodki i bierny?

I, nie czekając odpowiedzi, Korczewska wyciągnęła szybko rękę ku oknu.

— Spójrz, spójrz na ten kawałek pola. Zupełnie mój pejzaż w salonie.

Korczewski nic nie odpowiedział.

— Józku — odezwała się nagle pani Ira, przechodząc w najzupełniej pieszczotliwy ton. — Czy Mila ma być pierwszą osobą w naszem życiu?

Wystarczyło tej zmiany tonu, żeby Korczewski zapomniał odrazu o wszystkiem. Pewne akcenty głosu Iry działały mu na zmysły tak samo, jak nagłe obnażenie ciała z pod jedwabiu bielizny. Rozkochanym wzrokiem spojrzał w jej oczy, podcienione fioletowem zmęczeniem miłosnych nocy, i obudziło się w nim nowe pożądanie. Pociągnął ją do siebie i zaczął gwałtownie całować. Bezładnie, stłumionym głosem szeptał jej w ucho najbardziej pieszczotliwe i rozwięzłe wyrazy.

Czysto zmysłowemu podnieceniu towarzyszył zachwyt głębszy, duchowy.

Ta strojna, wypieszczona istota, przedstawiała mu się jako uosobienie wszystkich jego pojęć o ideale kobiecym.

Była wykwitem całego przerafinowania, jakie daje sztuczna hodowla miejska, i olśniewała tem jego bezwzględnie utylitarną psychologję wieśniaka. Cała potęga i wszystkie możliwości wsi nie mogły stworzyć, ani dać prawa istnienia zjawisku, na które się składało tyle odcieni kultury, sztuczności i wydelikacenia. W zachwycie jego triumfowała duma, że ją zdobył i wiózł dla siebie. Rozkoszował się nią, jak kosztowną lalką, która miała mu służyć jedynie do przyozdobienia życia.

— Dość, dość!

Starała się go odsunąć, ale w oczach jej i całym wyrazie twarzy taił się wabiący śmiech.

— Nie, nie — protestował gorączkowym szeptem.

— Nie można mnie męczyć.

Korczewski się przeraził.

— Skarby moje, co ci jest?

— Nic. Już mi dobrze.

Nie uspokoiło go to zapewnienie. Od chwili, w której stało się pewnem, że Ira spodziewa się dziecka, w uczucia jego wplótł się nowy ton. Dotychczas niewiele sobie robił z macierzyństwa. Wieś przyzwyczaiła go do ciągłego mnożenia się ludzi i zwierząt, i nie rozumiał, że mogło to budzić jakieś bardziej skomplikowane i subtelniejsze uczucia. Nigdy nie umiał się

dopatrzeć zbyt wyraźnej różnicy między krową, która, w kilka godzin po wydaniu na świat cielęcia, wracała do żłobu, a parobkową, okopującą swe kartofle w trzy dni po połogu. I przy większem powierzchownie przejęciu taki sam uczuciowy stosunek miał i do pierwszej żony w chwili narodzin córki. Gdy następnie Korczewska nie mogła się już zdobyć na drugie dziecko, budziło to w nim pewną niechęć, a nawet, kiedy myślał, że tem drugiem dzieckiem mógł być syn — zdecydowaną pogardę.

Ale Irę uważał za wyjątek, do którego nie można było stosować tych poglądów. Wydawało mu się, że popełniała niesłychaną ofiarę dla powiększenia jego szczęścia, i żył w ciągłym lęku, że ta ofiara przewyższa jej siły.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Sadowiąc żonę w powozie, Korczewski czujnem spojrzeniem zbadał zaprzęg, aż do najdrobniejszych szczegółów. Odżył w nim zaniedbany gospodarz.

— Jedź bardzo ostrożnie — wydał rozkaz wystylizowanemu stangretowi, w którego oczach błysnęło zdumienie na widok towarzyszącej dziedzicowi, strojnej pani.

Kiedy wyjechali na szeroką drogę, która zarywała pola, jak występująca z brzegów rzeka, Ira uśmiechnęła się do męża.

— Czy to już Górki?

— Nie, kochanie — odparł z pobłażliwym uśmiechem i takim tonem, jak się odpowiada na bezsensowne, dziecinne pytania. Wydało mu się zabawnem, że

ktoś mógł to, ciągnące się wzdłuż drogi mizeractwo, uważać za jego Górki.

— Ładnie tu — powiedziała Ira, rozglądając się dookoła.

Korczewski przytrzymał ją ręką.

— Niech moja pani poczeka. Za pięć minut będzie u siebie i dopiero zobaczy, jak tam ładnie.

— No już — roześmiał się po chwili, gdy rozchełstana droga zmieniła się nagle w regularny, wysadzony drzewami gościniec, a na polach znikły wąskie chłopskie zagony, ustępując miejsca rozległym, równym łanom z zieleniejącą oziminą. Stangret poruszył lejcami, i konie przyśpieszyły biegu. Ira podstawiała z rozkoszą twarz pod rzeźwiący, ciepły wiatr. Zdawało się, że niebo, ziemia i powietrze były napęczniałe wiosną. Rozglądając się po polach, Korczewski raz po raz rzucał stangretowi krótkie, suche, rzeczowo sprecyzowane pytania, tyczące się stanu robót.

— Wiesz, Józek, że ja się nic a nic na tem nie znam — odezwała się nagle pani Ira.

— No to doskonale — roześmiał się Korczewski, obejmując żonę wpół. — Od tego sobie mnie wzięłaś!

Ira zasunęła się w głąb powozu. Triumfowała. Nikt nie wiedział, jak już była zmęczona tem nerwowem, gorączkowem życiem, wykręcaniem się od wierzycieli, pogonią za ponownem zamążpójściem i straszliwym wysiłkiem, aby utrzymać się na powierzchni swojego środowiska. Przewijały jej się przez pamięć wspomnienia tych ciężkich lat, kiedy, nękana brakiem pieniędzy, nieraz musiała sobie odmawiać obiadu dla

pary pończoch. Tragedje, kiedy zamykano telefon, albo elektryczność w dzień zapowiedzianego bridge'a, ciągła gimnastyka umysłu na temat, gdzie, co, od kogo można było jeszcze pożyczyć, wieczne kombinacje z lombardami i niepokój przed zdeklasowaniem przez konieczność pracy. Nie mogła sobie pozwolić na kochanka, bo mężczyźni, którzy ją otaczali, nie dawali jej nawet gwarancji dyskrecji. Bała się, że przez utratę opinji zamknie sobie drogę do małżeństwa. Bałwochwalcze uwielbienie Korczewskiego dawało jej pewność, że przynajmniej nie będzie się chwalił romansem. Niespodziewana śmierć Korczewskiej otworzyła jej drogę do triumfu. Wiedziała, że Korczewski się z nią ożeni, i odrazu zdecydowała się na macierzyństwo, żeby to nastąpiło jak najprędzej. Pewna zwycięstwa, nie obawiała się już wpływów córki. Z podmuchami wiosny, budzącej się na polach, szło ku niej nowe życie, które jej miało powetować wszystkie troski i zmartwienia przeszłości.

Jeszcze jedną czarowną niespodzianką była dla niej rezydencja w Górkach. Korczewski zawsze mówił — dwór, dwór — i pani Ira wyobrażała sobie przeciętny dwór wiejski, a tymczasem zobaczyła dwupiętrowy budynek, krojący na pałac. Olbrzymi dziedziniec z rozplanowanemi kwietnikami dawał przedsmak letniej wspaniałości. Hall, do którego weszli, cały obstawiony cieplarnianemi roślinami, jeszcze w niej podwyższył wrażenie wielkopańskości. Zaczęła prawie naprawdę kochać Korczewskiego. Nie umiała ukryć wyrazu radosnego zdumienia.

Korczewski roześmiał się wesoło.

— Dopiero teraz urządzimy sobie chałupę. Połowę tych gratów trzeba będzie wyrzucić na śmietnik. — I zwrócił się do lokaja:

— Dawajcie śniadanie! Gdzie panienka?

— W oranżerji.

— Poproś zaraz.

Czekając na przyjście córki, Korczewski zaczął oprowadzać żonę po domu. Pani Ira odzyskała już swój rozkapryszony, storczykowaty styl i odniechcenia zaczynała projektować różne zmiany w urządzeniu. W wielkim salonie, gdzie powiało na nich pustką i chłodem, zobaczyli Milę, która szła, szukając ich z przeciwnej strony.

I wszyscy się odrazu trochę zmieszali. Mila, dowiedziawszy się od lokaja, że ojciec przyjechał w towarzystwie jakiejś pani, była pewna, że przywiózł którąś z licznych ich kuzynek. I biegła rozradowana na ich spotkanie, bo dziwaczna kwarantanna, na jaką sama się skazała, zaczynała jej już ciążyć. Widok zupełnie obcej osoby stał się dla niej czemś niepojętem. Kobiecą intuicją od pierwszego wejrzenia wyczuła intruza. Nie wiedziała, poco ojciec przywiózł tę nieznajomą, jaka miała być jej rola, ale odrazu sprężyła się w instynktownym proteście prawowitej pani domu. — Nie. — W tem jednem wejrzeniu ogarnęła wszystkie szczegóły. Wiek około czterdziestu lat, umalowane włosy, sztuczną cerę, wypieszczone, próżniacze, a drapieżne ręce, cudowny kostjum, wspaniałe pierścionki. I to wszystko razem zamknęło się we wrażeniu lekceważenia i nieufności.

— Dancing — przemknęło jej przez myśl.

Nowa pani Korczewska nie raczyła jej widzieć. Utkwiła w mężu sztucznie bezbronny wzrok, który zdawał się mówić. — Ty mnie chyba skrzywdzić nie pozwolisz. — A Korczewski wpił się w Milę oczami, jakgdyby chcąc ją zamagnetyzować.

Trwało to wszystko kilka sekund. Wreszcie Korczewski odezwał się głosem, z którego, mimo wszystkich wysiłków, przebijało pewne zdenerwowanie.

— Iruchno! Moja córka.

Zmarszczył brwi, dostrzegłszy nagłą bladość Mili, i po chwili odezwał się już innym, nieomal rozkazującym tonem.

— Milu. Moja żona.

Mila stała chwilę, jak nieprzytomna. Potem wróciła się i wyszła szybko z pokoju. Za drzwiami zabrakło jej nagle sił. Zatrzymała się i oparła o stary, jesionowy fotel, który stał pod ścianą. W salonie rozmawiano. Wyrazy dochodziły do niej tak, jak czasami, kiedy w dzieciństwie leżała chora w gorączce.

— Moje złoto, moje skarby jedyne... Błagam cię, aby się tem nie przejmuj.

Potem niewyraźny szept i znów głos ojca.

— Takie wzruszenia mogą nietylko tobie zaszkodzić, ale i dziecku.

[illegible] jej przez myśl.

Nowa pani Korczewska nie raczyła jej widzieć. Ujrzała w niej [illegible] wzrok, który zdawał się mówić. — Ty mnie chciała skrzywdzić, nie pozwolisz. — A Korczewski wpił się w Milę oczami, jakgdyby chciał ją zamagnetyzować.

Trwało to wszystko kilka sekund. Wreszcie Korczewski odezwał się głosem, z którego, mimo wszystkich wysiłków, przebijało nawet zdenerwowanie.

— Ludmiło! Moja córko.

Zmarszczył brwi, dostrzegłszy nagłą bladość i po chwili odezwał się już innym, [illegible] cym tonem.



— Milu. Moje złoto.

Mila stała chwilę, jak nieprzytomna, [illegible] ocknęła się i wyszła szybko z pokoju. Za drzwiami [illegible] opuściło ją nagle sił. Zatrzymała się i oparła [illegible] fotel, który stał pod ścianą. W [illegible] wiano. Wyrazy dochodziły do niej tak [illegible] kiedy w dzieciństwie leżała chora w gorączce.

— Moje złoto, moje skarby jedyne... Błagam cię, [illegible] się tem nie przejmuj.

Potem niewyraźny szept i znowu głos ojca.

— Takie wzruszenia mogą niebawem tobie zaszko[illegible] ale i dziecku.

XIV.

W ciągu dwóch godzin Mila była gotowa do drogi. Spokojnie, systematycznie zapakowała wszystkie swoje rzeczy. Część postanowiła zabrać ze sobą, a resztę kazać narazie odesłać do ciotki Brochockiej. Przygotowywała się do wyjazdu z martwym spokojem, jakgdyby, poza troską o dokładne upakowanie rzeczy, nic jej nie obchodziło na świecie. Czasami budziły się w niej jakieś postrzępione myśli „matka... a teraz ja...” i przepływały bez wrażenia. Nie wzywała służby do pomocy i pokowała wszystko sama. Po pewnym czasie uświadomiła sobie nagle, że już właściwie przestała istnieć dla domu. Nikt się o nią nie zatroszczył i nawet nie pokazał nagórze. Pokojówka, przez którą kazała zaprząc konie na popołudniowy pociąg, słuchała jej z widocznem roztargnieniem, pochłonięta zmianami, jakie wstrząsnęły nagle życiem Górek, a potem przepadła gdzieś w oficynach. Skończywszy pakowanie, Mila spojrzała na zegarek. Już tylko pół godziny pozostawało do wyjazdu. Machinalnie spojrzała w okno, i kamienny jej spokój rozprysnął się nagle. Zobaczyła ojca z żoną. Szli roześmiani, otoczeni gromadą psów, które się już do nowej pani łasiły. Wstrząsnęły nią rozpacz, bunt,

ból, przerażenie. Kurczowo wpiła się palcami we framugę okna i stała nieruchoma. Wiedziała, że nic nie potrafiłoby ją skłonić do pozostania w domu, a równocześnie czekała jakiegoś cudu, któryby to sprawił.

Usłyszała nagle w kurytarzu kroki ojca. Odwróciła się gwałtownie ku drzwiom i oko w oko spotkała się z ojcem.

— Cóż to? Podobno wyjeżdżasz? — odezwał się opryskliwie.

— Tak — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

— Wolno wiedzieć, dokąd?

— Narazie do ciotki Brochockiej i będę prosiła o odesłanie mi tam rzeczy.

— Dobrze — odparł krótko Korczewski. Przeszedł się kilka razy po pokoju, i widoczne było, że siłą woli tłumi w sobie wybuch. Mila przyglądała mu się z wyrazem zimnej zawziętości. Przedsmak starcia wrócił jej siły nerwowe.

— Nie spodziewałem się po tobie takiego skandalu — zaczął nagle Korczewski.

— Skandalu? Chyba nie ja zrobiłam skandal.

— Ty! — krzyknął Korczewski, tracąc nagle panowanie nad sobą. — Postąpiłaś, sam nie wiem, jak to nazwać... Bez żadnego powodu obrażasz kobietę, która jest dla mnie wszystkiem. Najidealniejszą, najlepszą kobietę na świecie! Moją żonę!

— Żoną ojca była moja matka.

Korczewski aż posiniał ze wściekłości. Kilka razy odetchnął głęboko.

— Byłem do ciebie jak najserdeczniej przywiąza-

ny. Myślałem, że to potrafisz ocenić. Moja żona chciała cię także pokochać. Ale trudno, skoro ty nie masz ani odrobiny serca, będę do ciebie mówił jak do obcego człowieka.

— Najlepiej — odparła wyniośle Mila.

— Jedźże sobie, dokąd chcesz. Ja cię w domu zatrzymywać nie będę. Bądź łaskawa pamiętać, że Górki są moje, tylko moje. Twoja matka nie miała ani grosza posagu. Mogę ci wypłacać przez ciotkę Brochocką miesięczną pensję, ale tego, coś mi dzisiaj zrobiła, nie przebaczę ci nigdy.

— Ja mam trochę inny pogląd na własność Górek. Moja matka włożyła w nie tyle starań i pracy, że przez to zyskała chyba pewne prawa.

Korczewski popatrzył na Milę tak, jakgdyby to, co usłyszał, przechodziło wszystkie granice bezczelności.

— A wiesz, że to niesłychane! Więc co? Może mam ci jeszcze część Górek oddać? Spróbuj mnie procesować. Zaczynam przypuszczać, że do wszystkiego jesteś zdolna.

— Nie będę się z ojcem procesowała, a zwróciłam uwagę na to dlatego, żeby ojciec wiedział, że mi się pensja należy. To jest moje prawo, a nie łaska. Następnie, jeszcze jedno. Tu są rzeczy, które należały do mamy. Prosiłabym o zwrot. Przypuszczam zresztą, że te pamiątki przeszkadzałyby tylko ojcu, a mnie tylko one wiązały z domem. Już zapomniałam o istnieniu Górek.

— O czem pamiętasz, a o czem zapomniałaś, to jest mi wszystko jedno. Nie mam zamiaru przedłużać tej wstrętnej rozmowy. Powiem ci tylko, że jesteś naj-

niegodziwszą na świecie córką i że potrafiłaś przekreślić wszystko, co dla ciebie czułem.

I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Równie szybko i sprawnie jak Mila do wyjazdu, nowa pani Korczewska przygotowywała się do zamieszkania w Górkach na stałe. Wróciwszy nadół, Korczewski zastał żonę w swojej sypialni. W czarnej, haftowanej na wzór japoński w najjaskrawsze barwy piżamie, w wykładanych futrem pantoflach na bosych nogach, wydobywała z rozkraczonego amerykańskiego kufra jakieś cuda koronkowo - jedwabnych powiewności. Wszędzie leżały bezładnie porozrzucane suknie, futra, szale, mieniły się kryształowe flakony, srebrne szczotki i najrozmaitszego kształtu puszki i pudełeczka. Z jedwabnej roślinności, niby od jakichś egzotycznych kwiatów płynął na pokój ciężki, upajający zapach.

Korczewska tak była pochłonięta grzebaniem w fatałachach, że nie odwróciła się nawet do wchodzącego męża. Zatrzymał się w progu, zachwycony. W zmysłowem upojeniu, w jakiem wciąż pozostawał, każda niespodziewana poza pani Iry dawała mu wrażenie nowych rozkoszy. To samo odczuł teraz, kiedy, nie widząc go jeszcze, stała tyłem, pochylona ku dolnym szufladom kufra. Z pod ściągniętej wskutek sprężenia mięśni, piżamy, bujne jej kształty zarysowały się z lubieżną plastyką. Wystarczyło mu tego wrażenia, żeby zapomnieć o przykrości rozmowy z córką.

Zbliżał się na palcach, chcąc dojść do żony tak, żeby go nie słyszała. Ta myszkowatość była tylko jego złudzeniem. Pani Ira słyszała go doskonale, ale ocenia-

jąc wartość takich niespodzianek, udawała, że nie domyśla się jego obecności. I z akcentem szczerego przestrachu krzyknęła, gdy, pochyliwszy się nad nią, chwycił ją za ramiona.

— Jakeś ty wszedł, że wcale nie słyszałam?

Korczewski uśmiechnął się uszczęśliwiony. I w takiem głupstwie nareszcie oddawano mu sprawiedliwość. Wszyscy utrzymywali, że jak chodził, to cały dom się trząsł. Oczywiście, nie była to pora na wywlekanie niepotrzebnych wspomnień, ale nieboszczka żona pod tym względem pierwsza szykanowała go zawsze.

— Józek, tak się do ciebie stęskniłam — ciągnęła pani Ira.

Korczewski' byłby wolał nie zdawać jej sprawy ze swej rozmowy z córką, ale kierował się pewnem fałszywem wyobrażeniem. Przeceniał mianowicie przykrość, jaką zachowanie się Mili wyrządziło jego żonie. I chciał ją uspokoić, że ta sprawa została już rozstrzygnięta i skończona.

— Wyjeżdża — mruknął z przekąsem.

— Jakto wyjeżdża?

— No wyjeżdża, wynosi się z domu. Nie chce z nami zostać.

Korczewska nic nie odpowiedziała, ale twarz jej wyrażała niemal rozpacz. Korczewski spojrzał na nią niespokojnie.

— Nie myśl o tem najlepiej.

— Żeby córka zdecydowała w jednej chwili opuścić ojca... dom rodzinny... — ciągnęła Korczewska, ro-

biąc coraz dłuższe pauzy między wyrazami. — To mi się w głowie nie mieści.

— Cóż zrobić z warjatką. Ty byłaś usposobiona przecież do niej jak najserdeczniej.

— Kochałam ją — odparła cicho pani Ira.

— Właśnie — wykrzyknął z rozczuleniem Korczewski. — Ja to czułem.

— I nie uda się jej ułagodzić? — odezwała się po chwili pani Ira.

— Łagodzić? — wybuchnął Korczewski. — A, nie! Po tem wszystkiem, co mi nagadała, onaby nas przeprosić powinna.

— Mnie jest jednak bardzo przykro, że tak się stało. Zaczną mówić, że wyjechała przeze mnie.

— No więc, niech mówią. Cóż cię to może obchodzić.

Odpowiedź Korczewskiego była szczera. Nigdy w życiu ani mu na myśl nawet nie przyszło, że można się liczyć z opinją ludzką. Opierało się to na przekonaniu, że był panem u siebie, i nikt, poza Bogiem, nie miał prawa go sądzić. A ten rachunek już wyrównał.

— Ale przedewszystkiem ciebie narażam na przykrość. Ja wiem przecież, jaki ty jesteś wrażliwy. Udajesz spokój, żeby mnie nie martwić.

— Ale nie udaję. Mila jest oschła, chciwa. Żaden ojciec nie kochałby takiego dziecka. Ja teraz dopiero rozumiem, dlaczego po śmierci matki tak zaciekle wzięła się do gospodarowania. Wyobraziła sobie, że Górki są już jej. A tymczasem Górki będą naszego syna.

— A jeżeli będziemy mieli i córkę? — szepnęła

pani Ira, osuwając się mdlejącym ruchem w ramiona męża.

— To podzielimy między nich — roześmiał się rozpromieniony odrazu.

W głębi duszy nietylko się nie martwił, ale był nawet rad z wyjazdu córki, która stawała się zupełnie niepotrzebną istotą w domu i mogła tylko przeszkadzać erotycznej sielance. Był gwałtownie wzburzony podczas rozmowy z Milą, ale wynikało to przedewszystkiem z faktu przeciwstawienia się jego woli, czego nie znosił, a następnie, zresztą już w słabszym stopniu, z niemożności zbyt szybkiego przełamania w sobie uczuciowego nałogu, że córka nie powinna opuszczać ojca. Oba te motywy jednak przestały działać z chwilą, gdy wrócił do żony i znów znalazł się pod jej wpływem. Skłonny był raczej do robienia sobie wyrzutów, że był za słabym ojcem i zdemoralizował Milę. Jeśli zaś nie robił sobie tych wyrzutów, to tylko dlatego, że odpowiedzialność za cały nieobliczalny charakter Mili przerzucił momentalnie na nieboszczkę żonę, która przy pozorach słabości, choroby i jakby zupełnego oderwania od świata potrafiła jednak zawsze w odpowiedniej chwili tworzyć jakieś niewidzialne zapory między tem, czego on pragnął i uważał za dobre, a rzeczywistością.

— Gdyby nas djabeł sądził, to przyznałby mi rację — mruknął półgłosem.

Pani Ira zmierzyła go przelotnem, badawczem spojrzeniem i milczała. Czekała, żeby Korczewski własnemi intelektualnemi siłami rozstrzygnął wątpliwości, które go jeszcze nurtowały. Wiedziała, że ten proces

nie potrwa długo. I rzeczywiście ewolucja Korczewskiego od mglistego, niewyraźnego poczucia, że coś jednak było nie w porządku, do pogodnej równowagi postępowała z niesłychaną szybkością. Już mu się zdawało, że dla pokierowania i przyszłości Mili nie mogło być nic lepszego, niż taka lekcja życiowa. Ponieważ obiecał jej pewną rentę, więc nie zostawiał jej na bruku. — Niech sobie studjuje swoją agronomję — myślał — chociaż to funta kłaków nie warte. Nauczy się samodzielności, liczenia z pieniędzmi, a przedewszystkiem zrozumie, że życie to nie jest naginanie wszystkiego i wszystkich do swojej fantazji.

W tych myślach odzwierciadlał się raczej jego teoretyczny pogląd na przyszłość córki. Praktycznie przedstawiała mu się ta przyszłość daleko prościej. Przypuszczał, że Mila wróci do Dołguckiego. I bardzo był rad ze swojego dyplomatycznego posunięcia w Warszawie. Odezwał się nagle głośno.

— Żebyś znała Milę, tak, jak ja, tobyś inaczej zapatrywała się na wszystko. A ta historja z Dołguckim? Niby to była zakochana w nim do niepamięci i ni stąd ni zowąd zerwała z nim bez żadnego powodu. Jakby naumyślnie wybrała jeszcze na to taki dzień, kiedy było u nas kilkadziesiąt osób.

— Ja tego Dołguckiego widziałam gdzieś w towarzystwie — odparła pani Ira. — Przystojny człowiek, ale podobno bardzo egzaltowany.

— Ale kryształowy charakter.

Zwykły sąd Korczewskiego o Dołguckim wyrażał się raczej w określeniu — idjota. W tej chwili jednakże,

gdy uprzytomnił sobie, że wpośród wszystkich kandydatów do małżeństwa, którzy kręcili się koło Mili, Dołgucki jeden, jedyny nie myślał o posagu, i że ta bezinteresowność mogła ogromnie uprościć sprawę zamążpójścia córki, po raz pierwszy poczuł dla niego głębokie uznanie.

— Gdyby Mila nie była głupia, toby jeszcze postarała się to naprawić i wyszła zamąż za Dołguckiego — odezwał się po chwili.

— Toby było najlepiej — odparła pani Ira z lekkiem roztargnieniem w głosie.

Mimo, że piec był rozpalony, od wiejskich podłóg wiało takim chłodem, iż uczuła nagle, że miała zlodowaciałe nogi.

— Aż przemarzłam ze zdenerwowania — użaliła się, sięgając po pończochy.

Korczewski wyrwał jej pończochy z rąk i ukląkł.

— Ja ci włożę, kochanie.

Potem wszelkiemi sposobami starał się ją ogrzać.

XV.

Zagadnieniem, które Dołgucki obrabiał wciąż w myśli, czasami aż do udręczenia, była powojenność. Dzielił on ludzi na dwa gatunki. Przedwojennych i powojennych. Te dwa gatunki przedstawiały mu się, jakby dwie odrębne zupełnie rasy, niezdolne do zrozumienia się wzajemnego. I w walce, jaką ze sobą wiodły, widział treść współczesnego życia.

Ściśle określić tego, co rozumiał pod pojęciem psychologji powojennej, nie potrafił. Poza powierzchownemi i jaskrawemi cechami, jak rozmach, energja, pęd do wyzyskania wszystkich możliwości życia, wyzbycie się fatalizmu i determinacji, kryło się mnóstwo subtelnych, nieuchwytnych odcieni. W tych głębszych pokładach kierował się już tylko wyczuciami. Ale nie ulegało dla niego wątpliwości, że nawet w zakresie uczuć, na które przewrót, jaki się dokonał na świecie, nie mógł mieć bezpośredniego wpływu, u ludzi powojennych zaszły zmiany.

Takie same zmiany zaszły i w sposobie myślenia. Czasami mogło się zdawać, że ci ludzie tworzyli sobie nową logikę.

Walkę między temi dwoma światami Dołgucki

uzmysławiał sobie obrazowo. Przyszło mu to kiedyś do głowy podczas nocnych rozmyślań. Widział jakgdyby olbrzymie pole bitwy, pokryte, przypominającemi kretowiny, mózgami. To były właśnie walczące armje. Pełzały ku sobie, podchodziły się podstępnie i starały się unicestwić, wysysając ze siebie krew. Armję przedwojenną tworzyła masa jednakowo ukształtowanych, prawie cielęcych mózgów. Przewodziła jej starszyzna, strojna w kołpaki bogatych zwojów. Inny obraz przedstawiały szeregi powojenne. Tu mózgi miały więcej zwojów, były lepiej rozwinięte i mocniejsze. Zdawało się, że żołnierze komenderują wodzami. Przedwojenność, mimo, że widocznie zgóry była skazana na zagładę, broniła się rozpaczliwie. Ustępując z pola, pozostawiała prowokatorów w postaci niewidzialnych uczuć i myśli, które czepiały się zwycięzców i opóźniały ich pochód.

W sobie samym Dołgucki wciąż wyczuwał zmaganie się tych dwóch psychologij. Intelektualnie był człowiekiem powojennym. Miał wrażenie, że doskonale rozumie epokę. Ale uczuciowo tkwił w przedwojenności. Tak określał swoją nadmierną wrażliwość, nie zdając sobie z tego sprawy, że był człowiekiem istotnie i głęboko dobrym.

Pewnego dnia, kiedy Dołgucki pracował w swoim gabinecie w ministerjum, woźny przyniósł mu kartkę, meldującą interesanta. Zobaczywszy nazwisko Wiertkiewicza, Dołgucki aż się wzdrygnął z obrzydzenia. Ale w następnej rubryce podspodem było napisane — w sprawie dymisji. Z tego powodu Dołgucki się zawahał. Wydało mu się, że jednak powinien był oddzielić

człowieka, który przychodził do niego po pomoc, od wstrętnej kreatury, z jaką los go zetknął przypadkowo.

— Proszę poprosić — wydał polecenie woźnemu.

W chwilę potem do gabinetu wszedł Wiertkiewicz. Był tak zmieniony, że przy niespodziewanem spotkaniu Dołgucki na pewnoby go nie poznał. Przedewszystkiem wywierał wrażenie człowieka, który nie rozbierał się już od dłuższego czasu, wszystko było na nim pomięte, złachmanione, pokryte jakiemiś nitkami i pierzem, włosy miał rozczochrane i gęsty, mocno szpakowaty zarost. Dołgucki w milczeniu wskazał mu krzesło i czekał, żeby Wiertkiewicz odezwał się pierwszy.

Ale Wiertkiewicz milczał. Patrzył na Dołguckiego błędnym wzrokiem i po chwili zaczął się głupkowato uśmiechać. Oczywiście, był jak zwykle pijany.

— Stracił pan miejsce — odezwał się wreszcie opryskliwie Dołgucki, zdając sobie sprawę, że nie przeczeka swojego gościa.

Wiertkiewicz machnął niedbale ręką.

— Napisałem panu, że przychodzę w sprawie dymisji, bo rzeczywiście i o tem chciałem pomówić. Ale dymisja to szczegół. Drugorzędny szczegół. Tak, że właśnie to odłożymy na koniec.

Mówił z przesadną wyrazistością pijaka, który stara się udawać trzeźwego.

— Odłożymy na koniec — powtórzył po chwilowej pauzie, wypełnionej tłumieniem czkawki. — Jeżeli nasza rozmowa będzie miała koniec.

— Przepraszam pana — przerwał mu niecierpli-

wie Dołgucki — ale ja w biurze na długie rozmowy nie mam czasu. O co panu chodzi?

— O ważniejsze rzeczy, niż marna posada pomocnika zawiadowcy. I to ważniejsze nie dla mnie, a dla pana. Dla pana — dorzucił tajemniczym szeptem, podnosząc palec wgórę.

Dołgucki miał ochotę zadzwonić na woźnego i kazać go wyprowadzić. Ale powstrzymała go obawa, żeby Wiertkiewicz nie zrobił skandalu. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i wysłuchać pijaka.

— Ja mówię, że ważniejsze dla pana, a pan nic— odezwał się Wiertkiewicz tonem wyrzutu. — Ot i znów pan mi nie odpowiedział. Co za kamienny charakter — zaciągnął nagle z rosyjska. — Na miłość kobiety bierze, książeczki do czytania przysyła, a sam bezduszny. Przecież ja miałbym pana prawo zamordować. I na pewno sądby mnie uwolnił.

Dołgucki nie zwrócił na te pogróżki najmniejszej uwagi. Otworzył szufladę i zaczął porządkować w niej papiery. Wiertkiewicz przyglądał mu się przez chwilę. I nagle roześmiał się szyderczo.

— Ja już jestem taki wiecheć, że pan mnie słucha i nie wierzy. Ale może pan spokojnie siedzieć. Nie rzucę się i nie zaduszę. Tylko chcę, żeby pan wiedział. Nie dlatego, żebym był za słaby. — Umilkł i z lubością zaczął się przypatrywać swoim kościstym palcom. — I nie dlatego, żebym panu miał przebaczyć moją ciężką krzywdę. Tylko ja nie chcę indywidualnej zemsty. Cóż pan? Pan jest jeden z wielu. Mnie całe wasze podłe społeczeństwo pokrzywdziło. Żebym nie siedział w te-

zapadłej dziurze na wygnaniu i miał takie stanowisko, jak mi się należy, to i żonaby się nie rozłajdaczyła. Bo się rozłajdaczyła, niech się pan nie obraża. Pan myśli o niej, święta, święta, a ona ścierka!

Znów porwała go czkawka, i umilkł.

Dołgucki spojrzał na zegarek i wstał z krzesła.

— Proszę pana, ja muszę wyjść. Może innym razem mi pan to wszystko opowie.

Wiertkiewicz zerwał się z krzesła i zastąpił mu drogę.

— Innym razem, innym razem. Ja także, jak byłem dyrektorem w Moskwie, to nieraz to u siebie w gabinecie mówiłem różnym, którzy mnie nudzili. A potem do woźnego. Takiego a takiego nigdy mi nie wpuszczaj. Zrozumiano? I woźny nie wpuszczał. Mógł taki chodzić rok, dwa, trzy, przed bramą wystawać, wymyślać różne podstępy, a woźny go nie puszczał. I potem taki ginął. Może umarł, może go w więzieniu zamykali, ale ja już go nie widziałem. Wystarczyło mi powiedzieć, nie chcę go widzieć, niewiele, trzy wyrazy i to było tak, jakby śmierć machnęła kosą.

— Ale ja wcale się nie chcę pana pozbywać, tylko chcę wyjść. Możemy wyjść razem. Na ulicy mi pan resztę opowie.

Wiertkiewicz cofnął się jeszcze bardziej ku drzwiom. W oczach zamigotała mu wściekłość.

— Na ulicy my będziemy inaczej mówili. Tylko jeszcze nie dzisiaj. Wam się zdaje, żeście potrafili mnie poniewierać i zdeptać. Ze mną nie taka łatwa sprawa. Pan sobie wyobraził, że ja przyszedłem skamłać, żeby

mnie na kolei zostawili. Pluję na waszą kolej. Krócej tu waszego panowania, niż wam się zdaje. Zrobimy porządek, jak w Rosji! Ja tam nie rozumiałem jeszcze. Ciągnęliście mnie, wracaj, wracaj, wróciłem i co? Na głód, na upokorzenie. A koło mnie różni durnie wyrastali na dygnitarzów. I to się nazywa kultura, cywilizacja. Tamci mają rację, rozumie pan, tamci. — Syczał, przysuwając się tak, że Dołgucki musiał go już odepchnąć. — Z tej całej zgniłej cywilizacji nic nie może zostać. Nic. I to będzie u nas. Oplułiście mnie, idę do komunistów. Mówię szczerze. Nie zapieram się i nie boję. Skąd pan wie, że ja nie będę lepszy od Lenina? A na początek ciebie, hyclu, i Stasieńkę powieszę. I jeszcze każę się wam przedtem pobawić w moich oczach.

Dołgucki stracił cierpliwość. I poniósł go temperament. Nie dzwonił już na woźnego, tylko sam chwycił Wiertkiewicza za kołnierz. Ale Wiertkiewicz zasłaniał sobą wyjście. Żeby go wyrzucić Dołgucki musiał go przedewszystkiem odciągnąć ode drzwi. Szarpnął nim tak gwałtownie, że poprzecierana marynarka pijaka nie mogła już tego wytrzymać. Rozległ się cichy trzask, i Wiertkiewicz z oberwanym kołnierzem zatoczył się na biurko.

— Za drzwi w tej chwili — krzyknął Dołgucki.

Wiertkiewicz nagle spokorniał. Twarz mu się wydłużyła, oczy zaszły łzami.

— I pan nie ma dla mnie miłosierdzia — wybełkotał płaczliwym głosem. — Ja przecież... ja przecież...

Usta mu tak drżały, że nie mógł dalej mówić.

Z oczu puściły mu się łzy i coraz gęściej płynęły po twarzy. W Dołguckim chwilowa pasja zmieniła się w nieokreślone uczucie przykrości.

— Niechżeż się pan wynosi i nie zmusza mnie, żebym dzwonił na woźnych, bo jeszcze pana do komisarjatu odprowadzą.

— Ach, ludzie, ludzie — szepnął Wiertkiewicz i, założywszy rękę za ramię, zaczął gładzić wydarte miejsce w marynarce, takim ruchem, jakgdyby dotykał rany.

— Zapłacę panu za marynarkę. Proszę.

Dołgucki wyjął dziesięć złotych i położył przed Wiertkiewiczem na stole.

— Pan jeden mógłby mnie uratować, pan jeden— zaczął Wiertkiewicz urywanym głosem przez łzy. — Ja gotów jestem Stasieńce wszystko przebaczyć, tylko niech do mnie wróci. Niech mi pan ją odda... Niech jej pan przy sobie nie trzyma. Pan sobie dziesięć kobiet znajdzie na jej miejsce. Cóż to dla pana znaczy. Ja mówię teraz do pana, jak do obywatela, który kocha przecież swój kraj. Jeżeli będę miał Stasieńkę zpowrotem, to nie pójdę do tamtych. Mogę panu przysiąc, że nie pójdę.

— Niechżeż się pan uspokoi — odezwał się łagodnie Dołgucki, widząc, że inaczej nie da sobie z warjatem rady. — Daję panu słowo honoru, że między mną a pańską żoną nic nie było. Nie rozumiem nawet, skąd panu mogły przyjść takie podejrzenia do głowy.

Wiertkiewicz zmarszczył brwi i posępnie popatrzył na Dołguckiego.

— Słowo honoru... — mruknął po chwili.

— Tak. Słowo honoru.

— A dlaczego ona uciekła?

— Nie wiem.

— Ale mieszka u pana?

— Nie. Nie wiem, gdzie mieszka. Nie widuję wcale pańskiej żony.

Dołgucki włożył palto i zadzwonił. We drzwiach gabinetu ukazał się woźny.

— Wiśniewski może iść dziś do mnie?

Woźny Wiśniewski co kilka dni chodził w godzinach pobiurowych do mieszkania Dołguckiego robić gruntowniejsze porządki. Tego dnia wypadało również takie sprzątanie.

— Ma się rozumieć, panie dyrektorze. Wychodzę już i zaraz pójdę.

Dołgucki podał mu klucze.

— Ja wrócę dopiero koło siódmej. Gdyby się Wiśniewski nie mógł mnie doczekać, to proszę klucze zostawić u stróża.

— E, ja będę jeszcze, panie dyrektorze.

Wiertkiewicz przysłuchiwał się tej rozmowie z widocznem zaciekawieniem.

XVI

Dla chorego mózgu Wiertkiewicza ukryty sens rozmowy Dołguckiego z woźnym nie przedstawiał najmniejszej wątpliwości. Stasieńka była w mieszkaniu Dołguckiego. Dlatego właśnie Dołgucki posłał tam woźnego. Żeby jej pilnował. Ale się przeliczyli. Bardzo chytrzy byli obaj, trafili jednak na chytrzejszego.

Wiertkiewicz przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się, obserwując wyjście z ministerjum. Postanowił śledzić woźnego i w ten sposób dowiedzieć się miejsca pobytu Stasieńki. Od kilku dni szukał jej po Warszawie. Ale szukanie to polegało wyłącznie na wysiadywaniu w szynkach i wyobrażaniu sobie spotkania i pierwszej rozmowy z żoną. Tą rozmowę układał i cyzelował w mózgu całemi godzinami. Zakończyć ją miała rozpaczliwa skrucha Stasieńki.

Wiertkiewicz miał przy sobie około sześciu tysięcy złotych. Były to resztki jego zamożności, hipoteczna suma, jaką, po długich zwłokach, udało mu się nareszcie odebrać. Podjął ją zaraz po przyjeździe do Warszawy. Nosił pieniądze w płóciennej kopercie na piersiach i przez jakiś półświadomy instynkt pilnował ich czujnie, nawet, gdy był zupełnie pozbawiony przytomności.

Po kilku minutach wyczekiwania dostrzegł woźnego. Zaczął ostrożnie iść za nim. Ale niedługo potrafił wytrwać w tej roli agenta policyjnego. Nerwowy niepokój pchał go do rozmowy... Jakiejkolwiek, byle tylko mówić o Stasieńce. Przyśpieszył kroku i dogonił woźnego.

— Panie Wiśniewski.

Woźny nie miał ochoty wdawać się z nim w rozmowy.

— Odczep się pan do djabła.

Ale Wiertkiewicza to nie zraziło.

— Czy pan wie, kto ja jestem.

— Pijak.

— I panby się rozpił, jakby się z panem tak obeszli.

Ton skargi w głosie Wiertkiewicza był tak bolesny i szczery, że to zastanowiło Wiśniewskiego. We wzroku jego obudziło się pewne zaciekawienie.

— A cóż panu zrobili?

— Ten wasz piękny dyrektor, pan Dołgucki, to skończonej próby łajdak.

— Niby dlaczego?

— Uwiódł mi żonę, a potem się postarał, żeby mnie wypędzili z kolei.

Wiśniewski pomyślał chwilę i odparł twardo.

— To pan był na kolei?

— Pomocnikiem zawiadowcy.

— Nieprawda. Ja Dołguckiego znam nie od dzisiaj. To bardzo porządny człowiek.

— Jak o kobiety chodzi, to i najporządniejszy potrafi być świnią.

Uwaga Wiertkiewicza przemówiła widocznie Wiśniewskiemu do przekonania. Bo znów się zastanowił.

— Nie wiem, co tam było — odezwał się po chwili. — Może i romansował z pańską żoną, jeżeli tego chciała, ale posadę na pewno nie przez niego pan stracił.

— Nie chciała! — krzyknął rozpaczliwie Wiertkiewicz.

— Jakby nie chciała, toby nie romansowała — roześmiał się Wiśniewski. I, wskazując nagle oczami na mijającą ich jakąś strojną damę, dodał ironicznym tonem:

— Niech pan idzie za nią i wytłumaczy jej, żeby z panem romansowała. Jak się zgodzi, to uwierzę.

— Pan tak w tego Dołguckiego wierzy.

— Pewno, że prędzejbym jemu uwierzył, niż panu.

Mimo wszystko jednakże w duszy Wiśniewskiego zaczynały się przesączać wątpliwości i podejrzenia. — Żeby tam nic nie było — myślał, — toby przecież inżynier tak długo z pierwszym lepszym obdartusem nie gadał. Zarazby go kazał wyrzucić za drzwi. Argument ten wydał mu się tak mocnym, że sam już podjął na nowo rozmowę.

— I niby dawno to się stało.

— Przed Bożem Narodzeniem.

— A gdzież jest teraz pańska żona.

— Jakto gdzie? Chyba pan wie lepiej ode mnie.

Wiertkiewicz postanowił zmienić nagle taktykę. Przyszło mu na myśl, że do istoty tak zaprzedanej Dołguckiemu, jak ten woźny, można było trafić tylko pieniędzmi. Wyciągnął z kieszeni pięćdziesięcio-złotowy banknot i wetknął Wiśniewskiemu w rękę.

— To dla pana. Dam panu jeszcze drugie tyle.

— Ale za co?

— Niech mi pan pozwoli wejść na chwilę do mieszkania Dołguckiego.

— Czy pan oszalał. Zabieraj pan sobie swoje pieniądze. I odczep się pan, bo policjanta zawołam.

— Ale, człowieku, na miłość Boską, zrozum pan... Ja chcę ją tylko zobaczyć.

— Ii, co ja będę z warjatem gadał.

Wiertkiewicz splunął z obrzydzeniem i przeszedł na drugą stronę ulicy. Ogarnął go atak głuchej, ponurej wściekłości. Wszystko budziło w nim nienawiść. Domy, wystawy sklepowe, twarze przechodniów, życie na ulicy. Wtulił głowę w ramiona i szedł, tępo zapatrzony przed siebie. Rozsadzało mu mózg pragnienie jakiejś katastrofy, którąby w jednej chwili mogła zniszczyć miasto i zmienić cały ten tłum rażący go spokojem i zadowoleniem w jakieś jedno obłąkane stado potępieńców. Znajdował w myśli tej ujście dla trawiącej go gorączki i zaczął sobie wyobrażać szereg scen zniszczenia, jakie na miasto sprowadziłaby rewolucja komunistyczna. Upajał się obrazami palących się domów, krzyków i jęków katowanych ofiar. W tem majaczeniu siebie samego widział jako wodza rozkazującego uzbrojonym oddziałom. Rozkołysana wyobraźnia poddawała się po-

słusznie jego nastrojowi i z jednego obrazu błyskawicznie, bez wysiłku wysnuwała inne. Od walk ulicznych i pożarów przenosiła się w mroki jakichś piwnic, gdzie się kryli drżący ze strachu i wybledli burżuje. Wszyscy mieli jedno nazwisko na ustach — Wiertkiewicz. Wiertkiewicz — powtarzali je z przerażeniem, czując rozpaczliwie, że już było za późno, żeby uzyskać jego przebaczenie.

W tym chaosie obrazów było kilka powtarzających się z uporczywą monotonją. Mianowicie, sceny sądu nad Dołguckim, Stasieńką, zawiadowcą i jednym konduktorem, z którym Wiertkiewicz kiedyś się pokłócił. Dookoła tych scen obracała się właśnie cała krwawa rewolucja komunistyczna w Polsce. Wszystko inne było tylko niezbędnem dla wymiaru sprawiedliwości tłem. Oś przewrotu stanowił pokrwawiony i posiniaczony Dołgucki, który, klęcząc na ziemi, bił głową o kamienie i błagał Wiertkiewicza o litość.

Pochłonięty chorobliwemi majaczeniami, Wiertkiewicz zatracił zupełnie poczucie czasu i kierunku. Nie czuł nawet siąpiącego drobno deszczu. Otrzeźwiał dopiero, gdy ubranie zupełnie już na nim zwilgotniało. Znajdował się na krańcach miasta w jakiejś fabrycznej dzielnicy. Był już wieczór, na chodnikach wiły się gromadki robotników, wracających od pracy. Wiertkiewicza w jednej sekundzie opuściło całe podniecenie. Uczuł się wydziedziczony, sponiewierany, bezdomny. I ogarnęła go sentymentalna tęsknota za Stasieńką. Obraz płonącego miasta zmienił się w ciche, czyste mieszkanko ze stołem, nakrytym do kolacji. Jakiś przechodzień

go potrącił, i Wiertkiewicz omało nie upadł. Miał nogi jakby z waty. Wlókł się pod ścianami domów, szukając wzrokiem jakiegoś szynku. I, kiedy zobaczył nareszcie przed sobą szyld baru w narożnej kamienicy, miał wrażenie, że to już była ostatnia chwila. Jeszcze sekunda, a byłby się przewrócił.

Kelner powitał go wzrokiem, świadczącym o najzupełniejszym braku zaufania. I dopiero widok pieniędzy, które Wiertkiewicz wyjął z kieszeni, skłonił go do przyniesienia butelki wódki. Wiertkiewicz machinalnie zamówił jakąś przekąskę, ulegając sugestji kelnera, ale odrazu ze wstrętem odsunął od siebie talerz. Wypił jeden po drugim cztery kieliszki wódki, i wraz z podnieceniem wróciła mu nienawiść do świata.

Przy sąsiednim stoliku siedziało towarzystwo, złożone z czterech mężczyzn. Dwóch starych i dwóch młodych. Starzy, sądząc z kolorowych plam na ubraniu, byli malarzami pokojowymi, młodzi, w skórzanych kurtkach, mieli wygląd szoferów. Pili piwo i prowadzili ożywioną rozmowę o polityce. Wietrkiewiczowi co chwila obijały się o uszy wyrazy: „mało to się nakradł... łajdak... wszyscy oni tacy...” Rej przy stole wodził widocznie jeden z szoferów, szczupły, jasny blondyn z twarzą zeszpeconą przez ospę i wielką blizną pod okiem. Wiertkiewicza ogarnęła nagle chęć wmieszania się do rozmowy. Raz i drugi uśmiechnął się do sąsiadów, potakując głową. Usłyszał nagle zapytanie, rzucone drwiącym tonem:

— A ty byłeś w Rosji?

Wiertkiewicz posunął się krzesłem ku sąsiadom.

— Jak jest w Rosji, to już nikt nie wie lepiej ode mnie.

Sąsiadujące z nim towarzystwo przyjęło to oświadczenie bez najmniejszego zapału. Ospowaty blondyn roześmiał się ironicznie.

— Takiś pan mądry.

Wiertkiewicz ciągnął, jakby nie słysząc tych słów.

— Brałem udział w rewolucji.

— Dlatego się udała! — roześmiał się znów blondyn.

To szyderstwo podnieciło tylko Wiertkiewicza. Zbudziła się w nim chorobliwa chęć zaimponowania nieznajomym. Odparł, wydymając pogardliwie usta.

— Znałem Lenina.

— To czemużeś pan tam nie został?

— Bo i tu trzeba porządek zrobić.

— Ho, ho! — wykrzyknął jeden z malarzy.

Wiertkiewicz jeszcze bardziej się do nich przysunął i z impetem zaczął opowiadać swoje rzekome przeżycia w Rosji. Plótł wszystko, co mu się obiło o uszy, podczas pobytu w Moskwie, przedstawiając się za jednego już nietylko z najwybitniejszych, ale i najkrwawszych komunistów. Nastawiona na pewien uczuciowy ton pamięć podsuwała mu coraz to nowe fakty z rewolucji rosyjskiej. Budziła nawet takie wrażenia, które kiedyś notował tylko podświadomie, nie zwracając na nie uwagi. Czwórka mężczyzn z początku bawiła się nim, jak pijanym, ale po chwili pewne rzeczy zaczęły ich widocznie zastanawiać swoją charakterystycznością. Słuchali go coraz uważniej. Wiertkiewicz przeniósł na ich stół swo-

ją butelkę wódki i wpadł już w istny szał mówienia. Nikt nie mógł słowa wetknąć. Dla niego było to dalszym ciągiem majaczeń, w których ujawniała się nurtująca go choroba. Raz po raz przeplatał wspomnienia bolszewickie przeklinaniem stosunków w Polsce. Słuchaczom swoim tłumaczył konieczność wyrżnięcia wszystkich Dołguckich. Nie rozumieli dobrze, dlaczego to nazwisko właśnie symbolizowało w jego pojęciach wyzyskującą burżuazję.

Wiertkiewicz sięgnął po butelkę, żeby napełnić kieliszki. Wszyscy czterej mężczyźni odsunęli swoje.

— Nie potrzeba.

— Ja płacę! — wykrzyknął Wiertkiewicz i położył na stole dwieście złotych, które miał oddzielnie w bocznej kieszeni marynarki.

Wywarło to na obecnych inne wrażenie, niż przypuszczał. Ospowaty blondyn gwizdnął przeciągle.

— Toś ty taki numer.

Ale cała uwaga Wiertkiewicza zwrócona była wyłącznie na wódkę.

— Dlaczego nie chcecie pić?

— A cóż my mamy pić z bolszewickimi prowokatorami.

Powiedział to stary malarz. Wiertkiewicz, w którym pod wpływem alkoholu budziła się awanturniczość i fałszywe poczucie siły, chwycił za butelkę takim ruchem, jakby ją chciał rozbić na głowie mówiącego.

— Ja ci pokażę prowokatora! Pierwszy będziesz wisiał!

Całe towarzystwo zerwało się nagle z krzeseł. Przy stole zawrzało.

— A ty kanaljo bolszewicka!

— Upił się i wygadał!

— Policji go oddać!

Sąsiad Wiertkiewicza chwycił go za rękę i starał mu się wyrwać butelkę. Wiertkiewicz szamotał się rozpaczliwie. Niespodziewanie jednak przyszła mu pomoc. Rozprawiał tak głośno, że to zwróciło uwagę i innych gości. Od kilku chwil stało za nim trzech młodych ludzi i przysłuchiwało się z zaciekawieniem jego wywodom. Trójka ta wystąpiła nagle w jego obronie.

— Odrazu na policję!

— Każdemu wolno myśleć, co mu się podoba!

— A ty tu czego?

Gospodarz wybiegł z za bufetu, ale jego nawoływania o spokój nanic się już nie zdały. Między zwolennikami i przeciwnikami Wiertkiewicza wywiązała się nagle bójka. Wiertkiewicza ściśnięto ze wszystkich stron, potoczył się gwałtownie przed siebie, potem wtył, usłyszał nagle brzęk tłuczonego szkła i w tej samej chwili uczuł świdrujący ból pod łopatką. Zrobiło mu się mdło w ustach, i wszystko ucichło.

Kiedy po jakimś czasie otworzył oczy, wrażenia tak wolno przenikały mu do świadomości, że między jednem i drugiem tworzyły się czarne luki. Ogarniał go mrok, w którym tu i owdzie, jak złote punkciki, migotały słabe światełka. Wyciągnąwszy rękę, poczuł, że leży na materacu na chłodnej posadzce.

W tej samej sekundzie ze wszystkich migocących

w mroku złotych punkcików wystrzeliły świetliste zygzaki, splotły się w powietrzu w gwałtownie rozedrganą sieć, i zrobiło się jasno. Zobaczył przed sobą wysoki kolejowy nasyp, z którego schodzili jacyś czerwono ubrani ludzie z łopatami. Pochylili się nad nim i zaczęli sypać kamienie na wielką, ciężką deskę, która przygniatała mu piersi. Pod przeraźliwym ciężarem dusił się, chciał wołać o ratunek, ale nie mógł wydobyć głosu z gardła.

Oprzytomniał trochę rano po zmienieniu opatrunku. Z kurytarza, gdzie go umieszczono z powodu braku miejsca w nocy, przeniesiono go na salę. Zrozumiał, że był zraniony w bójce i że leżał w szpitalu. Uświadomienie tego faktu nie wywołało w nim żadnych uczuć. Wspomnienie awantury przepłynęło mu przez mózg, jak obojętny obraz. I roztopiło się odrazu w dziwnem szaro-mlecznem świetle, które wypełniało wielką salę. Miał tylko wrażenie, że to światło było ciężkie. Leżał, jakgdyby otulony w watę. I zdawało mu się chwilami, że leżał już tak w tej smutnej jasności od niepamiętnych czasów.

Z mlecznego światła wysnuwały się raz po raz coraz to nowe obrazy. Mieszały się w ich bezładzie wspomnienia dziecinnych lat z przeżyciami poprzedniego dnia. W małym ogródku na przedmieściu, gdzie się wychowywał, zobaczył nagle pośród drzew Stasieńkę. Szła ku niemu rozradowana, uśmiechnięta.

Z trudem otworzył oczy.

Widzenie nikło, ale obraz Stasieńki trwał.

Bo to rzeczywiście było Stasieńka.

Dowiedziała się o wypadku w południe. Właści-

cielka sklepu, w którym pracowała, zwróciła się do niej z pozorną obojętnością. — „Jak to się nazwiska powtarzają, wczoraj poranili kogoś, kto się tak samo nazywał, jak pani". I wskazała jej palcem tytuł: „Na tle porachunków partyjnych". Wiertkiewiczowej krew uderzyła do głowy. „Były urzędnik kolejowy... Wiertkiewicz... Po udzieleniu pierwszej pomocy przez lekarza Pogotowia, odwieziono go do szpitala w stanie bardzo ciężkim". Musiała drugi raz wszystko od początku przeczytać, żeby uwierzyć. I w kwadrans potem była w szpitalu.

Uważała to za swój obowiązek. Wiertkiewicz stał się dla niej osamotnionym, chorym człowiekiem, który, mimo wszystkich krzywd, jakie jej wyrządził, miał jednak na dnie swoich zwyrodniałych uczuć jak najlepsze intencje. O tem tylko starała się myśleć, przekreślając wszystkie inne wspomnienia. Udawało się jej to, póki go nie zobaczyła. W drodze do szpitala budziło się w niej nawet współczucie i coś, jakby przebaczenie. Ale ten stan duszy załamał się w niej odrazu przy łóżku chorego. Jedynem wrażeniem, jakie nieszczęsny wygląd Wiertkiewicza w niej obudził, było obrzydzenie. Siłą woli musiała się przezwyciężyć, żeby nie uciec. Ta odraza złagodniała trochę, gdy się dowiedziała, że stan męża był beznadziejny. Lekarz usiłował to przed nią ukryć, dał jej wymijającą odpowiedź, ale zakonnica powiedziała prawdę z całą szczerością. Wtedy zaczęła mu współczuć zwykłą ludzką litością, i zajmowało ją tylko to, jakby mu ulżyć. Przed wieczorem zdawało się, że Wiertkiewicz poczuł się nagle lepiej. Odzyskał przytomność i zaczął rozmawiać. Z początku słabym głosem

dziękował żonie za powrót, ale nagle twarz mu się zmieniła, i wykrzywił ją wyraz wściekłości.

— Przyleciałaś, psiakrew, od kochanka, żeby mnie tu dobić — jęczał urywanym głosem. — Czyhacie tylko oboje na to. Otwórz stolik. Tam jest torebka z pieniędzmi.

Wiertkiewiczowa wzięła to za majaczenie, ale ostatnie słowa posłyszała zakonnica, która sama po opatrunku włożyła Wiertkiewiczowi torebkę pod poduszkę. Wyjęła ją i podała Wiertkiewiczowej.

— Masz, masz — szeptał chory. — Udławcie się temi pieniędzmi.

Wysiłek tak go zmęczył, że kiedy umilkł i przymknął oczy, Wiertkiewiczowej się zdawało, że już skonał. Zakonnica odsunęła ją dość opryskliwie i pochyliła się nad łóżkiem.

— Za długo pani tu jest — zwróciła się do Wiertkiewiczowej. — Nie można chorego męczyć. Najlepiej niech pani idzie do domu.

— A jeżeli umrze?

— Nocować pani tu nie będzie. Nic mu pani nie poradzi.

Wiertkiewiczowa stała niezdecydowana. We wzroku zakonnicy, mimo kamienno - obojętnego wyrazu twarzy, czuła niechęć i wzgardę. Zakonnica, która nie mogła nie słyszeć tego, co chory mówił, wierzyła mu, ma się rozumieć, ale Wiertkiewiczową trzymał jakiś nakaz, żeby dotrwać do końca. W milczeniu usiadła przy łóżku na krześle.

— To pani zostanie? — dopytywała się zakon-

nica, takim tonem, jakgdyby chciała jej się jak najprędzej pozbyć.

— Jeszcze chwilę — szeptała błagalnie Wiertkiewiczowa.

Ogarnęło ją uczucie jakiegoś trwożnego wyczekiwania. Wydawało jej się niemożliwem, aby ostatniemi słowami Wiertkiewicza miały być te, rzucone jej w twarz, niesprawiedliwe obelgi. Chciała doczekać, aż znów odzyska przytomność, i zamienią parę słów po ludzku. Przy tem atak furji Wiertkiewicza poderwał w niej wiarę w prawdziwość słów lekarza i zakonnicy. Rozumowała, że skoro mógł się tak unosić, to nie był umierający. Śmierć łączyła się w jej pojęciach z łagodnością i przebaczeniem.

Szarytka, obszedłszy salę, znów się do niej zbliżyła.

— No, już czas. Nie wolno dłużej siedzieć.

— Niech mi siostra powie, jak on naprawdę się miewa?

— Może Pan Bóg da, że się odmieni — odparła sentencjonalnie zakonnica.

— Ale w nocy nie umrze?

— Wszystko jest w ręku Boga.

— Doktór mówił, że może jeszcze wyzdrowieje.

— To pocóż pani mnie się pyta?

Wiertkiewicz zaczął nagle szeptem majaczyć. Wśród bezładnych, urywanych słów raz po raz powtarzało się — Stasieńka. Wiertkiewiczowa pochyliła się nad łóżkiem, nadsłuchując. Ale wyrazy nie wiązały się w treść, nie mogła pochwycić żadnego logicznego związ-

zku. Postanowiła wrócić do domu. Delikatnie pocałowała męża w czoło i skłoniła się szarytce, która stała wciąż koło łóżka.

Wychodząc, zwróciła się do posługacza szpitalnego z prośbą, żeby czuwał nad chorym i dał jej znać w razie, gdyby mu się pogorszyło. Tak była zalękniona nieżyczliwem obejściem się z nią zakonnicy, że do posługacza zwracała się już bardzo pokornie. Ale trafiła na wygadanego i poczciwego człowieczynę. Objaśnił ją zresztą, że w całym szpitalu nie było troskliwszej siostry, niż ta, która się opiekowała Wiertkiewiczem.

— Surowa, bo surowa — mówił. — Bicz Boży na chorych. Tak jej się boją, jak ognia. Ale dobra kobieta. Doktór dyżurny poczciwy, że ze świecą szukać. Może pani spokojnie iść do domu. Pieniądze pani odebrała? — odezwał się po chwili.

— Odebrałam.

— To cud, że go nie okradli. Bo przecie nim pogotowie przyjechało, leżał tam między łobuzami. Ile to już razy tak pookradali ludzi. Ale mąż pani pamiętał o pieniądzach. Jak mu tylko rozum wracał, to zaraz o torebkę wołał.

Wiertkiewiczowa nie przypuszczała, żeby w torebce, którą jej wręczono w szpitalu, mogło być więcej, niż kilkadziesiąt złotych. Kiedy zobaczyła, że było około sześciu tysięcy, ogarnęło ją zdumienie, połączone z przerażeniem. Nie mogła pojąć, skąd Wiertkiewicz posiadał taką sumę, i w pierwszej chwili zdjął ją lęk, czy nie popełnił na służbie nadużycia. Ale przeglądając papiery w torebce, natrafiła na dokumenty, tyczące się sumy hi-

potecznej. Wiedziała o niej, ale uważała ją za straconą, ponieważ sam Wiertkiewicz to zawsze powtarzał, przeklinając dłużnika.

Odkrycie pieniędzy niesłychanie ją uradowało. Ale ani przez mgnienie oka nie przyszło jej na myśl, żeby sama miała w jakikolwiek sposób z nich korzystać. Postanowiła obrócić wszystko na kurację męża. Odrazu zaczęła układać plany, jak po odebraniu ze szpitala wyśle go do jakiegoś sanatorjum na kurację. Wszystkie nieszczęścia przypisywała pijaństwu i myślała, że gdyby Wiertkiewicza udało się z tego wyleczyć, to stałby się zupełnie innym człowiekiem. Projekty te tak ją ożywiły, że otrząsnęła się zupełnie z nerwowego zmęczenia. Obliczała dość naiwnie, że po wszystkich kosztach leczenia męża zostanie im jeszcze wystarczająca suma pieniędzy na kupno jakiejś kolonijki.

Z tych rozmyślań wyrwało ją nagle gwałtowne kołatanie do drzwi. Posługacz szpitalny przybiegł jej oznajmić, że Wiertkiewicz umarł.

---

pocieszona. Wiedziała o niej, ale uważała ją za straconą, ponieważ pan Wiertkiewicz to zawsze powtarzał, prze-[illegible] służnika.

Odkrycie [illegible] ją uradowało. Ale ani przez [illegible] nie przyszło jej na myśl, żeby sama miała w jakikolwiek sposób z nich korzystać. Postanowiła oddać wszystko na kuracje męża. [illegible] jak po odleżeniu ze szpitala wyśle go do jakiegoś sanatorjum na kuracje. Wszystkie wiadomości [illegible] zapewniały, że gdyby Wiertkiewicza udało się z czego wyleczyć, to stałby się zupełnie innym człowiekiem. Pomysły te jak ją ożywiły [illegible] z nerwowego zmęczenia. Umi[illegible] naiwnie, że po wszystkich kosztach leczenia może zostanie jeszcze wystarczająca suma pieniędzy na kupno jakiejś kolonijki.

Z tych zamysłów wyrwało ją nagłe gwałtowne łomotanie do drzwi. Posłaniec szpitalny przyniósł jej wiadomość, że Wiertkiewicz umarł.

XVII.

Opuszczając dom, Mila miała zamiar udać się do Brochockich, w drodze jednak zmieniła postanowienie i zatrzymała się w Warszawie. Na tę zmianę wpłynęły kilkugodzinne rozmyślania w wagonie. Schronienie się u Brochockich było tylko rozpaczliwą ucieczką, a do tego właśnie Mila nie chciała dopuścić. Zaczynało się dla niej nowe życie, które musiała sobie urządzać własnemi siłami i to bez straty czasu. Pobyt u ciotki w niczemby jej spraw nie posunął naprzód. Do tego rozumowania przyłączał się jeszcze nerwowy lęk przed hałaśliwem współczuciem i nieskończoną gadaniną na temat małżeństwa ojca. Mila wolała się znaleźć narazie wśród ludzi obojętnych i obcych.

Pierwszy raz w życiu po przyjeździe do Warszawy zetknęła się z takiemi zagadnieniami, jak nocleg i mieszkanie. W ludzkim zatorze, jaki się utworzył przy wyjściu, ściśnięto ją nagle tak, że przez chwilę nie mogła żadnego ruchu zrobić. Na karku czuła jakiś ciepły oddech, który przejmował ją wstrętem, przed oczami miała zwartą, rozdygotaną masę głów, i obraz ten wywarł na niej wrażenie potwornego, pełzającego gada.

Zdarzało jej się i dawniej nieraz znajdować w tłoku, ale zawsze doznawała przy tem uczucia, że tłum, który ją otaczał, składał się z istot zupełnie odmiennego gatunku, niż ona. W tej chwili zbudziło się w niej nowe uczucie: łączności z tłumem. Tworzyła taką samą narośl na cielsku obrzydliwego potwora, jak wszystkie inne głowy. Zastanowiła się nad tem z nieopisanem zdumieniem.

Napór tłumu pchnął ją naprzód, i po chwili mogła swobodniej poruszyć się i odetchnąć. U wyjścia czekał na nią tragarz z walizkami. Zobaczyła przed sobą czarną, zamgloną otchłań, pełną żółtych świateł, wśród których w jakichciś dziwacznych ruchach krzyżowały się tajemnicze sylwetki. Padał deszcz. Całą siłą woli musiała pilnować swojej odwagi.

Kazała się zawieźć do taniego hotelu. Od początku postanowiła żyć jak najoszczędniej. Szofer przyglądał się jej z bezczelnym uśmiechem i wymieniał nazwy, które jej nic nie mówiły. Powtórzyła wkońcu jedną z nich machinalnie. Po półgodzinnej jeździe skręcili w oświetloną gazowemi latarniami ulice, która, po elektrycznem oświetleniu innych ulic, wydała się Mili niesłychanie ciemną. Automobil stanął przed zwykłą kamienicą. Mila miała w wyobraźni tak inne fasady hoteli, że odrazu ogarnęło ją uczucie zniechęcenia. W kilka minut potem, kiedy jakiś niesłychanie brudny posługacz wniósł jej walizki do numeru, zniechęcenie zmieniło się w przerażenie. Stanęła jak wryta pośrodku wąskiej, niewielkiej klitki, pełnej wstrętnego kwaśno-mdlącego zaduchu. Słaba żarówka, zawieszona u sufitu, była tak brudna, że światło ledwo przeciekało

przez nią. Ale, mimo półmroku, Mila rozróżniała olbrzymie plamy na ścianach i na wytartej ciemno-czerwonej kołdrze, którą pokryte było łóżko.

— Nie, to niemożliwe — szepnęła z rozpaczą.

Postanawiała uciec, ale czuła zarazem, że już brakło jej sił na wykonanie tego zamiaru. Proste zadzwonienie na służącego i wydanie polecenia, żeby wziął walizki zpowrotem nadół, wydawało jej się czemś nieludzko ciężkiem. A potem jeszcze rozmowa z portjerem i... znów jazda po mieście. Portjer, olbrzymi drab, ucharakteryzowany na cygańskiego skrzypka, od pierwszego wejrzenia przejął ją wstrętem i trwogą. Wahała się, czyby nie zostać i nie przespacerować nocy po pokoju, byle tylko uniknąć nowych rozmów.

Zarazem przyszło jej na myśl, że szofer, który nie wzbudzał bynajmniej zaufania, mógł ją poprostu przywieźć do jakiejś złodziejskiej nory. Gorączkowo otworzyła walizkę i wydobyła niewielki wytworny rewolwer z rękojeścią z kości słoniowej. Odczuwała nieznany zupełnie rodzaj trwogi. Ta Warszawa, którą tak znała i lubiła, stała się nagle dla niej tajemniczem, obcem, niebezpiecznem miastem.

Brudna kanapka zasłaniała do połowy drzwi do sąsiedniego numeru. Drzwi te nie miały klamki, a otwór był zabity i zalakierowany na biało. Milę zaniepokoiło to przejście. Odsunęła nogą kanapkę i przez gazetę zaczęła drzwi próbować, czy się nie uchylą pod naporem. Brzydziła się ich dotknąć nawet przez rękawiczkę. W tej samej chwili usłyszała za ścianą zgrzyt klucza i kroki. Do sąsiedniego pokoju weszło kilka

osób. Przez cienkie drzwi słychać było jak najwyraźniej rozmowę.

— Daj jej spokój Wicek — rozległ się jakiś głos męski.

A potem płaczliwy kobiecy.

— Czego on się czepia, czy ja złodziejka jestem.

I znów inny głos bełkotliwy i niewyraźny.

— Ty mnie znasz... Józka. Ja umiem ciało kobiece uszanować i pieniędzy nigdy nie żałuję. Żałuję, czy nie żałuję?

— Nie żałujesz.

— Nie żałuję. Ale tego, żeby mi kto sam zabierał, nie ścierpię. Rozumiesz, nie ścierpię. Nie daj, Boże, coby z inną było, tylko, że do ciebie mam słabość. Ale ci mówię, Józka, za te trzy dolary ty majątek straciłaś.

Perspektywa spędzenia nocy w takiem sąsiedztwie wróciła Mili energję. Zadzwoniła na służącego i kazała znieść rzeczy nadół. Decyzję jej przyjęto w hotelu znacznie obojętniej, niż przypuszczała. Musiała zapłacić za całą dobę, ale nikt się nie uczuł obrażonym. Po chwili znów się znalazła w automobilu. Ale nie kazała już szukać szoferowi tanich hoteli. Zajechała do pierwszorzędnego pensjonatu, w którym zatrzymywała się jeszcze z matką. W czystym, nawet wytwornie urządzonym pokoju, ogarnęło ją miłe uczucie powrotu do swego poziomu życia. Ze zdumieniem stwierdziła też, że była jeszcze bardzo wczesna godzina. W podejrzanej norze, z której uciekła, miała wrażenie późnej, głuchej nocy. Zdawało jej się, że sama kilkunastominutowa obecność w tamtym pokoju oblepiła ją brudem, i przede-

wszystkiem zażądała kąpieli. Nim napalono w łazience, musiała przebrnąć przez nudną rozmowę z właścicielką, bardzo dystyngowaną zresztą osobą, która znała całą jej rodzinę i zaczęła od kondolencyj z powodu śmierci matki. Za temi kondolencjami poszły inne, niewypowiadane już wyraźnie, ale wyraźne w tonie. Mila zdawała sobie sprawę, ile wysiłku musiała kosztować panią Ostoję-Borucką dyskrecja. I to popsuło jej humor. Drugie mieszkanie w Warszawie nie udało jej się również; zaraz postanowiła, żeby nazajutrz od rana szukać nowego. Nie zastanowiła się przedtem, że w takiem gnieździe znajomych i kuzynów bliższych i dalszych, jak pensjonat pani Ostoi-Boruckiej, małżeństwo jej ojca musiało być sensacją, którą obrabiano na wszystkie strony. Z zagadkowym trochę uśmiechem pani Ostoja-Borucka zapowiedziała jej, że przy stole spotka znajomych.

Obudziła się nazajutrz z wrażeniem, że natychmiast należało zacząć coś robić, żeby wyjść z tymczasowości i ustalić swoje życie. Tylko nie wiedziała — co. Ogarnęło ją poczucie najzupełniejszej bezradności. Przychodziły jej do głowy rozmaite projekty, ale przy każdym ogarniało ją zniechęcenie. Stałem jej pragnieniem było skończenie agronomji, i przez chwilę myślała, czyby się nie zapisać na odpowiednie kursy. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, że dawne jej pragnienie straciło wszelki urok, bo nie wyobrażała sobie, że mogłaby pracować w cudzym majątku na posadzie. To, co nieraz ojciec jej powtarzał, że po wyjściu zamąż za Dołguckiego otrzymałaby tylko rentę, wynikało ze zdecydowanej niechęci Korczewskiego do tego małżeństwa.

Wiedziała dobrze jednak, że z chwilą, gdyby ono stało się faktem, to i niechęć ojca osłabłaby i oddałby jej te dwa folwarki z Górek, które zawsze przeznaczał na jej posag. Zresztą, matka nie pozwoliłaby nigdy na to, żeby miała przenieść się do Warszawy. Ślub z Dołguckim był naznaczony na kilka tygodni przed nieszczęsną operacją. Gdyby raz osiedli u siebie, to ojciec, ożeniwszy się nawet powtórnie, nie wyrzucałby ich przecież. Ale wszystko to już należało do bezpowrotnej przeszłości.

Renta, którą jej ojciec wyznaczył, wystarczyłaby jej na życie, ale bardzo skromne. Musiała więc pomyśleć nad tem, żeby w jakiś sposób zarabiać. Zaczęły jej przychodzić do głowy myśli o karjerze artystycznej. Niejednokrotnie w teatrze i w kinematografie zastanawiała się nad tem, że gra nie była rzeczą bynajmniej trudną. Wystarczało przejąć się myślami i uczuciami jakiejś postaci i tak się zachowywać, jakby to się naprawdę czuło. Stanęła przed lustrem i wykonała kilka grymasów, mających obrazować rozpacz, zdziwienie, radość, przerażenie. Ta pierwsza próba zadowoliła ją, jak najzupełniej. Najważniejszą rzeczą poza wszystkiem zresztą była uroda i wrodzona elegancja. Przypominała sobie pokolei różne wybitne aktorki i znane jej z ekranu gwiazdy kinematograficzne, i wydało jej się, że pod tym względem nietylko mogła nie obawiać się konkurencji, ale górowała nad niemi. Ten projekt, który dawniej uważałaby nawet za ubliżający sobie, nagle wydał jej się najzupełniej poważnym. Nie uświadomiała sobie, ile w nim tkwiło rozpaczliwej brawury. Właśnie, na złość wszystkim! Całemu światu! Ten „cały świat”

zresztą, ograniczał się do jednej, jedynej osoby — ojca. Mila odtwarzała sobie wrażenie jakie wywarłaby na nim wiadomość, że panna Korczewska występuje w kinematografie, i napełniało ją to złośliwem zadowoleniem. Zresztą, bardzo krótko. Następne uczucie zamknęło się w myśli, że czyny ojca wskazywały dostatecznie, iż nic nie wywarłoby na nim wrażenia. Na mgnienie oka osłabiło to jej artystyczne zapędy. Zaraz znalazła jednak nowe uzasadnienie. Cóż jej pozostawało, skoro sam los wytrącał ją z życia i skazywał na poniewierkę. Małżeństwo ojca przedstawiało jej się jakby jakiś kataklizm, który zmieniał porządek świata i wyzwalał wszystkich ludzi z odpowiedzialności etycznych. Przebrała się kilkakrotnie i studjowała w najrozmaitszych pozach w lustrze. Następnie wyszła z domu do fotografji i kazała się zdjąć w kilku pozach. Przyczem za każdym razem, gdy się upozowywała przed aparatem, powtarzała w myśli — aha, aha — z takiem uczuciem, jakgdyby rwała wszystkie węzły z przeszłością. U fotografa dowiedziała się adresu szkoły kinematograficznej i w tej chwili postanowiła zapisać się na kursy. Poszła zaraz, ale nie zastała nikogo w kancelarji, gdzie przyjmowano dopiero przed wieczorem. Nie mając czasu czem wypełnić, zajęła się nabywaniem różnych rzeczy, zupełnie w jej sytuacji zbytecznych, ale które wydawały jej się niezbędne dla przyszłej karjery. Chodziła do pierwszorzędnych magazynów, gdzie ją dobrze znano i gdzie pokazywano jej, ma się rozumieć, najdroższe rzeczy. Ambicja nie pozwalała jej żądać tańszych, a ponieważ bała się pozbawiać pieniędzy, więc kazała zapisywać

wszystko na rachunek. I po kilku godzinach była zadłużona na sumę, dorównywającą prawie jej rocznej rencie. Kiedy to sobie uświadomiła, jeszcze ostrzej wystąpiło w niej poczucie, że była ofiarą.

Wracając już do domu, spotkała swoją dawną koleżankę, pannę Ritę Jugendberżankę, córkę bogatego adwokata, która na pensji odznaczała się niesłychaną dewocją. Nazywano ją żartobliwie adjutantem prefekta, ponieważ wciąż udawała się do niego o rozstrzygnięcie najrozmaitszych wątpliwości filozoficznych. Mila nie widziała Jugendberżanki od skończenia pensji. Pamiętała ją jaką tłustą, rudawą dziewczynę, jedzącą ciągle czekoladki, którą matka ubierała i charakteryzowała na młodego marynarza w spódnicy. Zobaczyła zaś przed sobą wiotką pasterkę ze straszliwie bladą, anemiczną twarzą, którą przecinała przepisowo czerwona linja ust. Z pod dużego kapelusza spływały jej na ramiona rude loki. Mila nie byłaby jej oczywiście poznała, ale Jugendberżanka zaczepiła ją pierwsza. Tanecznym ruchem wyciągnęła przed siebie ręce, i z ust jej wydobył się solfeż.

— Mila!

Mila za pensjonarskich czasów dość lubiła Ritę mimo, że ją lekceważyła równocześnie. W stosunku jej do koleżanki był pewien odcień słabości, jaką miewali dziedzice do pachciarzy. Ucieszyła się ze spotkania, ponieważ zaczynała już ją nudzić samotność. Z Ritą mogła rozmawiać swobodnie, bez obawy drażliwości, jakieby się nasuwały odrazu w towarzystwie bliskich znajomych.

— Jak się masz, Rito, nie poznałabym cię.

— Zeszczuplałam?

Mimo, że było to powiedziane tonem zapytania, w głosie Jugendberżanki dźwięczał już triumf z jedynej możliwej odpowiedzi.

— Sztucznie się obchudzasz.

— Inaczej nie można zachować linji.

I koleżanka zmierzyła Milę spojrzeniem, w którem malowało się widocznie zgorszenie, połączone nawet z odcieniem pogardy. Mila utyła podczas pobytu na wsi, i tryskający zdrowiem jej wygląd daleki był od współczesnego ideału urody kobiecej. Samej jej przyszło nawet na myśl, że za bardzo się zaniedbała pod tym względem. Zaprosiła koleżankę do cukierni. Wygłodzona Rita, po chwilowem wahaniu, rzuciła się zapalczywie na ciastka, usprawiedliwiając się w myśli wykrętem, że tak wyjątkowa okazja, jak spotkanie Mili, pozwalała złagodzić surowy regime, jakiemu się poddawała.

— Słyszałam, że zamąż wychodzisz.

— Miałam taki projekt, ale się rozmyśliłam. A ty?

Rita wydęła pogardliwie zapchane ciastkami usta. Po chwili dopiero mogła odpowiedzieć.

— Mam czas. Małżeństwo jest dobre na starość.

— A cóż porabiasz?

W oczach Rity znów, jak przed chwilą, odmalowało się zgorszenie, połączone z pogardą.

— Nie czytałaś o mnie.

— Nie.

— U nas wszystko po dawnemu — westchnęła

Rita. — Wieś nie nauczyła się jeszcze interesować życiem artystycznem.

— To ty jesteś artystką?! — wykrzyknęła Mila z nagłem ożywieniem.

I rozbroiła tem Ritę, która miała już w oczach taki wyraz zniechęcenia, jakgdyby uważała rozmowę z Milą za niepotrzebną stratę czasu. Odrazu uśmiechnęła się przyjaźniej. Na szczęście zaległości kulturalne Mili łatwo było odrobić, ponieważ całą literaturę o sobie Rita nosiła w torebce. Składała się ona z czterech wycinków z pism. Były to korespondencje z Zakopanego, Krynicy, Konstancina i Gdyni. We wszystkich tych miejscowościach panna Rita występowała, jako tancerka klasyczna.

Mila nabrała odrazu szacunku dla koleżanki i spojrzała na nią z podziwem. Równocześnie przyszło jej na myśl, że spotkanie z Ritą było wyraźnym dowodem przeznaczenia. Któż jej mógł udzielić lepszych i dokładniejszych informacyj o karjerze artystycznej. Po chwilowem wahaniu postanowiła być wobec koleżanki zupełnie szczerą.

— Moja sytuacja ogromnie się zmieniła. Zerwałam z domem.

— Aa...

W oczach Rity zamigotała ciekawość, jakby w oczekiwaniu niezwykłej sensacji.

— Przeniosłaś się na stałe do Warszawy?

— Tak.

— Ale masz z czego żyć?

— Owszem.

— Czy to w związku z małżeństwem twojego ojca — odezwała się Rita po chwili.

Milę niemile uraziło to pytanie. Wydało jej się zbyt konfidencjonalnem. Odparła sucho:

— Za długo byłoby mówić o przyczynach. Przeniosłam się do Warszawy, bo i ja także chcę się poświęcić karjerze artystycznej.

Rita aż się cofnęła wtył na krześle.

— Ty?

— Dlaczego się tak dziwisz?

— Ja cię uważałam za tak zapaloną wieśniaczkę. Myślałam, że nic innego poza wsią cię nie obchodzi.

— Tak było — odparła Mila, marszcząc nagle brwi.

— Na scenę chcesz wstąpić?

— Na scenę, albo do kinematografu. Chcę się zapisać do szkoły kinematograficznej.

— Do mnie to nie przemawia — odparła Rita. — Ja żyję tylko tańcem.

I Rita zaczęła się unosić nad artystycznem posłannictwem tańca. Wpadła w zapał i, gestykulując z przesadną egzaltacją, wygłaszała jakiś długi monolog, którego zresztą Mila odrazu przestała słuchać. Co innego zaprzątnęło jej myśl. Nie miała najmniejszego pojęcia o kobiecie, która odebrała jej wszystkie prawa, wydziedziczyła, wypchnęła z domu na bruk. Korciło ją, żeby się od Rity czegoś o niej dowiedzieć. Ale z tą ciekawością ścierała się duma. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że za wielki był to honor dla jakiejś żydówczyny, żeby miała z nią mówić o najdrażliwszych oso-

bistych swoich sprawach. I nagle sama oburzyła się na takie za to uczucie. A cóż ona reprezentowała w tej chwili, żeby na wszystkich patrzeć zgóry i wszystkich lekceważyć. To ją zdecydowało.

— Słuchaj — przerwała nagle wywody domorosłej tancerki — to ty znasz obecną żonę mojego ojca?

Rita umilkła i szeroko otworzyła oczy, w których malował się już nie podziw, ale osłupienie. Pytanie tak było dalekie od biegu jej rozegzaltowanych myśli, że podobne wrażenie wywarłoby na niej, gdyby jej Mila dała nagle pztyczka w nos, albo oblała twarz herbatą.

— Mówiłam ci, że znam.

— Co to jest za kobieta?

— Ty jej nie znasz?

— Nie.

— Wcale.

— Tak, jakby wcale. Gdybym ją znała, tobym się nie zwracała do ciebie z takiem zapytaniem — odparła niecierpliwie Mila, żałując już swego odruchu.

Rita zastanowiła się chwilę. W duszy jej dokonywało się jakby przestawianie egzaltacji z jednego toru na drugi. I nagle wybuchnęła.

— Niezwykła kobieta.

— Aż tak.

— Artystka całą duszą. Dziwię się, żeście się na tem tle nie zaprzyjaźniły. Nie wiem, co między wami zaszło i nie chcę w to wnikać — trzepała, nabierając coraz większego rozpędu — ale jeśli masz jakie uprzedzenia do niej, to powinnaś je jeszcze poddać gruntownej rewizji. Tak mało jest pięknych dusz na

świecie, że właśnie powinny do siebie dążyć, a nie rozdzielać się i waśnić. Ja bardzo często bywałam u niej. To był najmilszy dom w Warszawie. Prawdziwie kulturalny ośrodek. Oaza na pustyni dzisiejszego chamstwa i paskarstwa. Pod pewnym względem ojciec twój wyrządził Warszawie krzywdę, bo doprawdy nie prędko się ta luka zapełni. Chyba, że otworzą salon w Warszawie. Ja nie wyobrażam sobie nawet, żeby taka kobieta, jak pani Ira, mogła stale wytrzymać na wsi. Ona jest kwintesencją współczesności, i potrzeba jej gorączkowej,podniecającej atmosfery wielkiego miasta. A może do Paryża będą wyjeżdżali — ciągnęła jakby już do siebie raczej niż do Mili. Bardzobym chciała, bo i ja niezadługo wybieram się do Paryża i mam zamiar cały rok tam przemieszkać. Potrzeba mi powietrza Zachodu. Już się tu duszę. Ty, obserwując życie warszawskie z odległości wiejskiego dworu, nie zdajesz sobie nawet sprawy, jakie jest u nas jeszcze małe miasteczko — westchnęła nagle, mierząc Milę bolesnem spojrzeniem.

Mila przyglądała jej się z ironicznym uśmiechem. Oczywiście, tego rodzaju typ, jak żona ojca, musiał się podobać głupiej histeryczce, w rodzaju Rity. Pokrewne dusze. Niepotrzebnie tylko wyrywała się z pytaniami, bo zgóry mogła przewidzieć odpowiedź. Została bardzo słusznie ukarana za swoją głupotę.

— Ja i twojego ojca poznałam — ciągnęła Rita.

Mila zdławiła w sobie błyskawiczne uczucie obawy, żeby Ricie nie wyrwało się jakieś głupstwo o jej ojcu. Przecież już był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Mogła wysłuchać obojętnie wszystkiego.

— Jakżesz ci się podobał?

— Bardzo. Myśmy wszyscy byli zachwyceni, jak on potrafi kochać. To samo pokazuje, że musi być niezwykłym człowiekiem.

— To i małżeństwem byliście zachwyceni?

— Ma się rozumieć.

— I ty byłaś może na ślubie — roześmiała się Mila.

— Nie. Nikogo nie zapraszali. To mi się także bardzo podobało. Ślub, moim zdaniem, powinien się odbywać zdaleka od oczu ludzkich. Ale na kilka dni przed ślubem pani Ira zrobiła olbrzymie przyjęcie. Świetnieśmy się bawili.

— No, to dobrze — odparła Mila przez zaciśnięte zęby. Skinęła na kelnera, zapłaciła za herbatę i ciastka i podniosła się od stolika tak, jakby była sama.

— Wychodzisz? — zdziwiła się Rita.

— Wychodzę.

— Odprowadzę cię.

— Nie potrzeba.

I, skinąwszy niedbale osłupiałej Rycie głową, wyszła z cukierni.

Na ulicy ogarnęła ją nagle depresja. Przedewszystkiem poczuła się śmieszna. Robiła, Bóg wie, jaką katastrofę z małżeństwa ojca, zdawało jej się, że świat się powinien był zawalić, a to było normalne i proste. I na pewno wszyscy zapatrywali się na to tak samo, jak Rita. Zwarjowana Rita mówiła tylko z właściwą jej egzaltacją, ale w tem, co mówiła, krył się na pewno ogólny pogląd. Śmieszne było przypuszczenie, że ktoś się

przejmował małżeństwem pana Korczewskiego, albo gorszył. Może jedna ciotka Brochocka. Ale nie można było zaręczyć, czy za pół roku ciotka Brochocka nie namawiałaby jej pierwsza do pogodzenia się z macochą. I najstraszniejsza była właśnie ta normalność zdarzenia, która ją wytrącała z życia. Mili zdawało się, że przez to była stokroć bardziej osamotniona. Wróciwszy do pensjonatu, kazała podać sobie obiad do pokoju. Nie miała najmniejszej ochoty spotykania się ze znajomymi. Zresztą nie tknęła nawet jedzenia. Po kilku godzinach czuła się już poza wszystkiem zmęczona samem miastem. Wydało jej się nagle zupełnie inne, ani podobne do tego, jakiem się zachwycała dawniej. Brudne, duszne, śmierdzące i przedewszystkiem beznadziejnie nudne. Gdy nadeszła godzina, w której w kancelarji szkoły kinematograficznej można już było kogoś zastać, musiała użyć całego wysiłku woli, żeby się zmusić do wyjścia z domu. Najchętniej zapuściłaby rolety i leżała pociemku. Ale nie uległa pokusie wyczerpania. Przezwyciężyła ją ambicja. Musiała stworzyć sobie takie warunki,aby być panią w całem tego słowa znaczeniu, bez niczyjej pomocy, niczyjego kaprysu, ani nawet uczucia. Małżeństwo miało dla niej urok tylko w takich warunkach, w jakich się układało z Dołguckim: żeby ona pod każdym względem górowała nad mężem. Przesunął jej się nagle przez mózg obraz hotelu, do którego zajechała z kolei. I nabrał w uczuciach znaczenia symbolu nędzy. Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Zbudziła się w niej niewypowiedziana pogarda dla wszystkich ludzi wydziedziczonych i biednych. I wstyd jej się robiło

swoich nastrojów z poprzedniego wieczora. Oczywiście było to jakieś zwichnięcie duszy pod wpływem zdenerwowania. Ale dlatego należało trzymać nerwy na wodzy. Zaczęła oglądać swoje przedpołudniowe sprawunki, które jej poodnoszono do pensjonatu. I doszła do wniosku, że bardzo dobrze zrobiła, nabywając to wszystko. Właśnie nie rezygnować, z niczego nie rezygnować.

Ubrała się jak najstaranniej i poszła do szkoły, która się mieściła w drugiem podwórzu jakiejś olbrzymiej, brudnej kamienicy. Przyjął ją młodzieniec, ucharakteryzowany na Valentina, i rozpoczął z nią rozmowę w flirtowo-bezczelnym tonie. Ale się przeliczył. Tak go odrazu potrafiła osadzić, że kiedy odchodziła, omówiwszy warunki, zachowywał się już pokornie, jak lokaj. Zapewnił ją zresztą, że miała idealne warunki na kinematograficzną aktorkę, co ją napełniło niewypowiedzialną radością. Przez cały wieczór fantazjowała na temat przyszłej karjery. I w rezultacie widziała zawsze jeden cel kupna majątku w sąsiedztwie Górek i zamieszkania obok ojca. To była jej okolica, i tam jej się należało prawo mieszkania. W marzeniu tem znalazła nowe ożywcze źródło energji. Tak ją opętało, że o niczem innem nie potrafiła myśleć. I postanowiła dążyć do tego celu bez najmniejszych wahań. Choćby nawet kokotą miała zostać.

Wieczorem odwiedziła ją pani Ostoja-Borucka.

— Cóż się pani tak zamyka. Przy stole dopytywano się o panią.

Mila machnęła lekceważąco ręką, nawet się nie

zaciekawiła, kto się pytał. Borucka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Na długo pani do Warszawy przyjechała?

— Na stałe.

— Jakto?

— Wstępuję do szkoły kinematograficznej.

— Pani?

Milę rozdrażniło widoczne zgorszenie Boruckiej. Spojrzała wyzywająco na właścicielkę pensjonatu.

— Jeśli pani uważa, że nie wypada, żeby u pani mieszkała uczenica szkoły kinematograficznej, to mogę panią uspokoić. Jutro się wyprowadzę.

— Ależ...

Borucka umilkła, jakby nie wiedząc, co dalej mówić, i przez chwilę patrzyła bezradnym wzrokiem na Milę.

— Droga, panno Milo — odezwała się wreszcie — przecież ja panią znam od dziecka, z mamą żyłam w przyjaźni, mam prawo do pani mówić, jakby krewna. Niech się pani zastanowi, czy to dobrze....

— Ja już się zastanowiłam.

— A przedewszystkiem, cóżby mi mogło szkodzić, żeby pani chodziła do szkoły kinematograficznej. Jeżeli pani z tego powodu chce się wyprowadzić, to stanowczo protestuję... Tylko... Ja już wczoraj zauważyłam, że pani była najokropniej zdenerwowana. Rozumiem, że to małżeństwo musiało wywrzeć na pani przykre wrażenie. Było za wczesne, stanowczo za wczesne.

— Więc jest pewien termin, w którym można o umarłych zapominać — roześmiała się Mila.

Borucka rozłożyła zrezygnowanym ruchem ręce.

— Na życie trzeba patrzeć trzeźwo. Ostatecznie ojciec pani jest jeszcze za młody, żeby miał zrezygnować z życia.

— Nikt mu nie kazał rezygnować.

— Moja droga, w praktyce nierezygnowanie z życia to jest właśnie małżeństwo.

Mila wydęła pogardliwie usta.

— Ojciec mógł romansować, ile mu się podobało. Romansował za życia mamy.

Pani Ostoja-Borucka była osobą wysoce pruderyjną, i takie postawienie sprawy nie mogło jej nie urazić. Mila wydała jej się odrazu uosobieniem zepsucia i cynizmu. Zakończyła rozmowę kilkoma banalnemi frazesami i wyszła z pokoju. Nazajutrz, kiedy Mila oświadczyła, że się wyprowadza, już jej nie usiłowała zatrzymać.

Mila dostała od gospodyni pensjonatu kilka adresów prywatnych pokojów do wynajęcia i rozpoczęła wędrówkę po najrozmaitszych ulicach i piętrach. Szybko ogarnęło ją rozczarowanie. Pokoje były przeważnie brudne, źle umeblowane i raziły ją tem czemś nieuchwytnem, co określała w myśli, jako małomieszczańką atmosferę. Zdawało jej się, że gdyby zamieszkała w takim pokoju, to byłaby to odrazu rezygnacja. W czasie tych wędrówek myślała wciąż o ojcu, i uczucia jej zaczynały się krystalizować w zdecydowaną nienawiść. Przy temperamencie jej taka nienawiść nie mogła po-

zostać bierną. Chciała rozpocząć walkę z ojcem. Postanowiła tego samego popołudnia iść do adwokata i dowiedzieć się, czy nie mogła wytoczyć mu procesu.

Kiedy i czwarty z rzędu pokój, który obejrzała, nie zadowolił jej wymagań, ogarnęło ją zniechęcenie do wszystkich adresów, których udzieliła jej gospodyni. Widocznie ma tylko pokoje dla hołoty — myślała, wahając się, czy oglądać dalej. Ale machinalnie poszła jeszcze pod następny adres. Zastała w pokoju młodą kobietę, zajętą pakowaniem rzeczy. Poznała ją od pierwszego wejrzenia. Była to ta sama poczciwa kobiecina, która pomogła jej wyprowadzić matkę z wagonu, gdy przyjechała na operację. Ogarnęło ją jakby wzruszenie. Doznała wrażenia, że nareszcie spotyka w Warszawie kogoś bliskiego i sympatycznego. Uśmiechnęła się do nieznajomej, która oczywiście nie mogła jej sobie przypomnieć i poznać. Sympatję Mili powiększyło to jeszcze, że młoda kobieta była również w żałobie.

— My się znamy — odezwała się po chwili. — Ale oczywiście pani mnie sobie nie przypomina.

— Przepraszam, naprawdę nie pamiętam. Nazywam się Wiertkiewiczowa.

Mila widziała już, że ma przed sobą jakąś zahukaną biedotę. I machinalnie przybrała łaskawy ton, jakim rozmawiała ze służącemi.

— Po kim to pani jest w żałobie?

— Po mężu.

— Czem się pani zajmuje?

— Miałam posadę, ale teraz straciłam i chciałabym się uczyć sztuki stosowanej.

— Ach, tak?

W głosie Mili odezwał się akcent pewnego zaciekawienia.

— Na pensji mówili zawsze, że mam pewne zdolności do rysunków.

— Widzę, że pani wciąż mnie sobie nie przypomina — przerwała nagle Mila. — Pomogła mi pani kiedyś wyprowadzić z wagonu chorą matkę.

— A, już wiem! — wykrzyknęła Wiertkiewiczowa. I dodała, marszcząc brwi. — To był pamiętny dzień w mojem życiu.

— I w mojem — pomyślała Mila.

Nie wypowiedziała tego głośno przez instynktowne poczucie wyższości nad Wiertkiewiczową, ale znowu uczuła, że rzeczywiście je coś łączy.

— Pani chce wynająć ten pokój? Ja już się wyprowadzam. Za pół godziny będzie wolny.

Mila potrząsnęła przecząco głową.

— Nie.

— Ma się rozumieć. To nie dla pani — potwierdziła Wiertkiewiczowa.

Właściwie Mila nie miała już nic do roboty w pokoju, którego nie chciała wynająć, ale trzymała ją jakaś nieokreślona sympatja do Wiertkiewiczowej. Wydała jej się niesłychanie dobrą kobieciną, a raczej poczciwem stworzeniem. I podświadomie, ponieważ ją wpuszczała w krąg swoich łask, chciała jej już wyznaczyć w swojem życiu jakąś rolę. Znaczyło to poprostu — wyzyskać, ale Mila nie zdawała sobie z tego sprawy. W pańskiej swej psychologji, gdy raczyła kogoś z bliż-

nich wyzyskać, uważała to tylko i zupełnie szczerze za sposób wyróżnienia.

— Kiedy pani umie rysować, to pewno pani i batikuje?

— Robię to jeszcze bardzo powoli, ale jakoś mi idzie.

— Ciekawa byłabym zobaczyć.

Wiertkiewiczowa aż poczerwieniała z radości. Wydobyła z jakiegoś koszyka kilka barwnych szmatek i z dumą rozłożyła na stole. Mila miała żywe poczucie kolorów i linij. We wzorach Wiertkiewiczowej uderzyła ją bardzo oryginalna pomysłowość.

— A wie pani, że to bardzo ładne. Cóż to ma być?

— Czy ja wiem — zawahała się Wiertkiewiczowa. — Mam kilka pamiątkowych książek. I chciałabym je jak najładniej poprawiać. Tylko nie wiem, czy to się będzie nadawało na okładki.

— O, będzie! — odparła żywo Mila. — Wie pani co — dodała po chwili łaskawie — ja u pani zamówię batikowy szal.

— Naprawdę?

W głosie Wiertkiewiczowej zabrzmiała tak dziecinna radość, że Mila się roześmiała.

— Kupi pani dla mnie najpiękniejszego białego jedwabiu, i trzeba go będzie czarnem wybatikować, bo widzi pani, że jestem w żałobie — zakończyła z nagłym smutkiem w głosie, czem jeszcze bardziej ujęła sobie Wiertkiewiczową, która zresztą od pierwszej chwili była tą niespodziewaną znajomością zachwycona.

— Odrazu się wezmę do roboty i jak tylko skończę, to pani odniosę.

Mila zostawiła jej numer telefonu pensjonatu i udała się dalej na poszukiwanie mieszkania. Pod ostatnim adresem znalazła nareszcie to, czego szukała. Wielki salon, naprawdę elegancko urządzony. Cena wynosiła wprawdzie połowę miesięcznej renty Mili, ale na to Mila nie zwróciła uwagi. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak sobie da radę, ale to był tak nic nie znaczący drobiazg wobec całej jej sytuacji, że nie zaprzątała sobie nim głowy.

XVIII.

— Boże wielki, ile pani ma tego.

Naiwny podziw Wiertkiewiczowej zabawił Milę. Niestety na krótko. Porozkładała na stole biżuterję, żeby się zastanowić, co zanieść do lombardu. Po tygodniowym pobycie w Warszawie już się znalazła w kłopotach pieniężnych. Wiertkiewiczowa, która przyniosła jej wzory na szal, zjawiła się w samą porę. Odrazu Mila postanowiła się nią wyręczyć.

— Była pani kiedy w życiu w lombardzie — zwróciła się do niej ze sztucznym trochę tupetem.

Wiertkiewiczowa się uśmiechnęła.

— Ile razy.

— Doskonale.

Wiertkiewiczowa nie mogła pojąć, co w tem było doskonałego i ze zdziwieniem spojrzała na Milę.

— Chcę panią prosić o pewną przysługę.

— Dla pani wszystko zrobię.

Gorący jej ton podobał się Mili. Tak było, jak powinno było być. Opuściło ją zupełnie skrępowanie z powodu braku pieniędzy, jakie chwilowo wobec Wiertkiewiczowej odczuła. Traktowała ją już, jak zau-

faną pannę służącą. Wybrała z pośród biżuterji broszkę z brylantem i dwa pierścionki i podała nowemu popychadłu.

— Droga pani... Jak pani na imię?

— Stanisława.

— Droga pani Stasiu, niech pani zaraz idzie do lombardu i zastawi mi te rzeczy.

Wiertkiewiczowa zaczerwieniła się gwałtownie. Spojrzała na Milę pokornym wzrokiem i po widocznem, chwilowem wahaniu odezwała się nieśmiało.

— Pocóż ma pani zastawiać.

— Zabrakło mi pieniędzy.

— Ja pani pożyczę.

— Bardzo pani poczciwa, ale pani sama nie ma.

Wiertkiewiczowa opowiedziała zaraz Mili, że zostało jej po mężu kilka tysięcy złotych. Pieniądze te złożyła w Pocztowej Kasie Oszczędności. Wszystko jej jedno było, czy miały tam leżeć, czy u Mili. Tłumaczyła to tak przekonywująco, że Mila zgodziła się wreszcie przyjąć od niej pięćset złotych pożyczki. Uspokoiła się w myśli tem, że na zwrot długu Wiertkiewiczowej zawsze będzie mogła zastawić biżuterję.

— Czy pani zaraz potrzebne?

— Zaraz.

Mila nie miała już nawet na obiad.

— To pójdę do kasy i przyniosę pani.

— Niech pani idzie.

— Może przedtem wzory obejrzymy?

— Nie... nie... nie. Ja sama obejrzę.

W oczach Wiertkiewiczowej odmalowało się wi-

doczne zmieszanie. Zaczęła się zbierać do wyjścia, ale tak powoli i z takiem ociąganiem, że Milę to uraziło. Przyszło jej na myśl, że po pierwszym porywie Wiertkiewiczową ogarnęły obawy. Odezwała się zimno.

— Jeżeli pani to robi różnicę.

— Ależ.

I Wiertkiewiczowa wybiegła z pokoju z wyrazem nagłej determinacji na twarzy. Wrażenie Mili było prawdziwe. Ociągała się z wyjściem, ale nie z powodu jakichkolwiek wahań, co do pieniędzy, tylko z obawy przed Millerem, który czatował na nią na ulicy. Rozmawiając z Milą, zbliżyła się do okna i widziała go, jak spacerował po przeciwległym chodniku. Od śmierci męża Miller stał się nową zmorą jej życia. Oświadczył się o jej rękę i, gdy mu odmówiła, wpadł w taką furję, że zupełnie jej przypominał Wiertkiewicza. Zdawało jej się, że już poprostu zawisło nad nią jakieś fatalistyczne przekleństwo. W tajemnicy przeprowadziła się do rodziny, ale Miller lepiej jej szukał po Warszawie, niż mąż. W dwadzieścia cztery godziny po ucieczce już ją odnalazł.

Stosunek jej do Millera komplikowało to jeszcze, że uważała go za niesłychanie dobrego i delikatnego człowieka, i do rozpaczy doprowadzała ją myśl, że go krzywdziła wzamian za wszystkie dobrodziejstwa, jakie jej wyświadczył. Bo czuła, że cierpiał głęboko i szczerze. Ale gotowa była do wszystkich poświęceń, prócz tego jednego, którego żądał. Miller zaś poprostu oszalał. Tłumione pożądanie wybuchnęło w nim gwałtownie w jakiejś dzikiej formie. Rzucił się na nią i mu-

siała z nim stoczyć zupełną bójkę. Pogryzł ją przytem i podarł na niej suknię. Była przekonana, że zwarjował, ponieważ z bezgraniczną naiwnością w całym jego poprzednim stosunku, od chwili, gdy jej wytrącił truciznę z ręki, dopatrywała się tylko bezinteresownej szlachetności. Błagał ją potem na kolanach o przebaczenie, i przebaczyła mu, ale nie chciała go już widywać. Na to nie chciał się zgodzić.

Dogonił ją, ledwo wyszła z bramy.

— Pani Stasieńko, niech mi pani wybaczy.

— Ależ ja się na pana nie gniewam. Pan mi tyle dobrego wyświadczył, że przez całe życie będę panu wdzięczna. Tylko... No, ja nie mogę... — wykrzyknęła nagle rozpaczliwie. — Co ja temu jestem winna. Poco pan siebie i mnie męczy.

— Panią męczę, póki z panią rozmawiam. Gdybym w tej chwili odszedł, jużby się cała męka skończyła.

— Nie. Mnie jest bardzo przykro, że pan cierpi. Strasznie, nie umiem panu nawet powiedzieć jak. Wciąż o tem myślę.

— A wystarczyłoby, żeby pani raz pomyślała przez pięć minut, ale racjonalnie.

— Żeby pan racjonalnie myślał.

Miller uśmiechnął się pobłażliwie.

— Wszystko mi można chyba zarzucić, tylko nie nieścisłości myślenia. Moja siła — to mózg. Nikt, tak jak ja, nie zna jego maszynerji. Pani ma mózg źle nastawiony. Wystarczyłaby jedna sekunda refleksji, i pozbyłaby się pani wszystkich uprzedzeń. Tylko trzeba do-

brej woli, żeby się na ten sekundowy wysiłek zdobyć. Pani mnie słucha?

— Słucham — przytaknęła Wiertkiewiczowa dla świętego spokoju.

— Nie ulega wątpliwości, że istnieje między nami doskonała harmonja duchowa. Zgadzaliśmy się we wszystkich poglądach. Prawda? Bardzo często nawet nie potrzebowałem wypowiadać swoich myśli. Pani je odczuwała intuicyjnie. Prawda?

Wiertkiewiczowa w milczeniu skinęła głową.

— Rozdźwięk między nami istnieje tylko w zakresie fizycznego odczuwania — ciągnął. — Źle powiedziałem — poprawił się zaraz. — Niema rozdźwięku. Istnieje tylko uprzedzenie z pani strony. Przypuszczam, że doszlibyśmy do najzupełniejszej harmonji fizycznej.

Wiertkiewiczowa wzruszyła ramionami i przyśpieszyła kroku.

— Nie rozumiem. Bez wahania decydowała się pani na samobójstwo. Jest pani kobietą odważną. Niech pani spróbuje. To niczego nie dowodzi, jeżeli kobieta ma wstręt fizyczny do mężczyzny. Jeżeli nie przejdzie przy pierwszem zbliżeniu, to może przejść przy dziesiątem, dwudziestem, po pół roku, po roku, po dwóch, i wtedy kobieta nietylko odczuwa rozkosz, ale i niewypowiedzianą wdzięczność do mężczyzny, który potrafił jej tę rozkosz narzucić.

Własne doświadczenie Wiertkiewiczowej wykazywało zgoła co innego. Przyszła na nią fala obrzydzenia, nietylko do jej własnego życia, ale przedewszystkiem do

Millera. Starała się nie słuchać tego, co Miller mówił, ale wyrazy mimowoli wpadały jej w uszy.

— Ja pod tym względem może różnię się od wszystkich mężczyzn, że nie mam zwyczaju chwalenia się swojemi przeżyciami erotycznemi. Uważam to za ordynarne i wstrętne. Ale opowiem pani jeden wypadek ze swojego życia. Spędzałem raz przed wojną lato w Ostendzie. Cudowna plaża! Byłem zresztą wtedy zamożnym człowiekiem i mogłem sobie pozwalać na wszystkie fantazje. Poznałem kobietę, arystokratkę, której nazwiska nie wymieniam tylko dlatego, że paniby mi nie uwierzyła. Jest historyczne. Zakochałem się w niej od pierwszej chwili, a ona okazywała mi niewypowiedziany wstręt. Otóż zdarzyła się raz taka sytuacja. Spotkałem ją raz wieczorem na kurytarzu, tuż przed drzwiami mojego numeru. Mieszkaliśmy w jednym hotelu. Chwyciłem ją za ręce, zdrętwiała. Wciągnąłem ją do pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i klucz wyrzuciłem przez okno pierwszego piętra. Nie będę pani opowiadał szczegółów, takie chwile można tylko przeżyć. Po strasznym wstręcie, jaki mi okazywała przy pierwszych uściskach, przyszło na nią takie upojenie, że spędziliśmy ze sobą trzy dni, nie wychodząc z pokoju. Rodzina jej poszukiwała.

Miller tak się przejął tem opowiadaniem, że aż mu na twarzy wystąpiły rumieńce. Podniecał się sam fikcją, którą improwizował dla przekonania Wiertkiewiczowej. Ją zastanawiało co innego. Porównywała gadaninę Millera z erotycznemi majaczeniami męża

Tamten jeszcze nie umarł, gdy drugi warjat już jej się czepił.

— Co za dziwaczne przeznaczenie — myślała.

— Przysięgam pani, że w tem, co mówię, niema ani słowa przesady — odezwał się Miller.

— Być może. Ta pani zapewne była warjatką. Alboż to mało jest warjatek na świecie.

Miller zacisnął usta z wyrazem złości i mruknął po chwili.

— Pani jest dziwnie zimna istota.

— Trudno. Jaka jestem, taka jestem.

— Czas stwarza czasami dziwaczne paradoksy. Na to pani uratowałem życie, żebym je sam miał utracić.

Ta groźba już doprowadziła Wiertkiewiczową do rozpaczy. Zawzięła się i postanowiła nie odpowiadać wcale Millerowi. I system ten okazał się dobry. Po chwili Miller obraził się na nią i odszedł bez pożegnania.

Wiertkiewiczowa podniosła w kasie pięćset złotych i wróciła do panny Korczewskiej. Była tą nową znajomością oczarowana zupełnie. Mimo, że wogóle Mila nie zwierzała się przed nią ze swoich przejść, jednakże łatwo mogła zauważyć, że w życiu pięknej panny zaszedł jakiś dramat, który ją wytrącił z normalnych warunków. Wiertkiewiczowa starała się wciąż odgadnąć, co to mogło być takiego. Oczywiście, nie ośmieliłaby się nigdy zapytać o to Mili wprost. Ale wszystkie swoje zmartwienia i przejścia uważała już za małe i nieznaczne wobec nieznanych jej przejść Mili. Dla niej samej nowy okres życia, w jaki weszła od śmierci męża, uosabiał poprostu idealne szczęście. Czuła się bogata, wolna, niezależna

i nareszcie mogła rozporządzać swoim losem, tak, jak chciała.

Mila przyjęła pieniądze niedbale.

— Oddam pani w tych dniach.

— Ależ nic pilnego. Jeżeliby pani więcej potrzebowała, to proszę mi tylko powiedzieć. Taka pani jestem wdzięczna, że pani ma do mnie zaufanie. Mnie właściwie te pieniądze, tak, jak niepotrzebne, bo ja sobie przecież zarobię.

Mimo bardzo poczciwej intencji, z jaką to ostatnie zdanie było wypowiedziane, uraziło ono jednak Milę. Dopatrzyła się w niem pewnej poufałości. I odrazu postanowiła osadzić Wiertkiewiczową.

— Zarobi pani przedewszystkiem ode mnie. Zapłacę pani procent. No i będę pani dawała ciągle robotę.

Ta nieoczekiwana impertynencja wywarła na Wiertkiewiczową wprost oszałamiające wrażenie. Drżącemi rękami spakowała rozłożone rysunki i zgaszonym głosem zaczęła się żegnać z Milą.

Mili nie roztkliwiło jej zgnębienie, ale uprzytomniła sobie, że taka Wiertkiewiczowa była bardzo wygodna. Uścisnęła ją więc uprzejmie za rękę i odezwała się z przesadną serdecznością.

— Ja umiem charakter pani ocenić.

To Wiertkiewiczową rozbroiło odrazu.

XIX.

Po pewnym czasie Dołgucki zaczął mieć wątpliwości, czy jego przyjście było wogóle potrzebne. Z uczuciem zniecierpliwienia patrzał na Milę, która siedziała przed nim w fotelu z nogą wysoko założoną na nogę, wyzywająca, niemiła, sztuczna. Wizyta jego była wyrozumowana. Z tego, co go z różnych stron w formie niedomówionych plotek dochodziło o Mili, miał wrażenie, że się zupełnie wykoleiła z życia. Zbyt dobrze znał swoją dawną narzeczoną, aby pomysłu szukania karjery w kinematografie nie uważać za zupełną fikcję. I, starając się zapomnieć narazie o swoim osobistym stosunku do niej, narzucił sobie obowiązek spróbowania, czy niemógłby na nią w jakikolwiek sposób wpłynąć. Idąc, myślał o wszystkich niewątpliwych zaletach jej charakteru, jakgdyby na usprawiedliwienie we własnych oczach swojego czynu. Mila była prawa, ambitna, wytrwała, odważna, czego nawet dowód Dołgucki widział w jej ostatniej decyzji, i te jej walory stanowiły wartość, dla której należało jej pomóc. Szedł nawet na tę wizytę z głęboką niechęcią. Doznawał uczucia człowieka, który ratuje tonącego, mimo, że sam się boi utonąć. Dopiero podczas rozmowy okazało się, że poza tem szla-

chetnem stanowiskiem, z którego wynikało, że przygotowywał się zgóry na obojętne i nawet nieżyczliwe przyjęcie, kryła się pewność, że jego intencje będą odrazu odczute. Z początku, chcąc być bardzo wyrozumiałym dla cudzych stanów duszy, dawał Mili czas w myślach na otrząśnięcie się z nastroju, którym się zasugestjonowała, gdy jednak mimo jego całej prostoty i szczerości, rozdźwięk duchowy między nimi nie znikał, ogarnęło go zniecierpliwienie.

— Ale właściwie, co panu może na tem zależeć, czy to, co ja robię, ma sens, czy nie ma — przerwała chwilowe milczenie Mila.

— Mnie zawsze zależy na tem, żeby ludzie nie robili rzeczy, które nie mają sensu. A cóżby się stało ze światem, gdyby wszyscy robili głupstwa?

— Zawsze jest pan niepoprawnym moralizatorem cudzych błędów — roześmiała się Mila.

— Wszystko można zironizować, ale coprawda ja w swojem zachowaniu nie widzę powodów do ironji. Sprobójmy jeszcze pomówić spokojnie. Przyszedłem do pani poprostu z zapytaniem, czy nie mógłbym być jej na co potrzebny. Pani od pierwszej chwili zajęła wobec mnie zupełnie niewłaściwe stanowisko. Dlaczego nie chce mnie pani traktować jako człowieka życzliwego?

— Bo to, co pan nazywa życzliwością, jest tylko chęcią narzucenia mi swoich poglądów na życie. Ja mogę mieć inne. Dla mnie dowodem życzliwości byłoby co innego. Gdyby pan chciał mi dopomóc w tym kierunku, jaki obrałam.

— Pani z jednej rzeczy nie zdaje sobie sprawy.

że to, co pani nazywa swojemi poglądami na życie, jest tylko odruchem podrażnionej uczuciowości.

— Nie.

— Mówmy szczerze. Jeżeli karjera kinematograficzna ma pani zapewnić niezależność, to dlaczego pani nie zacznie odrazu realnie pracować, a stawia sobie cele, które mają wydać rezultaty dopiero kiedyś, w nieokreślonej przyszłości. I matematycznie można być pewnym, że żadnych rezultatów nie wydadzą. To, co pani teraz robi, to są kpiny.

— Przepraszam — przerwała mu Mila. — Zapewniał mnie pan przed chwilą, że pan przyszedł, kierując się tylko bezinteresowną życzliwością. Uwierzyłabym w to, gdyby między nami nie było nigdy innych uczuć. Może pan poprostu okólną drogą dąży do tego, żeby się ze mną ożenić. Proszę mi szczerze odpowiedzieć. Tak — czy nie?

— Nie — odparł stanowczo Dołgucki.

— Bardzo mnie to cieszy. Ze swej strony mogę pana zapewnić, że nigdy w życiu nie wyszłabym za pana zamąż. I to nie z powodu tego głupstwa, które stało się przyczyną naszego zerwania. Ja to dziś uważam za zupełne głupstwo.

— To nie było głupstwo. To była rzecz zasadnicza, dowód, że pani nie miała do mnie zaufania. A natomiast to, co mi pani dzisiaj mówi, że nie wyszłaby pani za mnie zamąż, to jest dla mnie zupełne głupstwo. Ja dziś o to już nie dbam.

— Doskonale to rozumiem. Panu zależało na

moim posagu. Romansował pan sobie naboku, a ja miałam na to dostarczać pieniędzy.

Zarzut ten wydał się Dołguckiemu wprost ordynarny. Uśmiechnął się pogradliwie i wzruszył ramionami.

— Wie pani, że to jest za płaski pomysł na najmarniejszy film.

— To było moje nieszczęście, że grałam rolę w takim marnym filmie. Teraz postaram się o wytworniejszą.

— Życzę pani powodzenia.

Dołgucki wstał z widocznym zamiarem odejścia, ale nie ruszał się z miejsca. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się mówić do kobiety w tak impertynenckim tonie, i doznawał uczucia, jakgdyby tego wszystkiego było jeszcze za mało, jakgdyby wściekłość, która go nurtowała, potrzebowała jeszcze wyładowania w nowych impertynencjach i obelgach. A równocześnie nie mógł od Mili oczu oderwać. Czuł jednak do niej ogromny zmysłowy pociąg. Mimo tonu rozmowy, dalekiego od wszelkiej zmysłowości, przez cały czas, kiedy przyglądał jej się, mówiąc, nieznacznie, na tyłach myśli wzbierało w nim pożądanie. I nagle wybuchło. Zdawało się, że wyzwoliły je z onieśmielenia impertynenckie, ostre słowa kłótni.

Mila to odgadła. I gniew jej zmienił się odrazu w uczucie triumfu. Po chwili patrzyła już na Dołguckiego prawie z politowaniem, tak jej się wydał, mimo wszystkich dumnych pozorów, bezsilny i bezbronny. Jednem skinieniem mogła go mieć u nóg. Myślała o tem

z zimną zawziętością. Wtuliła się w fotel i przy tym ruchu odsłoniła wyzywająco nogi. Widziała, jak wzrok Dołguckiego ślizgał się po jej łydkach i zatrzymał na wąskim pasku ciała, odsłoniętego ponad zgięciem kolana. — Ładne mam ciało — uśmiechnęła się i na sekundę zapomniała o kokieterji i o Dołguckim, pochłonięta nagle adoracją własnej urody.

— Panno Milu.

W tonie głosu Dołguckiego wyczuła już, jakby pierwszą zapowiedź prośby o przebaczenie. Ta kapitulacja sprężyła znów w niej gniew.

— Zdaje mi się, żeśmy sobie wszystko powiedzieli, cośmy mieli do powiedzenia — odezwała się, wstając z fotela.

— Ja panią najserdeczniej przepraszam za moje uniesienie.

— Nie zauważyłam, żeby się pan unosił. Mówił pan bardzo spokojnie.

— To było ohydne.

— Ohydne? Nie. Szczere.

— Panno Milu, postarajmy się zapomnieć o tej rozmowie.

— Mogę panu zaręczyć, że zapomnę.

Dołgucki mieszał się coraz bardziej. Poza ironją, w której mogła być przesada pozy, wyczuwał w głosie Mili jakiś niewypowiedziany chłód. I febrycznie trzęsło się w nim wrażenie, że z istotą, która się mogła na taki chłód zdobyć, żadne porozumienie nie było już możliwe. Odezwał się przytłumionym, pokornym głosem:

— Przecież tak się rozstać nie możemy.

— Dlaczego? Tak, czy inaczej, wszystko jedno.

— Jeżeli pozwoliłem sobie na taki ton względem pani, to jednak proszę pamiętać, że wynikło to z jak najserdeczniejszej troski.

— Ależ ja wcale nie życzę sobie, żeby pan się o mnie troszczył. Może pan sobie chyba zabawniejsze zajęcie znaleźć.

— Bydlę — wybuchnęła znów w Dołguckim wściekłość. O mało nie powiedział tego głośno. Opanowywał się przez chwilę i wreszcie odezwał się ze sztucznym spokojem.

— Wobec tego przepraszam panią jeszcze raz za wszystko, a zwłaszcza za to, że przyszedłem.

Mila popatrzyła na niego z ironicznym uśmiechem.

— Och, ty głupcze — myślała — zdaje ci się, że to od ciebie zależy odejście. — Poczucie wyższości nad Dołguckim łagodziło jej gniew.

— Dowidzenia panu — odezwała się, wyciągając do niego rękę. — I niech pan sobie nie wyobraża, że ja nie chcę pana widywać. Powiedział mi pan kilka przykrych rzeczy, ja panu również i uważam, że ten rachunek jest wyrównany. Gdyby pan kiedykolwiek jeszcze miał ochotę odwiedzenia mnie, proszę bardzo. Stawiam tylko warunek, żeby pan przyszedł, jako znajomy, a nie jak dobroczyńca i moralizator.

Dołgucki nic nie odpowiedział. Zimno dotknął ręki Mili i wyszedł z pokoju. Ostatnie jej słowa, a zwłaszcza ton tak go znów rozdrażniły, że obawiał się poprostu jakiegoś wybuchu. Wolał się usunąć, póki, jeszcze mógł panować nad sobą.

Pierwszem wrażeniem Mili po wyjściu Dołguckiego było zadowolenie. Wytrzymała całą rozmowę tak, jak chciała. Ale długie naprężenie nerwów wprawiło ją w stan niezwykłego podniecenia. Pokój wydał jej się nagle tak duszny, że musiała okno otworzyć. Obeszła kilkanaście razy salon dookoła, i zakręciło jej się w głowie, tak, jakgdyby była trochę pijana. Wciąż myślała o Dołguckim. Ani słowa nie wierzyła temu, co mówił. Cała ta szlachetność była tylko pretekstem, aby ją zobaczyć. Z tej strony chciał ją podbić. Głupiec. Pewność, że mogła kręcić nim, jak papierowym pajacem, napełniała ją jakąś pogardliwą niechęcią. Postanowiła ściągnąć go za kilka dni do siebie i znów podręczyć. Tak mu zabawnie zamgliły się oczy, kiedy patrzał na jej łydki. Zatrzymała się nagle przed lustrem i szybkim ruchem podniosła suknię. Przez chwilę z uśmiechem przyglądała się swoim nogom.

— I to miało być dla tego durnia.

Nienawidziła Dołguckiego. Ale nieznacznie nienawiść ta z brawurowej pianki zaczęła się przeradzać w ponury, ciężki osad, który chmurzył jej duszę. Jednak nie kto inny, tylko Dołgucki wypaczył jej życie. Wszystko zaczęło się tej fatalnej nocy. Matka kryła się zawsze ze swojem uczuciem, ale bardzo głęboko przejęła się ich zerwaniem, i może właśnie ta nieujawniona, nurtująca ją troska przyczyniła się do pogorczenia choroby. Więc nawet śmierci matki pośrednio był winien Dołgucki. Rozpętał nieszczęście.

Milą dreszcz wstrząsnął. Nieraz już myślała o tem rozpętaniu nieszczęść i przyśniło jej się to nawet w for-

mie tak skończonego i wyraźnego obrazu, że miała go w pamięci, jakby wspomnienie rzyczywistego przeżycia. Śniło jej się, że siedziała z matką w jej pokoju w Górkach, ale równocześnie widziała cały dwór z zewnątrz i to ze wszystkich stron odrazu. Była głucha, ośnieżona noc. Na niebie, pokrytem skłębionemi chmurami, jaśniejszy szlak znaczył drogę księżyca. Gałęzie drzew bezlistnych przypominały rozpaczliwie powyciągane ku niebu ręce. I nagle uczuła, jak jej z przerażenia zamiera serce w piersiach. Ze śniegu powstawały jakieś mgliste widziadła o potwornych ludzkich kształtach, płynęły, ciężko się kołysząc, pod dom i oblepiały ściany. Wiedziała, że to były nieszczęścia, i że gdzieś wewnątrz domu ukrywa się Chwila, która ma im wyżłobić w murze przejście. Chciała się zerwać, krzyczeć o ratunek, ale nie mogła ani głosu z gardła wydobyć, ani się ruszyć z miejsca. I zobaczyła przed sobą Chwilę. Był nią maleńki Dołgucki. Zamiast nóg miał wskazówki od zegarka. Szybko przebiegł przez pokój i wdrapał się na okno.

Od czasu tego snu bała się nawet przesądnie samego zestawienia wyrazów rozpętanie nieszczęść. I gdy nagle wpadły jej w myśli i zamąciły zabobonnym łękiem duszę, zaostrzyła się w niej odrazu nienawiść do Dołguckiego.

— Ja ci się odpłacę — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

XX.

Nigdy w życiu chyba jeszcze Dołgucki nie przeżywał tak ciężkiego i przykrego stanu ducha, jak po wyjściu od Mili. Chciał ją w uczuciach swoich zlekceważyć i sponiewierać i zdawał sobie sprawę, że to była tylko bezsilność. Zapanowała nad nim zmysłami, i po dziesięciu minutach buntu już sobie zaczął tłumaczyć, że musi się z nią jak najprędzej zobaczyć, żeby dopowiedzieć pewne rzeczy. Pomijał jej wyraźne szyderstwo i czepiał się tylko myślą formalnego zaproszenia. Znajdywał w tym pierwsze tchnienie ulgi. Mógł wrócić. Ale ma się rozumieć uczucia jego nie rozwijały się w jakimś jednym konsekwentnym kierunku. Po chwili następowało załamanie i nawrót do niechęci, gniewu, a nawet nienawiści. Po postanowieniu, że wróci, oburzał się na siebie i przysięgał, że nigdy w życiu nie będzie się starał jej zobaczyć. W takich nawrotach wyraźnie widział całą bezradność wykrętu o dopowiadaniu pewnych rzeczy. Cóż miał jej dopowiadać. Rozpoczynać na nowo: „Pani nie ma racji, pan nie ma racji", jak uczeń i pensjonarka. Właściwie ona ujęła sprawę po męsku. Powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. I ogarnęło go uczucie bezdennego upokorzenia. Nie ofiaruje się naj-

lepszych, najczystszych porywów serca tam, gdzie wiadomo, że je wdepczą w błoto. Ale w największym zapale tego rodzaju rozumowań przerywał mu się nagle tok myśli, i znów wyczuwał w sobie tylko gorączkową niecierpliwość, żeby jak najprędzej zobaczyć Milę. Świadomość tych uczuciowych skoków pogłębiała w nim jeszcze bardziej ciężki i przykry bezład w duszy.

Z godzinę kręcił się bez celu po ulicach i wreszcie postanowił szukać jakiegoś towarzystwa. Poprostu, żeby mechanicznie zmusić się do rozmowy i śledzenia uwagą czyichś myśli. Ponieważ postanowienie to powziął niedaleko od mieszkania Millera, więc poszedł do Millera. Było mu zupełnie obojętne z kim i o czem miał rozmawiać. Rozmowa zgóry przejmowała go wstrętem, i tylko siłą woli się do niej zmuszał. Zapukał gwałtownie do drzwi.

— Kto tam — rozległ się głos Millera, podobny do przeciągłego ziewnięcia.

— To ja, Dołgucki... Otwórz. Co to chory jesteś — odezwał się ze zdziwieniem, ujrzawszy przed sobą Millera, brudnego, zarośniętego z rozczochranemi włosami, w letniem palcie, zarzuconem na koszulę.

— Trochę.

Żeby mu otworzyć, Miller wstał z łóżka i odrazu zpowrotem wrócił pod kołdrę. Na krześle, przy łóżku, leżała szachownica z rozstawionemi figurami. Jednej wieży brakowało i zastępowała ją szpulka od nici.

— Cóż ci dolega?

Miller skrzywił się niewyraźnie i po chwili mruknął:

— Nie zrozumiesz.

— A cóż to za tajemnicza choroba?

— Nie tajemnicza. Bardzo powszechna, tylko ludzie nie zdają sobie sprawy, że można ją leczyć odpowiedniemi środkami tak, jak katar, tyfus, albo zapalenie płuc.

— No, ale cóż to?

Miller popatrzył na Dołguckiego tak, jakby się zastanawiał, czy będzie on zdolny do zrozumienia jego odpowiedzi.

— Miłość — odparł wreszcie krótko.

— Zwarjował — pomyślał Dołgucki.

— Nie, nie zwarjowałem — odezwał się Miller, odgadując bez trudu myśl kolegi. I gdybyś się chciał logicznie i bez uprzedzeń zastanowić nad tem, co powiem, musiałbyś mi przyznać słuszność. Przekonanie, że nie można się w życiu obejść bez jakiejś kobiety, jest ostatecznie takiem samem urojeniem, jak, naprzykład obawa przed ciągłem prześladowaniem. Dlaczego jedne urojenia mamy uważać za stan chorobliwy, a drugie za normalny i nawet wzniosły. Każdy obłęd w istocie jest tylko przerostem naturalnych cech charakteru, czy raczej temperamentu. Naturalną jest rzeczą, że ludzie czują do siebie sympatję, i że istoty odmiennej płci pożądają się wzajemnie. Ale przerost tych uczuć w stosunku do jednej osoby jest chorobą. Powiedz mi, czy nie rozumuję logicznie.

— Owszem — odparł Dołgucki, w którym bajdurzenia Millera wzbudziły jakieś pobłażliwe zaciekawienie.

— Czekaj, na chwilę jeszcze odbiegnę od tematu — ciągnął Miller, ożywiając się znacznie. — Największym chyba darem, jaki Bóg dał ludziom, jest świadomość myślenia. I to właśnie ludzie najbardziej lekceważą. Słuchają się nieokreślonych instynktów, mglistych uczuć, a uciekają od jasnego myślenia. Dlatego może tak trudno było mi zawsze porozumiewać się z moimi bliźnimi. Bo ja nietylko umiem, ale chcę zawsze myśleć logicznie.

— I na zasadzie logicznego rozumowania doszedłeś do wniosku, że miłość jest chorobą.

— Tak. Pozornie wygląda to na paradoks. Ale czem wytłumaczyć to niezwykłe zainteresowanie, jakie ludzkość okazuje dla cierpień, spowodowanych przez miłość. Przecież na tem opiera się cała literatura. Odrzuć to wszystko, co było napisane o nieszczęśliwej miłości, i bardzo niewiele pozostanie. Jest zło trapiące nagminnie ludzkość, która zdaje sobie z tego sprawę. Tylko ci, co piszą, traktują przedmiot po dyletancku, bez odwagi wyraźnego spojrzenia na zjawiska. Przeważnie są sami chorzy. I zasugestjonowani ogromem tego, co napisano przed nimi. A jeżeli weźmiemy nawet miłość szczęśliwą, która jest jakoby najwyższą ozdobą życia, to i to jest choroba, tak samo, jak korona klejnotów — perły, nie jest niczem innem, tylko chorobą ślimaków.

— Ale człowiek szczęśliwy w miłości jest obdarowany, a małża, wydzielająca perły, poszkodowana.

— Pozwól sobie przypomnieć banalne i potoczne powiedzenie, że ludzie zakochani głupieją. Będziesz

miał odpowiedź na swój argument. Szczęśliwa miłość tak wchłania człowieka, że czyni go już niezdolnym do żadnej innej ekspansji. Jest to także stan chorobliwy. Świat za ciekawy jest chyba, żeby go przekreślać i widzieć tylko jedną istotę. Mówiłeś o perłach. Niestety, najszczęśliwsza miłość nie wydaje tak pięknych wydzielin, jak perły.

— Więc według twego zdania, trzeba leczyć i szczęśliwą miłość.

— Z tem to już jest tak, jak z nałogami. Nie leczy ich się, bo są przyjemne, dopóki nie zaczną szkodzić.

— A jakżeż ty się leczysz?

— Myśmy w domu mieli przyjaciela, bardzo dobrego lekarza, który nas leczył, jako dzieci. Otóż zasada jego była taka, żeby przy pierwszych objawach choroby brać na przeczyszczenie i kłaść się do łóżka. Zdaje mi się, że jako wstępu do wszelkich kuracyj, niema w medycynie nic mądrzejszego. Więc ja zrobiłem to samo. Położyłem się do łóżka i piję wodę gorzką.

— I pomogło ci? — uśmiechnął się Dołgucki.

— Bardzo. Organizm lżej pracuje, dzięki czemu mój aparat myślowy może swobodniej funkcjonować. Zdaję sobie sprawę z tego, że to jest bardzo prymitywna kuracja. Ale przecież ja szukam poomacku. Gdybym miał lekarstwo, byłbym najbogatszym człowiekiem na świecie. A, że lekarstwa takie istnieją, nie ulega najmniejszej wątpliwości. W każdym zabobonie i przesądzie, mojem zdaniem, tkwi odrobina prawdy. Otóż, od stworzenia świata

istnieją najrozmaitsze magiczne medykamenty na zakochanie i odkochanie. Oczywiście, trudnią się tem szarlatani. Ale doniedawna w racjonalnej medycynie i leczenie ziołami uchodziło za szarlatanerję. A któż zaręczy, mój drogi, że taki jakiś talizman na miłość, którego sekret przechowuje się tradycyjnie od niepamiętnych czasów, nie zatruwa poprostu organizmu i sztucznie nie wywołuje chemicznych zmian, które uwarunkowują objawy miłości. Przecież medycyna współczesna jest na drodze do sprowadzenia wszystkiego do chemji. Za każdym wybuchem, uniesieniem, przygnębieniem kryje się jakiś proces chemiczny. Przecież nawet symboliczne umiejscowienie miłości przenosi się już z serca do wątroby. Wracając do mojego poszczególnego wypadku, doszedłem już do tego, że na osobę, w której się zakochałem, mogę patrzeć objektywnie.

— I jakżeż ci się przedstawia?

Miller zmarszczył brwi i po chwilowym namyśle odparł krótko.

— Ścierwo.

— Aż tak?

Dołgucki domyślał się, oczywiście, że chodziło o Wiertkiewiczową.

— Głupia istota — ciągnął Miller. — Cielęcy mózg. Cała jej filozofja zamyka się w jednej odpowiedzi — nie. Ale niby dlaczego nie, nad tem nigdy nie chciała się zastanowić. Typowo kobiecy umysł. Rozbijałem nieraz kwestje na punkty. Punkt po punkcie przyznawała mi słuszność. Uosabiałem wszystkie te

warunki, jakim, w jej pojęciu, powinien odpowiadać człowiek, w którym mogłaby się zakochać. Ale, gdy dochodziło do syntezy, padał jej odrazu jakiś tuman na mózg, i wyłaziła z niej idjotka.

— Więc jesteś prawie uleczony?

— Nie. Jeszcze niezupełnie. Objektywny pogląd nie zapanował we mnie nad zmysłami. W tej chwili jeszcze wolałbym ją mieć z całą jej głupotą. Ale to przejdzie — dodał po chwili. — Gdybym był niezależniejszy materjalnie, szybciejbym się wyleczył. W tej chwili jestem zupełnie odcięty od kobiet.

— Myślisz, że znalazłbyś taką, którąby ci zastąpiła twoją miłość?

— Powiedzenie, że niema ludzi niezastąpionych, jeszcze bardziej stosuje się do kobiet.

— Więc znów byś się rozchorował.

— Sam fakt współżycia z kobietą nie jest jeszcze chorobą. Jest nawet konieczny tak, jak konieczna bywa pewna ilość bakteryj. Ja mówię o chorobie, to znaczy o takim przyroście uczuć, który przeszkadza normalnemu życiu. Tylko należy strzec się zakochania.

Mimo, że wszystkiego, co Miller mówił, Dołgucki słuchał, jak bredzenia warjata, jednakże dowodzenia kolegi budziły w nim pewne analogiczne myśli, tyczące się jego własnej sytuacji. Jeśli pierwszym stopniem do wyleczenia się ze źle umieszczonych uczuć miał być objektywny pogląd, to tego mu nie brakło. Powtarzał sobie, że nietylko mógł, ale powinien podjąć ten sam

wysiłek, do którego Miller dążył w głupi sposób. Bezradne szamotanie się Millera budziło w nim sympatję.

— No, ale długo zamierzasz się leczyć?

— Nie wiem.

— Nie możesz biura opuszczać.

— Ja już nie jestem w biurze — odparł Miller.

— Jakto? Straciłeś posadę? — wykrzyknął Dołgucki, którego bardziej to przejęło, niż cierpienie miłosne Millera.

— Sam podziękowałem. Nie mogłem wytrzymać. Trudno. Nie chcieli ze mnie skorzystać w sposób, który mógłby być dla nich naprawdę użyteczny, a znów na odrabianie jakiejś bezmyślnej pańszczyzny nie pozwalały mi moje zasady. I w dodatku wplątała mi się jeszcze ta głupia choroba. Gdyby nie to, możebym zacisnął zęby i poszedł na kompromis, ale nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Za późno zacząłem się leczyć — westchnął i zapatrzył się tępo przed siebie. Twarz jego przybrała nagle taki pokorny i zalękniony wyraz, jak wówczas, gdy pierwszy raz w zimie przyszedł do Dołguckiego.

XXI.

Mila z pogardliwym uśmiechem przyglądała się scenie, którą improwizowała na zadany temat para adeptów szkoły filmowej. Miała to być scena miłosna między dwojgiem ludzi z doborowego towarzystwa. Odtwarzali ją: w charakterze damy jakaś mizerna żydóweczka, a w charakterze młodego arystokraty — ordynarnie przystojny brunet, z typowo proletarjackim wyrazem twarzy. Milę śmieszyły ich przesadne ruchy i karykaturalna elegancja. Sama ona zajmowała w szkole wyjątkowe stanowisko. Od chwili, gdy zapłaciła cały wpis zgóry, otoczyła ją legenda niesłychanej zamożności. Dla dyrekcji szkoły był to fakt tak oszałamiający, że zagórował nad wszystkiemi innemi wrażeniami, i dopiero potem zaczęto zwracać uwagę na bardziej przekonywające dowody bogactwa nowej uczennicy. Imponowała biżuterjami, sukniami i tą swobodą zachowania, jaką dają duże pieniądze. W pierwszych dniach wszyscy tłumaczyli to sobie w bardzo prosty sposób, że nowa koleżanka była przez kogoś bardzo luksusowo utrzymywana. Niebawem jednak, jakiemiś nieznanemi drogami zaczęła przeciekać do szkoły prawda o pannie Korczewskiej, oczywiście odpowiednio upo-

etyzowana. Zrobiono z niej dziedziczkę miljonowej fortuny, a niektórzy utrzymywali, że nazwisko Korczewska, było tylko pseudonimem, za którem ukrywała się przedstawicielka jednej z najbardziej znanych książęcych rodzin. Pogłoski te wyprowadziły zupełnie z równowagi duchowej dyrekcję szkoły. Kilku wspólników, wegetujących dotychczas na manjactwie filmowem młodzieży drobnomieszczańskiej, uległo nagle olśniewającym halucynacjom. Za pieniądze panny Korczewskiej budowali już olbrzymią wytwórnię, i majaczyły im się w wyobraźni filmy o niebywałym przepychu. Wskutek tego nauka Mili rozpoczynała się przy akompanjamencie ogólnego entuzjazmu.

Mila wierzyła w te wszystkie zachwyty, i z odpowiedzi jej w pierwszych próbnych rozmowach o wytwórni można było wnioskować, że plan ten bardzo jej się podoba. Mimo zdecydowanej pogardy, jaką czuła dla całego środowiska, nasiąkała niepostrzeżenie ogólnym obłędem, że nic nie było łatwiejszego, jak zostać wielką gwiazdą. Dobrała sobie pewne kółko z pośród kolegów i koleżanek i wodziła ich po kawiarniach, płacąc zawsze za wszystkich. Sprawiało jej to podwójną przyjemność. Z wysłuchiwania pochlebstw, jakiemi odwdzięczano jej się za libację, i z ciągłego porównywania siebie z tem nowem otoczeniem. Wciąż się czuła nieskończenie wyższą. Było to łatwe zwycięstwo, ale ambicja Mili, urażona przejściem z ojcem, zadowalała się narazie i łatwemi zwycięstwami.

Przystojny brunet i żydóweczka skończyli scenę, i do Mili zbliżył się pan Mazurkiewicz, dyrektor szko-

ły. Był to wysoki, łysawy młodzieniec, pozujący na Amerykanina.

— Może pani teraz pozwoli — odezwał się z wyszukaną uprzejmością.

— A cóż mam robić?

— Tak samo scenę miłosną. Panie Witoldzie — zwrócił się do jednego z uczniów. Był to drobny, szczupły chłopiec, o głowę niższy od Mili, ale ponieważ należał do paczki, która ciągle jej towarzyszyła, więc dyrektor przeznaczył go już i na jej partnera w nauce.

— Zaczynajcie, państwo — odezwał się komenderującym głosem. — Sytuacja jest taka. Młoda kobieta z arystokracji, namiętna, pełna temperamentu, subtelna, robi scenę zazdrości kochankowi. On jest skoncentrowany, skryty, panujący nad sobą, ale w pewnej chwili wybucha. Pan siada tutaj, pani stoi tam — wskazał miejsca. — Pan wie, o czem będzie mowa, i w twarzy pańskiej można wyczytać niepokój.

Pan Witold skrzywił się tak zabawnie, że Mila omało nie wybuchnęła śmiechem. Po chwili zaczęła grać sama, wykrzywiała się najniemiłosierniej, i pan Mazurkiewicz z niepokojem wodził tylko wzrokiem po reszcie uczniów, bojąc się, żeby kto z nich nie roześmiał się głośno. Widoczne było, że Mila nie posiadała najmniejszych zdolności mimicznych. Gra jej sprowadzała się do tego, że miała wciąż karykaturalnie wykrzywione usta i wykonywała szereg bezładnych ruchów. Ale sama przejmowała się swoją grą. Drażnił ją partner. Wreszcie przestała na niego patrzeć. I zaczęła sobie

nagle wyobrażać, że przed nią, na miejscu pana Witolda, znajdował się Dołgucki. W miarę, jak się sugestjonowała tą myślą, ruchy jej zaczynały się stawać prostsze i naturalniejsze. Pan Mazurkiewicz ze zdziwieniem przyglądał się swej cennej uczennicy. Po raz pierwszy panna Korczewska nie wydała mu się wyzbytą wszelkiego cienia talentu.

— Może się z tego kółka co wykrzesze — pomyślał. — Wprawdzie jest stanowczo za wielka, no, ale w jakichś specjalnych rolach... Świetnie, świetnie! — krzyknął głośno.

Po skończeniu sceny, cała szkoła zaczęła robić Mili owację. I aczkolwiek Mila była już do tego przyzwyczajona, jednakże tym razem prawdziwość zachwytów potwierdziło jej własne poczucie. Nie mogła ochłonąć z podniecenia. Dyrektor Mazurkiewicz, obserwując jej rozgorączkowanie, uznał chwilę za odpowiednią do wykonania pewnego ataku, którego zamiar od kilku dni snuł mu się już po głowie. Odciągnąwszy Milę na stronę, odezwał się patetycznym tonem:

— Ja jestem nieuczciwy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wziąłem od pani za naukę pieniądze, a czegóż ja panią nauczę. Pani posiada tak cudowną intuicję, że wszystko zgóry odgaduje pani sama. Uważała pani, że dziś podczas całej sceny nie odezwałem się ani słowa. Ja się od pani uczyłem.

Mila zaczerwieniła się z radości.

— Przesadza pan.

— Nie. W rzeczach sztuki nie unoszę się nigdy

łatwym entuzjazmem. Jako pedagogowi zarzucają mi nawet zbytni krytycyzm. Podobno mrożę wrażliwsze natury. Mojem zdaniem, jest to zarzut niesłuszny, ale spotykałem się z nim. Prawdziwego talentu zmrozić nie można, bo talent jest słońcem. Albo się z nim człowiek rodzi, albo nie. Pani się urodziła z wyjątkowym talentem, z wy-jąt-ko-wym — powtórzył drugi raz po chwili, rozstawiając sylaby.

— To dziwne. Nigdy w życiu nie interesowałam się kinematografem.

— Nie! — wykrzyknął Mazurkiewicz. Cofnął się krok wtył i patrzył na Milę wzrokiem, w którym się malowało najwyższe osłupienie.

— Dlaczego pan dyrektor tak się dziwi.

Dotychczas Mila, traktująca wszystkich w szkole z góry, nigdy nie nazywała Mazurkiewicza dyrektorem. Ale za tyle miłych rzeczy, jakie jej powiedział, należała mu się rekompensata.

— Ja sądziłem, że pani nie wychodziła z kinematografu. Że pani podpatrywała tajemnice gry.

— Bardzo rzadko bywałam.

— Pani jest genjuszem ruchu i linji.

— A pan mnie nie chce uczyć — roześmiała się Mila.

— Pani już nie potrzeba nauki. Pani powinna grać.

— A któż mnie zaangażuje?

— Jest taka kombinacja, która, gdyby doszła do skutku, dałaby pani możność wystąpienia na ekranie.

I to w filmie, który, moim zdaniem, mógłby oblecieć cały świat. Pierwszy europejski scenarjusz w Polsce.

— Czyj? — wykrzyknęła Mila z zaciekawieniem.

— Amatora. W tej chwili nie jestem upoważniony do wyjawienia nazwiska. Człowiek, który stoi zdaleka od literatury. Wielki pan, dyletant, podróżował po całym świecie, koncertowo gra na fortepianie. I napisał film. Któryś z psychologów bardzo mądrze powiedział, że każdy człowiek ma przynajmniej jeden genjalny pomysł w życiu, tylko albo nie zwraca na niego uwagi, albo zapomina. Otóż, mojem zdaniem, ten film powstał w chwili takiego natchnienia. Jest genjalny, bo jest prosty. Wszystko, co jest genjalne, jest proste. Wymarzona rola dla pani.

— Niechże mi pan ten scenarjusz pokaże! — wykrzyknęła Mila.

Mazurkiewicz spochmurniał nagle.

— Mógłbym poprosić o wypożyczenie, ale nie wypada mi. Trzebaby kupić.

— Kupić?

W głosie Mili zabrzmiało rozczarowanie. Mazurkiewicz spojrzał na nią z widocznem zaniepokojeniem.

— Jeżeli to taki bogaty człowiek, dyletant, to może zażądać jakiejś nieprawdopodobnej sumy.

— Nie — odparł szybko Mazurkiewicz.

— A ileżby chciał?

— Tysiąc pięćset złotych.

— Tylko?

— Ale trzebaby pieniądze dać zaraz.

Mila nic nie odpowiedziała. Mazurkiewicz odgadł,

iż i suma, jaką stawiał niesłychanie bogaty człowiek, i pośpiech, z jakim żądał pieniędzy, budziły w niej powątpiewanie, co do wartości samego arcydzieła. Zaczął szybko mówić:

— To dziwak, proszę pani. Pieniądze dla niego nic nie znaczą, tylko ponieważ napisał scenarjusz, więc uparł się, żeby go sprzedać. A dlatego tak prędko domaga się pieniędzy, bo to będzie pierwszy jego zarobek w życiu. Bawi go to, że dostanie honorarjum autorskie. Ostatecznie, gdyby to pani miało sprawiać trudności.

Mila wzruszyła ramionami.

— Taka suma nie może sprawiać trudności. Chodzi tylko o to, czy naprawdę scenarjusz nadawałby się dla mnie.

— Wymarzona rola, wymarzona...

— Ale potem wykonać trzeba.

— Znajdziemy finansistów. Miejmy tylko ten scenarjusz. Pani nie zna kulis kinematrograficznego życia. Finansiści zawsze zaczynają rozmowę od tego, czy jest dobra aktorka i dobry scenarjusz. Jeżeli jest jedno i drugie — pieniądze na stole. Jeżeli niema — skończona rozmowa. W świecie kinematograficznym niema miejsca na projekty. Muszą być fakty. To jest esencja współczesności.

— Niech pan kupi ten scenarjusz. Dam panu jutro tysiąc pięćset złotych.

Pan Mazurkiewicz zatarł ręce z triumfującym uśmiechem. Ale w pół godziny potem, kiedy został sam w kancelarji, ogarnęła go melancholja. W projektach postanawiał nie rozdrabniać interesu, tylko skoro

opatrzność zsyłała mu tak wyjątkową okazję, zrobić odrazu to, co nazywał w myślach — wielką kombinacją — to znaczy, wyciągnąć od panny Korczewskiej poważniejszą sumę. Wysokość tej sumy ulegała wahaniom. Od trzystu — do pięćdziesięciu tysięcy złotych. A skończyło się na tysiącu pięciuset. W ostatniej chwili jeszcze chciał powiedzieć pięć tysięcy, i jakoś nie przecisnęło mu się to przez gardło. Ta nieśmiałość, w której widział lęk wiecznego golca przed cyframi, napełniała go obrzydzeniem do siebie samego. Zaczynał wątpić, czy do czegokolwiek w życiu dojdzie. Ponieważ jednak z natury był optymistą, więc dość szybko się pocieszył, znalazłszy źródło otuchy w przysłowiu — pierwsze koty za płoty.

— Dobre i tysiąc pięćset złotych — mruknął. — Byle tylko dotrzymała.

O tem samem myślała i panna Korczewska. Związała się obietnicą, której nie wiedziała, jak dotrzymać, bo nie była pewna, czy Wiertkiewiczowa będzie jej mogła dostarczyć takiej sumy. O zastawieniu biżuterji nie myślała już nawet. Uważała to za niedopuszczalną prywację. Od czasu wizyty Dołguckiego nabrała niesłychanego tupetu. Czuła za sobą rezerwę.

Posłała po Wiertkiewiczową, i odrazu zaczęło ją niecierpliwić oczekiwanie. Gdy minęły dwie godziny, a Wiertkiewiczowa się nie zjawiała, uczuła się poprostu urażoną. Uważała to jakby za impertynencję, że Wiertkiewiczowa nie siedziała w domu i nie czekała na jej list. To też kiedy przyszła koło dziewiątej wieczorem, przyjęła ją wybuchem gniewu.

— Ostatni raz tak długo na panią czekam.

Wiertkiewiczowa była tak zdyszana, że ledwo mogła mówić. Mila wywierała na nią jakiś hipnotyczny wpływ. Usłyszawszy wyrzut, zmieszała się odrazu tak, jakgdyby rzeczywiście popełniła jakieś przewinienie. I pośpiesznie zaczęła się usprawiedliwiać.

— Przed chwilą dopiero wróciłam do domu i dostałam pani kartkę.

— A gdzież pani lata?

— Byłam na odczycie — szepnęła cicho Wiertkiewiczowa.

Mila wzruszyła ramionami.

— Co pani z temi odczytami!

— Był bardzo ciekawy. Pan Dołgucki jest niezrównany w swoich popularno-naukowych wykładach. Mówi tak pięknie, a zarazem tak przystępnie, że można się mnóstwo nauczyć. Pani powinnaby się kiedy na jego odczyt wybrać.

— Zdaje mi się, że pani idealizuje jak zwykle — odparła lekceważąco Mila. — Ja przecież Dołguckiego znam doskonale. Ale wolę jego urodę, niż inteligencję.

Mówiąc to, Mila stała odwrócona tyłem do Wiertkiewiczowej i dlatego nie mogła zauważyć nagłej zmiany w wyrazie jej twarzy. Sama zresztą była trochę zmieszana.

— Pani uważa, że pan Dołgucki jest taki ładny? — zapytała po chwili Wiertkiewiczowa przytłumionym głosem.

— Musiałabym długo myśleć, nimbym sobie przypomniała, czy znałam kogo ładniejszego.

Odpowiedź ta wyrwała się Mili odruchowo, i odrazu ogarnęła ją złość, że wdaje się w niepotrzebne zwierzenia, choć, oczywiście, Wiertkiewiczowa nie mogła mieć pojęcia, że to były zwierzenia. A Wiertkiewiczowa w tej chwili dopiero uprzytomniła sobie, że i jej również wydawał się Dołgucki najpiękniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziała. I nagle przyszło jej na myśl, że taka wspaniała panna, jak Mila, tworzyłaby z Dołguckim wymarzoną parę. Fakt, że Mila znała Dołguckiego, niesłychanie ją ucieszył. Uczuła nieprzepartą chęć porozmawiania o nim.

— Pani go dawno zna?

— Dość dawno.

— Dla mnie najsympatyczniejsze w panu Dołguckim jest to — ciągnęła Wiertkiewiczowa — że odrazu się widzi, że to szlachetny człowiek.

I umilkła, jakby zmrożona nagle ironicznym uśmiechem Mili.

— Spóźniony Don-Kiszot — odezwała się Mila. — Pani wie, kto to był Don-Kiszot?

— Jakżeż! — wybuchnęła Wiertkiewiczowa. — Nie mogłam przecież takiego arcydzieła nie czytać. Kilka razy czytałam. Ale dlaczego pan Dołgucki ma być podobny do Don-Kiszota?

— No, bo zamiast myśleć o sobie, wiecznie się kimś opiekuje i zawsze niefortunnie. Myśmy zawsze w domu mówili, że cierpi za miljony.

— Z tego chyba nie można robić zarzutu.

— Zdolny człowiek, ale dalekoby lepiej zrobił, żeby pomyślał o swojej karjerze. Ale ja o czem innem

chciałam z panią mówić — przerwała nagle Mila. — Potrzeba mi trzy tysiące złotych.

— Z największą przyjemnością pani pożyczę.

— To niech mi pani jutro przyniesie. A cóż szal?

— Mam ze sobą. Skończyłam. Bardzobym pragnęła, żeby się pani podobał.

— Niech pani narzuci na siebie. Zobaczę.

Wiertkiewiczowej przypomniało się nagle jak przymierzała suknię narzeczonej Dołguckiego. Zdjął ją wstyd i strach. Ale wobec rozkazującego tonu panny Korczewskiej była bezsilna. Nieśmiało, niezgrabnie okryła się szalem i pochyliła głowę, mrużąc oczy.

Mila przyglądała jej się przez chwilę.

— A wie pani, że pani wcale nieźle wygląda.

Mila sama była zdziwiona. Traktowała Wiertkiewiczową z taką wyższością, że nawet jej się nigdy dokładnie nie przyjrzała. W tej chwili dopiero po raz pierwszy doznała wrażenia, że Wiertkiewiczowa była zupełnie ładna. Pod cieniem czarnego, żałobnego kapelusza twarz jej zarumieniona, niesłychanie delikatna, z błyszczącemi, szaremi oczami, miała wyraz jakiejś bezradności i zarazem słodyczy. We wzorzystym szalu budziła w Mili wrażenie portretowej fantazji. Powiedziała to głośno. Wiertkiewiczowa spojrzała na nią tak, jakgdyby się chciała doszukać w słowach Mili ironji, i jednocześnie uśmiechnęła się radosnym, ślicznym uśmiechem.

---

chciałam sprawić znowu — przerwała nagle Mila. Potrzeba mi trzy tysiące złotych.

— Z największą przyjemnością pani pożyczę.

— To niech mi pani jutro przyniesie. A coś złe...

— Mam ze sobą. Skończyłam. Bardzobym pragnęła, żeby się pani podobał.

— Niech pani narzuci na siebie. Zobaczę.

Wierzbiewiczowej przypomniało się nagle jak przestrzegała swego narzeczonego Dołęgockiego. Czuła wstyd i strach. Ale wobec rozkazującego tonu panny Korczewskiej była bezsilna. Niewiele myśląc, niezwłocznie okryła się szalem i pochyliła głowę, mrużąc oczy.

Mila przyglądała jej się przez chwilę.

— A wie pani, że pani wcale nieźle wygląda.

Mila sama była zdziwiona. Traktowała Wierzbiewiczową z taką wyższością, że nawet jej się nigdy dokładnie nie przyjrzała. W tej chwili dopiero po raz pierwszy dostrzegła wreszcie, że Wierzbiewiczowa była zupełnie ładna. Pod szalem czarnego, żałobnego kapelusza twarz jej zamaskowana, niezwykle delikatna, z błyszczącymi, czarnymi oczami, miała wyraz niejasnej bezradności i zarazem słodyczy. We wzruszonym wzroku lustała w Mili wrażenie gorączkowej fantazji. Powiedziała to głośno. Wierzbiewiczowa spojrzała na nią tak, jakby chciała doszukać w słowach Mili ironii, i jednocześnie uśmiechnęła się radosnym, ślicznym uśmiechem.

XXII.

— Bardzo pan dobrze zrobił, że pan przyszedł.

Dołguckiego niemile dotknęło to przywitanie. W tonie Mili, napozór przyjaznym i naturalnym, było coś niesłychanie oschłego. Tak samo przywitałaby na pewno każdego konwencjonalnego znajomego. Dołgucki stokroć byłby wolał jakąś niegrzeczność, jakiś wybuch temperamentu. Spodziewał się tego, idąc. Zresztą szedł, jak człowiek zahipnotyzowany, wbrew zasadniczemu stanowisku, jakie, jak mu się zdawało przynajmniej, zajmował wobec Mili. W bezsilności swej chwytał się już dziecinnych wybiegów wobec samego siebie. Niby to szedł, żeby doprowadzić do ostatecznego zerwania. Powiedzieć Mili całą prawdę w oczy i uniemożliwić dalsze stosunki.

Perswadował sobie, że go ciągnęły tylko zmysły. Ale w tej diagnozie tkwiła przesada, z której sam nie zdawał sobie sprawy. Po za pociągiem zmysłowym, miał duszę, pełną żalu, że Mila się tak marnowała. Poprzedniego dnia widział ją w kawiarni w towarzystwie kolegów ze szkoły kinematograficznej. Spostrzegł ich zdaleka na ulicy i, ukradkiem śledząc, wszedł za nimi do kawiarni. Usiadł w najdalszym kącie i po dziesięciu minu-

tach uciekł, nie mogąc znieść widoku Mili, która poprostu pozowała na kokotę.

— Cóż pan taki ponury?

— Nie jestem ponury.

Roześmiał się, ale sam czuł bardzo dobrze, że śmiech jego brzmiał sztucznie. Nie posiadał, niestety, zdolności symulowania uczuć. A na to właśnie całym wysiłkiem woli chciał się zdobyć. Rozumiał, że należało z Milą prowadzić grę podstępną, pozornie zastosować się do jej nastroju.

— Jestem w doskonałym humorze.

W oczach Mili błysnęła ironja.

— Dzięki Bogu. Mam nadzieję, że nie będzie mi pan morałów prawił.

— Nie.

— Ale czy pan naprawdę od wewnątrz doszedł do wniosku, że to bezskuteczne.

— Naprawdę.

Dołgucki zdobył się nareszcie na odpowiedni ton. Mila mogła przypuścić, że mówi serjo. I spojrzała na niego z niedowierzaniem, w którem krył się jednak jakiś odcień niezadowolenia.

— Pogodził się pan z moją artystyczną karjerą?

— Najzupełniej.

— W takim razie chcę panu coś zaproponować.

— Słucham.

— Ja mam się dziś spotkać z moim szkolnym towarzyszem. Jest tam kilku bardzo miłych chłopców i bardzo ładnych panien. Niech pan idzie ze mną.

— Dobrze.

Zgoda Dołguckiego zdziwiła trochę Milę. Była pewna, że odmówi, i zaproponowała mu to tylko, żeby go podrażnić.

— Pozna pan artystyczny świat i pozbędzie się pan swoich uprzedzeń.

— Ależ ja nie mam najmniejszych uprzedzeń do artystycznego świata.

— A tak mnie pan odmawiał od karjery artystycznej. Widocznie się pan zmienił.

— Zmieniłem się.

— W ciągu kilku dni?

— Można się zmienić nawet w ciągu godziny.

— Chyba nie tacy ludzie, jak pan.

— Dlaczego?

Mila spojrzała badawczo na Dołguckiego.

— Gra komedję — przemknęło jej przez myśl. Ale nie wyczuwała już w sobie bezwzględnej pewności, że to komedja. Dołgucki przyglądał się jej z uśmiechem i był zupełnie naturalny. Odeszła jej nagle ochota do wyjścia z domu.

— Czemu pan nie siada?

— Skoro mamy iść.

— Jest jeszcze czas. Zresztą — dodała po chwili — ja podejrzewam, że pan chce się tylko dla mnie poświęcić.

— Bynajmniej.

— To tak nie w pańskim stylu.

— Co?

— Knajpowanie. Chociaż...

Uśmiechnęła się ironicznie. Inny Dołgucki był

w Górkach i z nią, a na pewno inny w Warszawie. Ze Stasieńką także musieli knajpować.

— Wie pan — odezwała się nagle — ja zbliżyłam się teraz do tego świata artystycznego i zrobiłam ciekawe odkrycie. Zawsze słyszałam, że to kabotyni i komedjanci. A tymczasem to są właśnie ludzie naturalni i prości. Mojem zdaniem, daleko więcej kabotyństwa i komedjanctwa mają w sobie ci, którzy chcą uchodzić wobec innych i wobec siebie samych za niezłomne charaktery.

Mila pragnęła nadać ostatnim słowom ton wyniosłej pogardy, ale wyraźnie przebijała z nich irytacja.

— Wobec tego bardzo będę pani wdzięczny za wprowadzenie mnie w ten świat — odparł wesoło Dołgucki. — Niesłychanie cenię prostotę.

— I szczerość — dodała drwiąco Mila.

— I szczerość.

Spokój Dołguckiego z każdą chwilą coraz bardziej drażnił Milę. Znów zaczęła powtarzać w myśli „komedja, komedja", ale, jeżeli Dołgucki potrafił się tak dobrze utrzymywać w przybranej roli, to stanowiło to tylko dowód jego bezczelności, bo, zdaniem Mili, do roli tej, obojętnej i ironicznej, tylko ona miała prawo, a Dołgucki powinien był być zdenerwowany, niespokojny, wściekły.

Tymczasem w zachowaniu się Dołguckiego nie było żadnych oznak, któreby pozwalały przypuszczać, że złamał w sobie te stany ducha. Rozglądał się po pokoju z takim wyrazem, jakgdyby zajmowały go tylko i wyłącznie rozmaite szczegóły umeblowania. Po chwili

zatrzymał dłużej wzrok na zawieszonym na parawanie szalu.

— Jakiż to śliczny szal.

— Podoba się panu?

Mila okryła się szalem i zbliżyła się do Dołguckiego tak, że dotknęła jego nóg kolanami.

— A mnie w nim ładnie? — odezwała się stłumionym głosem.

Dołgucki cofnął się z krzesłem wtył.

— Ucieka pan przede mną?

— Nie. Tylko, żeby, żeby zdać sobie sprawę z efektu, muszę się pani przyjrzeć z pewnego oddalenia. Bardzo pani w nim ładnie — dodał po chwili.

Mila wzruszyła ramionami.

— Nawet w takich drobiazgach już panu nie wierzę.

— Ale jednak, jak pani mówiłem, że panią kocham, to mi pani wierzyła.

— Ach, wtedy. Od tego czasu mnóstwo się zmieniło.

— Nic.

— Wtedy byłam bogatą panną Korczewską.

— To była dla mnie największa przeszkoda. Pani o tem doskonale wie. I, gdy mi pani zarzucała, że chciałem się żenić dla pieniędzy, sama pani nie wierzyła w to ani chwili. Proszę mi szczerze odpowiedzieć.

— Być może, że to powiedziałam w uniesieniu. Rzeczywiście, interesowności nie można panu zarzucić.

— Więc najlepiej przekreślmy wszystkie nieporozumienia.

— Panu się zdaje, że to tak łatwo — odparła Mila, marszcząc brwi.

— Przy dobrej woli...

— Ale cóż nam z tego przyjdzie?

Dołgucki zawahał się z odpowiedzią.

— Nie zastanawialiśmy się przedtem. Ja chciałem być szczęśliwy i wierzyłem, że pani będzie ze mną dobrze.

Mila pochyliła głowę. Poddała się bezwiednie czarowi tych wszystkich dobrych wspomnień, które łączyły ją w przeszłości z Dołguckim. I zbudziły się w niej nagle dawne uczucia.

— Ja się nigdy prawdy nie bałam i nie boję — odezwała się po chwili. — Bardzo pana kochałam. I dałam tego dowód, zostawszy pańską narzeczoną wbrew najgwałtowniejszym protestom rodziny. Pan nie zdawał sobie nawet sprawy z trudności, jakie miałam. Do pana to wszystko nie dochodziło. Zagroziłam w domu, że jak się nie zgodzą, to do pana ucieknę. I byłabym do pana uciekła.

Opowiadanie Mili nie odpowiadało ściśle rzeczywistości. Miała jedną przeprawę z ojcem, ale matka stanęła odrazu po jej stronie. Groziła nawet wówczas w uniesieniu ucieczką z domu, była to jednak groźba czysto teoretyczna.

— Byłaby pani do mnie uciekła?

— Ma się rozumieć. Bez chwili wahania.

W tem powiedzeniu Mila wydała się Dołguckiemu taką, w jakiej się zakochał. Prawa, zuchwała, wiejska dziewczyna. Ogarnęła go nagła skrucha, że ją tak

źle sądził. Chwycił ją znowu za ręce, i tym razem Mila już mu się nie opierała. Pozwoliła się przytulić i całować.

— I cóż będzie? — odezwała się po chwili, niewyswobodzona jeszcze z jego uścisku.

— To będzie, co miało być — roześmiał się Dołgucki.

I znów chciał Milę przycignąć do siebie, żeby ją ucałować, ale wyrwała mu się.

— Nie.

— Dlaczego? — dopytywał się drżącym głosem.

— Nie zasłużyłeś na to. Musisz jeszcze odpokutować.

— A jakaż to będzie pokuta?

— Ciężka.

— Zgadzam się na wszystko. W każdym razie jesteśmy już po dawnemu narzeczeni.

— Jeszcze nie. Poważnie mówię — dodała Mila, widząc z wyrazu twarzy Dołguckiego,' że uważa słowa jej za żart. Nie wyczuwała wcale radosnego nastroju, w jaki powinno ją było wprowadzić odzyskanie ukochanego człowieka. Przeciwnie. Pocałunki pozostawiły jej niesmaczne wrażenie przypadkowego i nieobliczalnego wybuchu. Zdawało jej się, że przekreślała wszystkie swoje ambitne plany i zawierała kompromis z życiem. Z tych ambitnych planów zresztą ulotniły się zupełnie wszelkie myśli o karjerze artystycznej, ale dominowało tylko pragnienie wielkich pieniędzy. Otóż życie z Dołguckim nie zapowiadało możliwości bogactwa.

— Dlaczegóż ten termin? — odezwał się po chwili Dołgucki.

— Tyle zmian zaszło w mojem życiu — odpowiedziała Mila.

— A cóż to znaczy?

— Dużo znaczy. Chociażby moje ambicje artystyczne. Pan ich nie uznaje, a ja od kinematografu nie odstąpię.

— Jeżeliby się okazało, że pani ma talent, to bynajmniej nie stawałbym temu na przeszkodzie.

— Ale skądżeż ta zmiana poglądów? Zeszłym razem przez kilka godzin mi pan tłumaczył, że nie mam talentu.

— Ja jeszcze nie wiem, czy go pani ma.

— W szkole utrzymują, że mam.

Dołgucki machnął lekceważąco ręką.

— Więc cóż pana może przekonać? Pańskie osobiste zdanie? Nie wiem, czy pan się zna tak dobrze na sztuce — uniosła się, przechodząc odrazu w zaczepny ton.

— Ja się dowiadywałem o tę szkołę.

— Ach tak?

— Informacje, które zebrałem, wypadły bardzo niekorzystnie. Poprostu szkoda czasu i pieniędzy. Jeżeli pani ma zamiłowanie do kinematografu, to należy kształcić się poważnie. W tem nietylkobym pani nie przeszkadzał, ale nawet dopomógł. Zdaje mi się — dodał po chwili z uśmiechem — że najważniejsza przeszkoda usunięta.

— Dajmy sobie trzy dni czasu do namysłu.

— Skoro pani na tem zależy.

— Lepiej będzie. Może i pan się w ciągu tych trzech dni rozmyśli.

— Nie.

— Skoro się coś naprawia, to już trzeba to robić z pewnym namysłem. Niech pan za trzy dni do mnie przyjdzie.

Dołgucki najbardziej sobie ujął Milę tem, że się dowiadywał o szkołę. I jego ujemna opinja odpowiadała życzeniom Mili. Kiedy Wiertkiewiczowa przyniosła jej pieniądze, Mila zobaczyła odrazu przed sobą tyle wydatków, że perspektywa podzielenia się otrzymaną sumą z dyrektorem Mazurkiewiczem wcale jej się nie uśmiechała. Odłożyła wypłatę na kilka dni i zażądała rękopisu scenarjusza. Mimo, że entuzjastyczne komplementy Mazurkiewicza zawróciły jej w głowie, jednakże w ostatniej chwili zbudził się w niej praktyczny instynkt Korczewskich. Rozumowała przytem, że skoro posiadała tak olbrzymi talent, to autor scenarjusza nietylko powinien był ofiarować jej swój utwór za darmo, ale jeszcze uważać to sobie za honor. Dyrektor Mazurkiewicz przyjął warunek dostarczenia rękopisu kwaśno. Ale, ponieważ Mila postawiła żądanie bardzo stanowczo, więc ostatecznie się zgodził i przysłał jej rękopis przez sekretarza, zapowiadając na wieczór wizytę. Po odejściu Dołguckiego Mila zabrała się do studjowania roli. Ponieważ utwór składał się z kilku dobrych scenarjuszy, więc podobał jej się niesłychanie. I, co ważniejsza, poza scenarjuszem zaczęła ją zaciekawiać osoba autora, owego tajemniczego arystokraty.

O siódmej zjawił się Mazurkiewicz. Uśmiechnięty, rozpromieniony od progu odrazu wykrzyknął paserycznym tonem.

— Czytała pani?

— Czytałam.

— Prawda, że arcydzieło.

— Świetne — odparła Mila. — Czy autor jest w Warszawie.

— Jest.

— W jakim on jest wieku?

— Ma koło trzydziestu lat.

— Żonaty?

— Nie. Kawaler. Mówił mi, że pierwszą kobietą, która mu się naprawdę podobała, jest pani. Pokazywałem mu panią na ulicy. Dlatego tak długo nie przynosiłem scenarjusza, że go specjalnie przerabiał dla pani.

Mili nagle błysnęła myśl, w której odrazu dopatrzyła się przeczucia. Los postawił na jej drodze tego arystokratę. Jeżeli mu się tak podobała, dlaczegoż nie mogłaby wyjść za niego zamąż.

— Bardzo mi przyjemnie — odezwała się wesoło. — Dość tego incognito. Musi mnie pan w tej chwili z nim poznać. Siadajmy w automobil i jedźmy.

Dyrektor Mazurkiewicz osłupiał. Nie przygotował sobie arystokraty, a co gorsza przeczuwał, że na arystokracie uczennica lepiejby się poznała niż na scenarjuszu.

XXIII.

Brochocka spojrzała z przerażeniem na Milę i załamała ręce.

— Czyś ty oszalała, dziewczyno? Jak ty się możesz nawet wahać?

Mila uśmiechnęła się ironicznie.

— Ciocia uważa mnie widocznie za życiową bankrutkę, która się powinna ratować pierwszem lepszem małżeństwem.

— Jakto, pierwszem lepszem małżeństwem — wybuchnęła Brochocka. — Przecież za wszelką cenę chciałaś wyjść za Dołguckiego!

— Wtedy, to było co innego. Mogłam sobie na taką fantazję pozwolić.

— Tak mówisz, jakbyś była co najmniej arcyksiężniczką. Dlaczegóż wyjście zamąż za człowieka bardzo zacnego, i w którym się tak kochałaś, miało być fantazją.

— Jednak ciocia pierwsza krzywiła się na to małżeństwo.

— Przesadzasz. Jeżeli się nawet krzywiłam, to pod wpływem twojego ojca. Pan Dołgucki niesłycha-

nie mi się podobał. Wiem, wiem, wiem, co mi odpowiesz — wykrzyknęła, trzepocząc rękami — że go raz tylko w życiu widziałam, tego dnia, kiedyście się pokłócili, ale to właśnie dowód, jak jest ujmujący, jeżeli w takich warunkach mógł mi się podobać. Zapewne, że karjera urzędnika w ministerjum nie jest świetna pod względem materjalnym, ale tak wybitnie zdolny człowiek ma ogromną przyszłość przed sobą.

— On nie ma wcale zamiaru zostawać w ministerjum — odparła niedbale Mila — proponują mu profesurę na politechnice.

— Widzisz! Za kilka lat może zostać prezesem ministrów! Przecież to najczęściej biorą z politechnik.

Mila spojrzała bystro na ciotkę, której słowa odkryły nagle przed nią nową możliwość karjery Dołguckiego. To jedno nie przyszło jej na myśl, mimo, że rozważała na wszystkie strony życiowe korzyści, jakie jej mogło dać małżeństwo z Dołguckim. Ale uświadomiła sobie, że ten prezes ministrów był jeszcze bardzo daleko, a stanowisko pani profesorowej wcale nieponętne.

— Ojciec pod jednym względem miał rację, że te wszystkie doktory, profesory, inżyniery, to żadne środowisko.

Mila powiedziała to zupełnie szczerze. W głębi duszy, po otrząśnięciu się z pierwszego szalonego zakochania, lekceważyła rodzaj pracy Dołguckiego. Pogląd ojca, który osłabł pod wpływem dawnych uczuć, teraz odzyskał w jej myślach całą siłę.

— Niech ciocia szczerze powie, czy ja jestem stworzona do życia jakiejś tam pani profesorowej. Gdy-

bym była Dołguckiego zabrała na wieś, to przy jego zdolnościach i solidnym charakterze byłby się naprawdę wybił. Ale w mieście to jest beznadziejne.

— Ale jakież ty masz nadzieje w mieście? Przecież chyba nie wierzysz w ten swój kinematograf.

Mila wzruszyła ramionami.

— Moja ciociu! Zawsze jest pora źle wyjść zamąż. Jeżeli Czerwieńska zrobiła taką nadzwyczajną partję, wychodząc za ojca, to i ja chyba mogę na coś liczyć.

— Nie każda trafi na warjata. Ja miałam szesnaście lat, warkocze do samej ziemi, posag, a zmarnowałam się przez moje głupie małżeństwo.

Mila uśmiechnęła się nieznacznie. Ponieważ Brochocki, chory na paraliż postępujący, od szeregu lat przebywał w sanatorjum, więc właśnie nasuwała jej się łatwa odpowiedź, że właśnie ciotka trafiła na warjata. Wiedziała zresztą, że Brochocka wyszła zamąż, mając lat dwadzieścia pięć, z bardzo niewielkim posagiem, i że najsłabszą stronę jej urody stanowiły zawsze włosy.

— Przecież Dołgucki na posag już chyba nie liczy — zaczęła po chwili Brochocka, ale Mila przerwała jej odrazu opryskliwie:

— Dziękuję za to już.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, że chce mnie wziąć z łaski.

— Ach, moja droga. Twojem nieszczęściem od dzieciństwa była zawsze ta wygórowana pycha.

— Właściwie — odparła Mila po chwilowym namyśle — ja się zdecydowałam już wyjść za Dołguckiego.

Usłyszawszy to, Brochocka rozpromieniała odrazu. Rzuciła się do Mili, chwyciła ją wpół i zaczęła gwałtownie całować.

— No, moje dziecko, nie wiesz, jaką radość mi sprawiłaś.

— Niechżeż mnie ciocia tylko nie błogosławi. Ja bardzo długo się nad tem zastanawiałam i doszłam do wniosku, że w mojej sytuacji najlepszym punktem wyjścia będzie małżeństwo. A Dołgucki nie jest kompromitującą partją.

Radosny wyraz twarzy Brochockiej zgasł nagle. Spojrzała na Milę z nieopisanem zdumieniem.

— Jakto, punkt wyjścia. Dlaczego?

— Do dalszej karjery, a nawet do odpowiedniego małżeństwa. Czyż ciocia sobie wyobraża, że ja całe życie poprzestanę na jednym Dołguckim?

Brochocka aż oniemiała z oburzenia. Po chwili dopiero wykształsiła zmienionym głosem:

— Ty kpisz sobie ze mnie!

— Nie. Mówię jak najpoważniej. Mało jest teraz takich tranzytowych małżeństw? Jeżeli poruszyłam z ciocią projekt mojego zamążpójścia, to dlatego, żeby się przekonać, jakie to w świecie wywrze wrażenie. Jeżeli dodatnie, to mam już jedną wygraną kartę. Rozwódki są teraz bardziej w cenie na rynku, niż panny, a mój rozwód z Dołguckim będzie aksamitny, bo on zawsze na wszystko się zgodzi. A jak przyjdzie pora, to już potrafię wybrać sobie odpowiedniego męża. Nie jestem głupsza od Czerwieńskiej. O czem ciocia tak myśli —

dodała po chwili zdziwiona, że Brochocka nic jej nie odpowiadała.

Brochocka zastanawiała się właśnie nad odpowiedzią. Nad odruchowem oburzeniem zapanowała już w niej refleksja. Przypuszczała zresztą, że w słowach Mili było dużo przesady. Na pewno kochała się jeszcze w dalszym ciągu w Dołguckim, tylko przez ambicję wypierała się tego, jak śmiertelnego grzechu. — Wyjdzie zamąż — myślała — będzie miała dzieci i zapomni o buntach. Najważniejsze narazie było, żeby wyszła.

— Moja droga — odezwała się po chwili. — Zrobisz sobie, co zechcesz. Kto to może ręczyć za przyszłość. Tylko, jak masz już wychodzić zamąż, to wychodź jak najprędzej. Na pewno ojciec, jak się o tem dowie, to cię nie zostawi bez grosza. Tylko trzeba się raz nareszcie ustatkować. Kinematograf to dobry dla szwaczek.

— Ale gdzie tam dla szwaczek — roześmiała się Mila. — Mam taką paniusię od robót, jakąś Wiertkiewiczową, która mówi, że kinematograf zupełnie jej nie odpowiada. Wiecznie ma w głowie jakieś pseudonaukowości. Zabawna jest!

— Mądrzejsza od ciebie — mruknęła Brochocka.

Mila wybuchnęła śmiechem.

— Twórzyliby teoretycznie doskonałą parę z Dołguckim. Oboje chorują na szlachetność.

— Ja tego nie rozumiem. Przedtem nie pozwoliłaś zażartować najniewinniej nawet z Dołguckiego, a teraz sama go wciąż ośmieszasz.

Mila popatrzyła na ciotkę i odezwała się po chwili:

— Chwała Bogu, że już jestem raz na zawsze wyleczona z bezkrytycznych sentymentów, bo po ojcu widzę najlepiej do jakich to głupstw doprowadza. A w oczach ludzi małżeństwo z Dołguckim nie będzie dla mnie upokarzające, skoro byłam taką idjotką, że się zaręczyłam z nim, jako bogata panna. Ach, jak ja wtedy nie doceniałam wartości pieniędzy! I teraz za to pokutuję.

— Jakto, za to pokutujesz?

— Bo żebym była dopilnowała swoich interesów, toby mi ojciec przepisał za życia mamy dwa folwarki tak, jak miał zamiar. Siedziałabym mu pod bokiem i dopierobym mu pokazała!

Ostatnie wyrazy Mila powiedziała z akcentem takiej nienawiści, że Brochocka, która potępiając Korczewskiego, nie godziła się jednak na stanowisko Mili, zniecierpliwiła się i wybuchnęła:

— Najlepiejbyś pilnowała swoich interesów, gdybyś trzymała język za zębami i nie mówiła głupstw o narzeczonym i o rodzonym ojcu! To na każdym robi wstrętne wrażenie.

Mila pobladła.

— Dawniej — odezwała się po chwili, drżącym z oburzenia głosem — nigdyby ciocia nie pozwoliła sobie mówić do mnie w tym tonie. To najlepszy dowód, jaką wartość mają pieniądze. Ale ponieważ ja nie mam zamiaru słuchać tego rodzaju uwag, więc możemy się nawet nie widywać.

I, nie czekając odpowiedzi Brochockiej, wyszła z pokoju. W jednej chwili znienawidziła Brochocką i je-

szcze jeden dowód lekceważenia widziała w tem, że ciotka nie wybiegła za nią na schody i nie usiłowała jej przeprosić. Sam fakt zerwania z ciotką wprowadził ją w jakiś szyderczo-zaczepny nastrój. Poczuła się jeszcze bardziej osamotniona, ale nie wzbudziło to w niej przygnębienia, tylko przeciwnie — zawziętość do walki. W tem, co opowiadała ciotce o swoich planach w stosunku do Dołguckiego, nie było, jak mylnie przypuszczała Brochocka, najmniejszej stylizacji. Mila obmyśliła to wszystko dokładnie, chłodno i bez wahania chciała przeprowadzić. Ani na sekundę nie zamąciły jej myśli skrupuły, że nietylko podporządkowywa swoim interesom, ale wprost poświęca dla nich Dołguckiego. Przeciwnie. W głębi duszy odczuwała straszliwą uciechę z możliwości odemszczenia się za krzywdę, jaką jej Dołgucki wyrządził. Gdy raz cokolwiek dotknęło jej pychy, ulegała fantastycznemu zaślepieniu. I żadne rozumowania nie przekonałyby jej, że Dołgucki jej nie zdradził i że nie był przyczyną wszystkich nieszczęść.

I kiedy zobaczyła Dołguckiego, z największą prostotą odgrywała już rolę kobiety, która poddała się uczuciu. Grając komedję, obserwowała siebie samą z artystycznym zachwytem. Myślała, że byłaby nietylko znakomitą gwiazdą kinematograficzną, ale i pierwszorzędną aktorką. Nie zdawała sobie sprawy, że na dnie tej komedji tkwiła inna komedja, którą już nieświadomie odgrywała wobec siebie samej, bo do Dołguckiego ciągnęły ją zmysły. Dołgucki miał wrażenie, że była w nim bardziej rozkochana, niż dawniej. Odtajał odrazu i za-

czął z całą serdecznością robić projekty na przyszłość. Ślub miał się odbyć w ciągu najbliższych kilku tygodni.

— Ale ja nie chcę być żoną urzędnika ministerjalnego. Proszę jak najprędzej zostawać tym profesorem.

Mila powiedziała to pół żartem, pół serjo. Dołgucki zmarszczył brwi i odparł zupełnie poważnie:

— Zdawało mi się, że jestem nie gorszy od innych i dosyć umiem, a teraz ogarniają mnie takie wątpliwości... I to tem śmieszniejsze, że przecież nieledwie od dziecka marzyłem tylko o tem, żeby móc uczyć. To widocznie obciążenie dziedziczne.

— Belfer i syn belfra — zgrzytnęło Mili w myśli. — Śliczne ambicje.

— Wątpliwości? — odezwała się głośno i spojrzała na Dołguckiego ze zdumieniem, w którem się krył jakby odcień lekceważenia. — I tego nawet nie potrafisz? A cóżeś ty za niedołęga. — I ciągnęła dalej głośno:

— Jeśli się coś umie, to chyba nie trudno jest uczyć innych. Jabym się odrazu podjęła wykładów agronomji praktycznej.

— Może masz wybitny talent w tym zakresie. Nie przeczę, że, po przejściu gruntownych studjów, potrafiłabyś uczyć. Ale ja wykrywam w sobie ciągle braki.

— Przecież te odczyty, które miałeś, podobno były świetne.

— Przypuśćmy, że tylko niezłe — roześmiał się Dołgucki. — Ale kształcenie, to taka doniosła odpowiedzialność.

— Jakto odpowiedzialność? Wobec kogo? — zdziwiła się szczerze Mila.

— Wobec społeczeństwa, kochanie — odparł miękko.

— Idjota! — pomyślała Mila. I dodała.

— Mnie się zdaje, że najlepiej jest jednak dbać o siebie. Gdyby wszystkim działo się dobrze, to przez to samo działby się dobrze i społeczeństwu. Ojciec zawsze powtarzał, że przed każdym człowiekiem jest droga do zrobienia majątku. A ojciec znał się na tem. W ten sposób spełnia się obowiązki względem społeczeństwa.

Ostatnie słowa Mili uspokoiły Dołguckiego. — Nie, ona nie była zła. Zdeprawowało ją środowisko. — Nic jej, ma się rozumieć, nie odpowiedział, tylko pomyślał, że będzie miał jeszcze ciężką pracę z wykorzenieniem wszystkich wpływów Korczewskiego. Bo wszystko, co było w Mili złe, przypisywał jednak jego wpływom.

Kiedy stał tak zamyślony z widocznem skupieniem na twarzy, znowu wydał się Mili wyjątkowo ładny i czarujący. I ogarnął ją przelotny żal, że w tym ślicznym człowieku tkwiła taka głupia, niemęska dusza. Jakżeby go kochała, gdyby był inny!

XXIV.

— Wychodzisz? — odezwał się Miller z akcentem rozczarowania w głosie.

— I nawet bardzo mi się śpieszy — odparł niecierpliwie Dołgucki. — Jeśli masz do mnie jaki interes, to może odłożymy to do jutra.

— Do jutra — westchnął Miller. — Będzie za późno.

— A o cóż ci chodzi?

— Chciałem się z tobą pożegnać.

— Wyjeżdżasz?

— Tak. Wynoszę się z Warszawy na stałe.

— Dokąd?...

— Do Wilna.

Dołgucki spojrzał na zegarek. Wprawdzie nie śpieszył się na pociąg, ale wybierał się z narzeczoną do teatru i nie miał zamiaru przez Millera się spóźnić. Pięć minut jednak mógł mu poświęcić.

— Cóż będziesz robił w Wilnie?

— Mam tam kilku kolegów uniwersyteckich na stanowiskach i sądzę, że przez nich uda mi się coś znaleźć. Zresztą wszystko jedno. Jeżeli to jest nawet

lekkomyślny krok z mojej strony, to się nie cofnę. Warszawa tak mi już obrzydła, że nie mogę wytrzymać.

Miller mówił zmęczonym głosem i miał wygląd zbolały i nieszczęsny, że Dołguckiego agarnęło współczucie.

— Gdyby ci się nie powiodło, to napisz do mnie.

— Dziękuję — odparł Miller. I, obrzuciwszy szybkiem spojrzeniem Dołguckiego, dodał nagle:

— Tylko nie myśl, że ja wyjeżdżam przez tę... Wyleczyłem się.

— Bardzo się cieszę — zbył go Dołgucki, nie chcąc się wdawać w rozmowy na ten temat.

— Wyjeżdżam, bo może na kresach ludzie mają więcej rozmachu. Ja z temi tutejszemi marudami nigdy nie potrafię dojść do ładu. Wszystko takie drobiazgowe, małostkowe — ciągnął Miller, ożywiając się stopniowo. — Wyobraź sobie...

Ale Dołgucki nie miał czasu, więc przerwał mu bez ceremonji:

— Życzę ci wszystkiego najlepszego. Napisz, jak się rozejrzysz na miejscu, a teraz uciekaj. Nie gniewaj się, ale wychodzę. Dowidzenia.

I wyciągnął rękę do Millera na pożegnanie. Miller ujął go za rękę i nie wypuszczał. Na twarzy jego malowało się zdenerwowanie i wahanie. Dołguckiemu nie trudno było się domyśleć przyczyny.

— Nie masz pieniędzy.

— Ja ci już jestem trochę winien, ale gdybyś mi mógł jeszcze zawierzyć... — odezwał się nieśmiało Miller.

— Dużo ci potrzeba?

— Dwieście złotych.

Dołgucki się zawahał. Wobec wydatków, jakie miał, suma ta robiła mu różnicę. Ale po chwili zdecydował się nietylko dać Millerowi pieniądze, ale już budziło się w nim współczucie dla kolegi i ciągnęło go, żeby z nim zostać. Musiał się zgromić w myśli za tę czułostkowość.

— Dobrze. Służę ci.

— Jestem przekonany, że tam znajdę ludzi, z którymi potrafię się porozumieć — odezwał się Miller, zwijając starannie pieniądze. — I zrobię pieniądze. Ludzie wogóle wyobrażają sobie, że do zrobienia majątku potrzeba wyjątkowego szczęścia. A to jest tylko fach, taki sam, jak każdy inny. Tylko trzeba mu się poświęcić i o niczem innem już nie myśleć. Zobaczysz może za kilka miesięcy.

Miller znów zaczął wpadać w zapał, i Dołgucki znów się zmusił do opryskliwości.

— No, może za kilka miesięcy. Ale teraz uciekaj, mój kochany.

— Szkoda, że się śpieszysz — westchnął Miller. — Takbym chciał z tobą pogadać.

— Przecież nieraz jeszcze będziesz w Warszawie.

Miller potrząsnął głową.

— Nigdy — odparł z akcentem niesłychanej zawziętości w głosie.

Dołgucki skończył się tymczasem ubierać, i wyszli razem. Wieczór był dżdżysty i mglisty. Pożegnali się na rogu, i po chwili Miller zginął Dołguckiemu z oczu. Zdawało się, że, jak widmo, rozpłynął się w mgle.

XXIV.

Ludzi wydziedziczonych przez życie ogarnia często lęk, gdy im się trafi okres względnie spokojny i szczęśliwy. Tego samego uczucia doświadczała często i Wiertkiewiczowa. W głowie jej się nie mieściło poprostu, że nie widziała przed sobą żadnych trosk. I w takich chwilach wysilała fantazję na obmyślenie najrozmaitszych nieszczęść, jakie na nią niespodziewanie mogły spaść. Czuła w duszy, że musi mieć codzień pięć minut strachu. Poza temi pięcioma minutami jednak błyskawicznie przelatujące dni dostarczały jej tylko przyjemnych wrażeń, zresztą typowo samotniczych, ponieważ poza rodziną i panną Korczewską nie utrzymywała z nikim stosunków. Do zawierania znajomości zraził ją ostatecznie Miller. Z matką i rodzeństwem widywała się codziennie, ale bytności swoje u nich ograniczała przeważnie do odrabiania z dziećmi lekcyj. Nie chciała nawet jadać u matki obiadów. Męczyła ją ciasnota i gwar, jaki panował w niewielkiem mieszkanku. Obiecywała sobie zbliżyć się bardziej do sióstr, gdy podrosną, a narazie starała się tylko paraliżować wpływy matki, którą uważała za kobietę głupią i ciasną. Po-

magała im przytem trochę materjalnie. Jeżeli w rodzinie czuła się wyższą od całego środowiska, to wprost odwrotnych wrażeń doznawała przy widzeniu się z panną Korczewską. Ile razy wyszła od niej, ogarniał ją rozpaczliwy wstyd, że musiała wydawać się pięknej pannie nieskończenie głupią i nietaktowną. Wyobrażała sobie, że mówiła odrzeczy za dużo, i że panna Korczewska tylko przez litość wysłuchiwała jej wszystkich bzdurstw i okazywała życzliwość. Bardzo często, bezpośrednio po rozmowie, powtarzała ją drugi raz w myśli, poprawiając wszystkie swoje odezwania, i postanawiała jak najsolenniej zachowywać się zupełnie inaczej. Ale właściwie, sama nie wiedziała — jak. Żywiła dla pany Korczewskiej rodzaj jakiegoś kultu, którego podstawy usuwały się zupełnie z pod jej analizy.

I najniespodziewaniej dla siebie samej postanowiła zerwać z panną Korczewską stosunki. Wpłynął na to wypadek. Wybrawszy się raz do teatru, zobaczyła w krzesłach pannę Korczewską z Dołguckim. Ponieważ przezornie umieściła się w pierwszym rzędzie galerji, żeby dobrze widzieć i słyszeć, więc mogła ich dokładnie obserwować. I przez cały czas przedstawienia tylko im się przyglądała, napróżno zmuszając się do zwrócenia uwagi na to, co się działo na scenie. Z zachowania się Dołguckiego bez trudu mogła odgadnąć, że był panną Korczewską bardzo zajęty. Doznała uczucia, jakby ją coś w serce zakłuło. To bolesne wrażenie było dla niej najzupełniej nieoczekiwane, bo jednak widywała niejednokrotnie Dołguckiego na odczytach i zawsze z radością. Wróciła do domu z rozstrzęsioną

duszą i nieokreślonym żalem, że ją spotkała jakaś krzywda. Myślała o tem przez całą noc. I wkońcu zaczęła oskarżać siebie samą. To niezadowolenie było tylko dowodem potworności jej natury. Jakaś głupia, niczem nieumotywowana zawiść! Przecież pierwszej jej na myśl przyszło, że Dołgucki i panna Korczewska tworzyliby najcudowniejszą parę na świecie. Chciała jej to nawet powiedzieć, ale nie umiała narazie tak zdania ułożyć, żeby nie wyszło zbyt głupie. Zazdrosna o Dołguckiego nie była. Nie ośmieliłaby się nawet być o niego zazdrosna. Sam jej powiedział, że miał narzeczoną, przecież nawet przymierzała jej suknię, nieraz potem rozmyślała o tej narzeczonej i zawsze cieszyła się tylko, że Dołgucki będzie szczęśliwy. Jeśli miał narzeczoną, to nie mógł kochać się w pannie Korczewskiej. I usiłowała wmówić w siebie, że jej wrażenie w teatrze było urojone. Rozmawiali jak dwoje eleganckich ludzi, a ona przez swoją ordynarność i brak obycia wzięła to odrazu za jakiś nieodpowiedni flirt. Była głupia, zła, podła, o niskich instynktach. I, zrozpaczona, postanowiła się ukarać. Nie chodzić już na żadne odczyty Dołguckiego, przestać widywać pannę Korczewską. Nie była ich godna!

W głuchą ciszę nocy wdarł się nagle daleki świst lokomotywy. Pierwszy raz ze swojego mieszkania w Warszawie Wiertkiewiczowa usłyszała doskonale jej znany, żałosny głos. Jaskrawo odżyło w niej wspomienie stacyjki i bytności Dołguckiego. I ogarnęła ją jakaś posępna rezygnacja. Bała się nieszczęścia i przyszła. Z tem wrażeniem zasnęła rano, kiedy już było

zupełnie widno. Zbudziła się zmęczona i zniechęcona do wszystkiego. Napróżno usiłowała się uspokoić, że przecież nieszczęścia żadnego nie było. Nic się nie zmieniło w jej życiu. Nie miała przy sobie męża pijaka i nie potrzebowała prześlimaczać dnia w męczących, brudnych zajęciach. Ale jej wrogi stosunek do siebie samej trwał. Wyrzucała sobie swój głupi egoizm. Nie umiała ocenić tego, że jednak życie dało jej spełnienie wszystkich marzeń. Mogła się uczyć, miała spokój i czas na to, żeby zapewnić sobie nowe warunki bytu. Ale wolała szukać wykrętów dla swego próżniactwa w jakichś urojonych nastrojach, bo nawet nie miała chęci pójść na swoje kursy. I pod wpływem tych refleksyj poczucie nieszczęścia, którego nie umiała nazwać, skrystalizowało się nagle w wyraźny kształt. Wszystko zło, co ją spotykało, wypływało wyłącznie z jej własnej winy. Wróciła myśl, która prześladowała już ją po śmierci Wiertkiewicza. Może przy innej żonie nie byłby się tak rozpił i zmarnował. Nie był tak zły, jak go oskarżała, skoro nawet w godzinie śmierci pamiętał o tem, żeby ją zabezpieczyć.

I przyszło jej nagle na myśl, że to, co pożyczyła pannie Korczewskiej i dała rodzinie, to było święte. Ale na siebie samą stanowczo wymarnowała za dużo. Z ołówkiem zaczęła liczyć wydatki i gorzko sobie wymawiać wszystkie ubogie przyjemności. Parę bytności w teatrze, w kinematografach, odczyty, na które właściwie była za głupia, abonament w czytelni i zbytek pokoiku, kiedy mogła mieszkać u rodziny. Obliczywszy pieniądze, wpadła w przerażenie, że tak niewiele

jej pozostało. Z czegoż będzie dalej pomagała rodzinie?

— Na siebie zarobię — mruczała posępnie. — Jak nie zarobię batikami, to pójdę na służącą. Przecież garnki szorować i jako tako gotować potrafię. A na cóż lepszego ja jestem stworzona? Jeszcze pozgarniam wszystko, co mam, i posprzedaję. Z temi paroma tysiącami złotych, co mi zostało, będę ich jakoś podtrzymywała.

Gorączkowo zaczęła grzebać w swoich rupieciach, zastanawiając się, coby odrazu mogła sprzedać. Przedewszystkiem wydostała swoje biżuterje. Dwie obrączki z pierwszego małżeństwa Wiertkiewicza, jej własna obrączka, złoty łańcuszek nieboszczki Wiertkiewiczowej i pamiątkowa broszka, odesłana przez Dołguckiego.

Broszce przyglądała się długo, obracając ją machinalnie w palcach. Ogarnęło ją wrażenie, że w tym niewielkim kawałku złota tkwiła jakaś tajemnicza siła, wywierająca wpływ na jej życie. I zaczęła się zastanawiać nad tem, jaki to był wpływ: zły — czy dobry. Wspominając przeszłość, przyznawała teraz, co jej się dawniej wydawało absurdem, że dla Wiertkiewicza utrata broszki mogła być dowodem zdrady. Tem bardziej, że owej fatalnej nocy zastał ją ledwo ubraną, a nie umiała mu się z tego wytłumaczyć. Nadużyła zaufania męża, nadużyła zaufania Dołguckiego. Gdyby nie ta głupota, na pewno zapomniałaby o Dołguckim, nie wbiła go sobie tak w głowę i nie byłaby teraz nie-

szczęśliwa. Więc jednak broszka stała się powodem klęski. Wiertkiewiczowa postanowiła się jej pozbyć.

Ale w tej samej chwili, kiedy powzięła tę decyzję, zbudził się w niej żal. Bo jednak wszystkim tym przejściom, które narazie były dla niej straszne, zawdzięczała swoje wyzwolenie. I ogarnął ją rodzaj przesądnego lęku, że z pozbyciem się broszki w ten, czy inny sposób, skończy się nowe jej życie. Siedziała bezradna, nie wiedząc, co począć.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Zobaczywszy posłańca, domyśliła się odrazu, że to list od panny Korczewskiej. Któż inny mógł do niej pisać. Na niedbale złożonym skrawku wytwornego listowego papieru było kilka słów ołówkiem. — Niech pani zaraz do mnie przyjdzie, bo mi pani potrzebna. — Panna Mila nie zadawała sobie nawet trudu, żeby włożyć list w kopertę. Adres napisała na odwrotnej stronie kartki.

— Ta pani mówiła, żeby pani natychmiast przyszła — dodał jeszcze posłaniec.

Wiertkiewiczowej krew uderzyła do głowy. W pierwszej chwili — ma się rozumieć — postanowiła nie chodzić. Tłumaczyła sobie, drżąc ze zdenerwowania, że nie mogła być przecież chorągiewką na dachu Skoro myślała nad tem całą noc i przysięgła sobie przestać widywać pannę Korczewską, to nie mogła iść. Nawet nie warto się było nad taką sprawą zastanawiać. Natomiast postanowiła nie marnować czasu napróżno i iść na kursy. Z niesłychanym pośpiechem zaczęła się ubierać. Kiedy już była gotowa do wyjścia, znów ogarnęła ją determinacja.

Wzięła wszystkie złote drobiazgi, żeby zaraz po kursach zanieść je do jubilera i sprzedać. Żal za broszką wydał jej się niepotrzebnem rozgrymaszeniem. Daleko ważniejsza była sprawa, żeby zgromadzić jak najwięcej pieniędzy dla rodzeństwa.

Ze swojej klitki, której okno wychodziło na odległy o kilka metrów zaledwie występ muru, Wiertkiewiczowa nie umiała nawet przeważnie zdać sobie sprawy z pogody, jaka panowała na świecie. Na ulicy dopiero ogarnął ją błyszczący, wiosenny dzień. Przechodnie mieli rozjaśnione twarze, jakgdyby każdy śpieszył z jakąś dobrą nowiną. I Wiertkiewiczowa uczuła się nagle jakby zupełnie odciętą od tej pogody na niebie i w duszach. Po kilku krokach doznała nerwowego wrażenia, że razi samą swoją obecnością na ulicy. I instynktownie chciała się cofnąć do mieszkania.

Ale nagle zafrasowała ją myśl, że przecież mogła być pannie Korczewskiej naprawdę potrzebna. Kto wie, co się stało. A jeżeli zachorowała? Nawet pismo było inne, niż zwykle. I znów Wiertkiewiczowa oburzyła się na siebie samą. Postanowienie, jakie powzięła, wydało jej się małostkowe i egoistyczne.

I, zdecydowawszy się iść do panny Korczewskiej, odrazu odzyskała humor. Nie była zresztą zupełnie wobec samej siebie szczera. Podświadomie pragnęła przedewszystkiem dowiedzieć się jeszcze czegoś o Dołguckim. Jak się nazywa jego narzeczona, jak wygląda, dlaczego się jeszcze nie ożenił... Przecież panna Korczewska musiała to wszystko dobrze wiedzieć.

Mila, jak zwykle, przyjęła ją niecierpliwie. Wi-

dząc, że zziajana Wiertkiewiczowa zaczyna rozpinać palto, ofuknęła ją odrazu.

— Niech się pani nie rozbiera, bo nie mam czasu.

Wiertkiewiczowa przyglądała jej się ze zdziwieniem. Po raz pierwszy panna Korczewska jakby nie panowała nad sobą. Kręciła się po pokoju, wykonywając szereg widocznie najniepotrzebniejszych czynności. Poprawiała przed lustrem włosy, zamykała i otwierała jakieś szufladki i nie mówiła nic o pilnej sprawie, w jakiej wezwała Wiertkiewiczową.

Mili zaś po raz pierwszy żądanie pieniędzy nie mogło jakoś przejść przez gardło. Ślub jej miał się odbyć za dwa tygodnie, i potrzebowała na gwałt kilku tysięcy złotych. Równocześnie suma ta budziła politowanie dla własnej nędzy. Ironicznie nazywała się w myśli dziadówką. Zdenerwowanie jej wynikało z myśli, że takie nic, jak Wiertkiewiczowa, miała jednak te pieniądze, a ona nie. I poza tem jeszcze zbudził się w niej niepokój, czy Wiertkiewiczowa nie odmówi. Milczenie Wiertkiewiczowej wzięła za bierną niechęć. Uważała, że powinna była odgadnąć, jaki miała interes i uprzedzić jej żądanie.

Po chwili gniew Mili odwrócił się od Wiertkiewiczowej ku Dołguckiemu. Dla głupiego małżeństwa musiała sobie zadawać tyle przykrości. Ale trudno. Musiała brnąć. Przypuszczając, że Wiertkiewiczowa się buntuje, postanowiła ułagodzić ją przedewszystkiem kilkoma uprzejmemi zdaniami. Alboż to z lichwiarzami ludzie nie bywają grzeczni!

— No, niech pani siada — odezwała się z uśmie-

chem. — Mam jeszcze dziesięć minut czasu, możemy sobie porozmawiać.

Wobec pośpiechu Mili, Wiertkiewiczowa już zrezygnowała w duszy z rozmowy o Dołguckim. Widząc, że znów się nasuwa ta możliwość, ucieszyła się ogromnie. Ale, jak zwykle, zabrakło jej odwagi. Spłoszyła się, że powiedziałaby coś głupiego.

— Wie pani, że ogromne zmiany szykują się w mojem życiu.

To zwierzenie napełniło Wiertkiewiczową niesłychaną dumą. Nigdy jeszcze panna Korczewska nie mówiła z nią w tak przyjaznym tonie.

— Jakie? — zapytała po chwili nieśmiało.

Mila nie dała jej odpowiedzi. Po pierwszem odruchowem odezwaniu, które było jakby wstępem do zwierzeń, doznała nagle uczucia zażenowania, na co w pewnym stopniu wpłynął również zachwyt, z jakim Wiertkiewiczowa wyrażała się o Dołguckim. W oczach Mili raczej to poniżało, niż wywyższało narzeczonego. Według jej pojęć o małżeństwie między człowiekiem, za którego wychodziła zamąż, a istotą w rodzaju Wiertkiewiczowej, powinna była istnieć niezgłębiona przepaść. Ale czuła, że musi wytworzyć jakiś pozornie życzliwy nastrój.

— Pani szalem zachwycają się wszyscy. Jakżeż pani idzie z tem batikowaniem?

Wiertkiewiczową zdziwił trochę ten nagły zwrot, ale odparła z uśmiechem.

— Dużo wody jeszcze upłynie, nim będę mogła na tem swój byt oprzeć.

Mili trochę niewsmak poszła ta odpowiedź, w której dopatrywała się aluzji do zaciągniętych u Wiertkiewiczowej pożyczek. Wzruszyła ramionami.

— Najlepiej niech się pani zamąż wyda.

— Pani powinna wyjść zamąż — odpowiedziała Wiertkiewiczowa po chwili milczenia. Słowa Mili przecięły odrazu jej pogodny nastrój.

— Zamąż... zamąż... — powtórzyła Mila. — W zamążpójściu to jest chyba pewne przeznaczenie.

Wiertkiewiczowa spojrzała na nią bystro.

— Pani wierzy w przeznaczenie.

— Ach, niestety.

— Ja także wierzę.

— Ale ja wierzę tylko w złe przeznaczenie — ciągnęła Mila, zamyślona.

Wiertkiewiczowa zmarszczyła brwi i przez chwilę miała taki wyraz twarzy, jakgdyby przetrawiała w myśli uwagę panny Korczewskiej.

— A wie pani, że to może prawda — odezwała się wreszcie. — Tak się złożyło, że dziś właśnie myślałam o przeznaczeniu i nie umiałam zdać sobie sprawy. Ale pani ma rację. Przeznaczenie jest tylko złe.

— A cóż się pani takiego dziś zdarzyło?

— Właściwie nic mi się nie zdarzyło. Czy pani wierzy, że pewne przedmioty mogą przynosić nieszczęście?

— Wierzę. Przecież są kamienie, które przynoszą nieszczęście. Naprzykład — opale.

— A rubiny?

— Ach, rubiny! — wykrzyknęła Mila z zachwytem. — To na pewno szczęśliwy kamień.

— Ja mam broszkę z rubinem, która, mojem zdaniem, przyniosła mi nieszczęście.

Mila spojrzała na Wiertkiewiczową z niedowierzającem zdziwieniem.

— Duży rubin?

— Skądżeż? — odparła Wiertkiewiczowa tak, jakgdyby śmiesznem jej się wydało samo przypuszczenie. — Nawet mam przy sobie tę broszkę.

— Niech-no pani pokaże.

Mili śmiać się chciało, kiedy patrzyła, jak Wiertkiewiczowa wydobywała z papierka swoje klejnoty rodzinne. Żeby jej jednak nie urazić, wzięła broszkę. I nagle zerwała się z krzesła. Wzrok jej padł na wyryty w złocie napis. Przez chwilę własnym oczom wierzyć nie chciała. Ta sama! Krzyknęła jakimś dzikim głosem.

— To pani jest ta Stasieńka? Pani? Pani?

W tej samej chwili otworzyły się gwałtownie drzwi, i w progu ukazał się Dołgucki. Przyszedł i z przedpokoju usłyszał głos Mili, stanął, jak wryty. Wiertkiewiczowa cofnęła się wtył i zakryła twarz rękami. Mila sprężyła się w sobie i przyskoczyła do Dołguckiego tak, jakgdyby go chciała spoliczkować. Dołgucki przytrzymał ją gwałtownie.

— Precz! Nie dotykaj mnie — krzyknęła.

— Uspokójżeż się! Co pani tutaj robi? — zwrócił się opryskliwie do Wiertkiewiczowej.

Mila wybuchnęła histerycznym śmiechem,

— Wypożycza na lichwę te pieniądze, które od ciebie uciułała!

Wiertkiewiczowa jęknęła głuchym, przerażonym głosem.

— Boże! Boże!

Dołgucki zbladł.

— Nie rób awantur! Nie obrażaj mnie bez powodu!

— Kogo obrażam? Ciebie? Takiego łgarza, takiego oszusta!

— Ani słowa więcej — wybuchnął Dołgucki. Ale oczywiście, nietylko nie powstrzymał tem furji Mili, tylko ją jeszcze bardziej rozdrażnił. Wpadła w istny szał.

— Ładna para! Oszust i dziewka, co się łajdaczyła w mojej sukni! Sekundy ci nie wierzyłam, ale myślałam, żeś sobie wziął przynajmniej jakąś przystojną dziewczynę! Chyba przekleństwo związało mnie znowu z tobą. Przyplątałeś się na moje nieszczęście, chociaż cię już raz wyrzuciłam za drzwi! Ma pani nadzwyczajną broszkę — zwróciła się nagle z nienawiścią do Wiertkiewiczowej. — Drugi raz mnie ratuje od małżeństwa z Dołguckim. A ty, podlecu, byłbyś miał czelność żenić się ze mną za dwa tygodnie!

Dołgucki widział, że Mila była nieprzytomna. Z odrazą odwrócił oczy od jej dziko wykrzywionej twarzy, i wzrok jego zatrzymał się machinalnie na Wiertkiewiczowej, która z przerażeniem przysłuchiwała się słowom Mili. Zrozumiała wszystko. Spojrzenie Dołguckiego jakgdyby wyrwało ją z odrętwienia. Całą

jej duszę wypełnił jeden nakaz. Za wszelką cenę odkupić swoją winę względem tych ludzi. Ocalić szczęście Dołguckiego. Rzuciła się nagle ku Mili i padła przed nią na kolana.

— Przysięgam pani, że pan Dołgucki jest niewinny!

Bezładnie, urywanym głosem zaczęła opowiadać historję fatalnej nocy, ale Mila jej nie słuchała.

— Ani słowa! Ani słowa! Nie chcę już was widzieć! Swoje pieniądze dostanie pani jutro z procentami.

— Jak pani może!... — wykrzyknęła Wiertkiewiczowa. W głosie jej była taka rozpacz, że Dołgucki uczuł, iż dzieje się jej jakaś krzywda. Podszedł i podniósł ją z ziemi.

— Niech się pani nie poniża. Nie warto.

— Nie, nie! — opierała się Wiertkiewiczowa. — To wszystko przez moją niegodziwość! Czyż tacy ludzie, jak państwo, mogliby z mojego powodu się pogniewać! Panna Korczewska zrobiła mi łaskę, że wzięła trochę pieniędzy, co mi mąż zostawił. Największym grzesznikom przecież się przebacza! Pani jest taka dobra — zwróciła się znów do Mili. — Niech się pani nade mną ulituje i uwierzy panu Dołguckiemu.

— Nie dbam o to, czy mi panna Korczewska uwierzy. To już jest koniec — odezwał się zimno Dołgucki. — A pani uratowała mnie od wielkiego nieszczęścia. Nietylko nie mam pani nic do wybaczenia, ale na całe życie zachowam dla pani wdzięczność.

Wiertkiewiczowa przymknęła oczy. Słowa Doł-

guckiego spłynęły jej w duszę, jak radosne objawienie. Zapomniała o Mili i o wszystkiem. Została tylko ona i Dołgucki. I to uczucie wielkiego szczęścia odbiło się na jej twarzy, którą opromienił niewypowiedziany urok. Dołgucki nie mógł oderwać od niej oczu.

— Chodźmy — odezwał się łagodnie.

Mila spojrzała na niego błędnym wzrokiem. I ona zauważyła niezwykłą zmianę w twarzy Wiertkiewiczowej. Wybuchnęła w niej gwałtowna rozpacz. — Ona mi go teraz dopiero zabierze! — Uwierzyła, że ich posądzała niesłusznie. I zdała sobie sprawę, że przecież tego Dołguckiego kochała. Że to był jej człowiek z wyboru. Oszukiwała sama siebie, kiedy chciała go lekceważyć. Zrozumiała nagle jasno, że wszędzieby za nim poszła. Nawet na największą biedę! Byle go tylko mieć na własność.

— Chodźmy — powtórzył Dołgucki, wciąż patrząc na Wiertkiewiczową.

— Tadeuszu! — wykrzyknęła Mila drżącym głosem. — Nie odchodź! Nie pozwalam! Ja ciebie kocham!

Dołgucki zmarszczył brwi i po sekundzie wahania zwrócił się do Wiertkiewiczowej:

— Pani Stasieńko. Ja idę.

I wyszli, milcząc, jak dwoje ludzi, którzy wypoczywają po wielkiem zmęczeniu.

KONIEC.

